

Tom 3 trylogii

wydanej w 32 krajach i filmowanej  
przez Universal Pictures

# Córka DYMU i KOŚCI

# Sny

# BOGÓW i

CZĘŚĆ 1

# POTWORÓW

LAINI TAYLOR

  
AMBER

*Sny*  
**BOGÓW i CZĘŚĆ 1**  
**POTWORÓW**

LAINI TAYLOR

Przekład  
Julia Wolin



Korekta  
Barbara Cywińska  
Magdalena Stachowicz

Projekt graficzny okładki  
Alison Impey  
© 2014 Hachette Book Group, Inc.

Zdjęcia na okładce  
© Maksim Toome/Shutterstock  
© Volodymyr Krasyuk/Shutterstock

Ilustracja na okładce  
Sammy Yuen

Tytuł oryginału  
Dreams of Gods & Monsters

Copyright © 2014 by Laini Taylor  
All rights reserved

For the Polish edition  
Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5499-9

Warszawa 2015. Wydanie I  
Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63  
tel. 620 40 13, 620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego  
P.U. OPCJA  
[juras@evbox.pl](mailto:juras@evbox.pl)

*Jimowi,  
z okazji szczęśliwego w trakcie*

*Dawno, dawno temu  
anioł i diablica  
przycisnęli dłonie do serc*



*i rozpętali apokalipsę.*



## Lody z okazji koszmaru

*Brzęczące nerwy i rozwrzeszczana krew, dzikie i rozjuszone, i zajadłe, i paraliżujące, i straszliwe, i straszliwe, i straszliwe...*

– Eliza. Eliza!

Głos. Jasny, czysty. Eliza się obudziła. Czuła się, jakby spadała i wylądowała na czymś twardym.

– To był sen – usłyszała swój głos. – To tylko sen. Nic mi nie jest.

Ile już razy wypowiadała te słowa? Więcej niż potrafiłaby zliczyć. Ale po raz pierwszy do człowieka, który bohatercko wpadł do jej pokoju, ściskając w ręce młotek, żeby ją ocalić przed mordercą.

– Krzyczałaś... – powiedział jej współlokator Gabriel i rozejrzał się po kątach, ale nie znalazł nikogo. Był rozczochrany, zaspany i rozgorączkowany, gotów zadać cios uniesionym w górę młotkiem. – Ale tak naprawdę. Strasznie krzyczałaś.

– Wiem – odparła Eliza. Miała zupełnie zdarte gardło. – Czasem mi się zdarza. – Podniosła się. Serce jej waliło jak artyleryjska kanonada, złowrogo i dogłębnie, wprawiając całe ciało w wibracje. Chociaż wyszło jej w ustach i płytko oddychała, usiłowała nadać głosowi nonszalancki ton. – Przepraszam, że cię obudziłam.

Zamrugął i opuścił młotek.

– Nie rozumiesz. Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby ktoś tak krzyczał. To był wrzask jak z horroru.

Wyglądało na to, że trochę mu nawet zaimponowała. „Idź stąd, chciała powiedzieć. Proszę cię”. Ręce zaczynały jej się trząść. Niedługo nie będzie w stanie nad tym zapanować, a nie chciała świadków. Uderzenie adrenaliny po takim śnie bywało nieprzyjemne.

– Nic mi nie jest, słowo. Dobra? Ja tylko...

Cholera.

Zaczęła się trząść. Ciśnienie jej rosło, czuła pieczenie pod powiekami i wszystko zaczęło się wymykać spod kontroli.

Cholera cholera cholera.

Zgięła się wóół i kiedy wreszcie zawładnął nią szloch, ukryła twarz w kołdrze. Sny były straszne – naprawdę straszne – ale to, co potem, gorsze, bo była już świadoma, ale nadal bezsilna. Panika – panika, i to jaka – trwała, ale pojawiało się coś jeszcze. Towarzyszyło każdemu ze snów, ale nie znikąło razem z nim, tylko zostawało jak wyrzucone przez fale. Coś potwornego. Cuchnący trup lewiatana porzucony na wybrzeżu jej umysłu, żeby zgnił. Wyrzuty sumienia. Choć to nijak nie oddawało tego, co czuła. Uczucie, z którym zostawiały ją sny, wyglądało jak lśniące ostrza paniki i strachu, spoczywające na poczuciu winy, czerwonym, treściwym i jątrzącym rany.

Skąd ta wina? To było najgorsze ze wszystkiego. To było... Boże, nie do nazwania i nie do zniesienia. Bardzo nie do zniesienia. Nikt nie zrobił nic gorszego, nigdy i nigdzie, a winę ponosiła ona. Kiedy udawało jej się zdystansować od snu, potrafiła pozbyć się myśli o tej winie jako niedorzecznej.

Nie robiła i nigdy by nie robiła... tego.

Ale kiedy sen ją oplątywał, nic nie miało znaczenia. Nie było argumentów, sensu, nie działały nawet prawa fizyki. Przerazenie i poczucie winy włądały wszystkim.

Masakra.

Szloch w końcu ustał i podniosła głowę. Gabriel siedział na skraju łóżka. Był przejęty i zaniepokojony. Gabriel Edinger emanował szelmowską ogłądą, która sugerowała, że ma całkiem dużą szansę związać swoją przyszłość z eleganckimi muszkami. A może i z monoklem. Był neurobiologiem i pewnie najmądrzejszym człowiekiem, jakiego Eliza znała, a do tego jednym z najmilszych. Oboje pracowali w Narodowym Muzeum Historii Naturalnej Smithsonian's – NMHN – i przez ostatni rok się przyjaźnili, choć nie do końca byli przyjaciółmi, aż dziewczyna Gabriela zrobiła doktorat i wyjechała do Nowego Jorku na dalsze badania, a on zaczął szukać współlokatora, żeby się wyrabiać z czynszem. Eliza wiedziała, że to ryzykowne spędzać z kimś godziny pracy i czas po pracy, właśnie z tego powodu. Tego.

Krzyki. Szlochy.

Odpowiednio zmotywowanemu osobnikowi nie zajęłoby dużo czasu



dotarcie do... całej tej nienormalności, na której zbudowała swoje życie. Czasem wydawało jej się, że próbuje układać podłogę na ruchomych piaskach. Ale przez jakiś czas sen się nie pojawiał, więc dała się skusić złudzeniu i udawała, że jest zwyczajna i ma tylko normalne troski właściwe dwudziestoczteroletniej doktorantce z niewielką pensją. Presja ze strony promotora, paskudny kolega z laboratorium, podania o granty, czynsz...

Potwory.

– Przepraszam – powtórzyła. – Już chyba wszystko w porządku.

– To dobrze. – Po chwili niezręcznej ciszy spytał dziarsko: – To co, może herbata?

Herbata. Przebłysk normalności.

– Tak – odparła Eliza. – Poproszę.

Gabriel poszedł nastawić czajnik, a ona spróbowała doprowadzić się do ładu. Włożyła szlafrok, opłukała twarz, wydmuchała nos i zerknęła na siebie w lustrze. Zapuchnięta, z przekrwionymi oczami. Po prostu cudownie. Miała ładne oczy. Komplementowali je nawet obcy ludzie. Duże, okolone długimi rzęsami i jasne. Oczywiście, kiedy białka nie były przekrwione od płaczu. Zwykle były o kilka tonów jaśniejsze od skóry, więc wydawało się, że lśnią. W tej chwili, przyznawała z dreszczem niepokoju, wyglądały na trochę... szalone.

– Nie jestem wariatką – poinformowała swoje odbicie, a w stwierdzeniu tym usłyszała afirmacyjną nutę: pewność siebie była mile widziana i zwykle udawało się ją przywołać. Nie zwariowałaś i nie zwariujesz.

Ale znacznie głębiej biegła inna, desperacka myśl.

Mnie to nie spotka. Jestem silniejsza niż inni.

Najczęściej w to wierzyła.

Gdy dołączyła do Gabriela w kuchni, zegarek na piekarniku wskazywał czwartą rano. Herbata stała na stole, a obok otwarty kubełek lodów z wetkniętą w środek łyżką. Gabriel wskazał na nie.

– Lody z okazji koszmaru. Moja rodzinna tradycja.

– Serio?

– Naprawdę.

Przez chwilę Eliza próbowała sobie wyobrazić lody jako rodzinną tradycję z okazji jej koszmarów, ale nie zdołała. Kontrast był zbyt wyraźny. Sięgnęła po łyżkę.

– Dzięki.

Milczeli. Trochę zjadła, wypila kilka łyków herbaty, cały czas w napięciu oczekując pytań, które musiały przecież nastąpić.

„Co ci się śni, Elizo?”

„Jak mam ci pomóc, skoro ze mną nie rozmawiasz, Elizo?”

„Co jest z tobą nie tak, Elizo?”

Już to wszystko słyszała.

– Śnił ci się Morgan Toth, przyznaj – zaczął Gabriel. – Morgan Toth i jego wydęte wargi?

No dobra, tego jeszcze nie słyszała. Wbrew wszystkiemu się roześmiała. Morgan Toth był jej wrogiem, a jego usta faktycznie nadawały się na motyw sennego koszmaru, ale nie, jednak nie o to chodziło.

– Nie chcę o tym mówić.

– O czym? – spytał Gabriel niewinnie. – Jakie „to” masz na myśli?

– Sprytnie! Ale mówię poważnie. Wybacz.

– Rozumiem.

Kolejna łyżka lodów i kolejna chwila ciszy, przzerwana kolejnym nie całkiem pytaniem.

– W dzieciństwie też miałem koszmary – chciał jej ułatwić sprawę. – Przez jakiś rok. Były naprawdę straszne. Jak moi rodzice o tym opowiadają, wydaje się, że zmieniły całe nasze życie. Bałem się spać, więc miałem różne rytuały i przesady. Próbowiałem nawet handlować. Oferowałem ulubione zabawki, jedzenie. Podobno raz zaproponowałem na swoje miejsce mojego starszego brata. Ja tego nie pamiętam, ale on się zaklina, że tak było.

– Komu go zaproponowałeś?

– Im. Tym ze snów.

Im.

Iskra zainteresowania, nadziei. Idiotycznej nadziei. Eliza też miała swoich „ich”. Wiedziała, że są tylko wytworem jej umysłu i nie istnieją, ale po śnie nie zawsze udawało jej się zachować racjonalność.

– Kim byli oni? – spytała, zanim zorientowała się, co robi. Skoro nie zamierzała mówić o swoich snach, nie powinna też węszyć w jego. To prawo sekretów świetnie znała: „Nie pytaj, bo pytają ciebie”.

– Potworami – odparł ze wzruszeniem ramion i Eliza natychmiast straciła zainteresowanie. Nie na wieść o potworach, tylko z powodu jego obojętnego tonu. Każdy, kto wypowiadał słowo „potwór” takim tonem, z

całą pewnością nie spotkał jej potworów.

– To, że ktoś cię ściga, jest jednym z najczęstszych motywów sennych – oznajmił Gabriel i kontynuował wywód, a Eliza popijała herbatę, co jakiś czas podjadała łyżkę lodów z okazji koszmaru i kiwała głową w odpowiednich miejscach, ale tak naprawdę wcale nie słuchała. Już dawno temu przeanalizowała teorię snów i w niczym jej to nie pomogło. Na koniec Gabriel stwierdził, że sny „są manifestacją naszych lęków na jawie” oraz że „wszyscy je mają”. Mówił łagodnie i uważnie, jakby właśnie rozwiązywał jakiś jej problem.

Eliza miała ochotę spytać: „I wszyscy dostają w wieku siedmiu lat rozrusznik serca, bo »manifestacje ich lęków na jawie« doprowadzają do arytmii?”

Ale nie spytała, bo takie smaczki najłatwiej zapamiętać i potem ludzie powtarzają je sobie na bankietach jako ciekawostkę.

„Wiedziałaś, że Eliza Jones miała w wieku siedmiu lat wszczepiony rozrusznik serca, bo od koszmarów sennych dostawała arytmii?”

„Naprawdę? Coś niebywałego!”

– I co się stało? – spytała. – Co się stało z twoimi potworami?

– Naprawdę zabrały mojego brata i mnie dały spokój. Wystarczy, że co roku na świętego Michała składam w ich intencji ofiarę z kozy, ale to naprawdę niewielka cena za spokojny sen.

Eliza się roześmiała.

– Skąd bierzesz kozy? – podchwyciła.

– Jest taka świetna farma w Maryland. Certyfikowane kozy na ofiarę. Są też owieczki, jeśli ktoś woli.

– A kto by nie wolał? I czemu, do diabła, akurat na świętego Michała?

– Nie mam pojęcia. Akurat mi przyszło do głowy.

Eliza była mu bardzo wdzięczna, bo się nie wtrącał, a lody, herbata i nawet wkurzenie na ten jego uniwersytecki bełkot pomogły załagodzić następstwa snu. Śmiała się! To było naprawdę coś.

A później zawibrowała jej leżąca na blacie komórka.

Kto mógł dzwonić o czwartej rano? Sięgnęła po telefon...

...a kiedy zobaczyła numer, wypuściła komórkę z ręki. A może nawet nią cisnęła. Z hukiem odbiła się od szafki i runęła na podłogę. Przez moment Eliza liczyła, że padła. Leżała cicho. Jakby martwa. Ale... Bzzzzzzz. Czyli przeżyła.

Czy kiedykolwiek wcześniej żałowała, że nie zepsuła telefonu?

To tylko numer. Same cyfry. Bez imienia. Dlatego, że Eliza nie wpisała go do książki telefonicznej. Myślała, że może już nie pamięta. Ale jak go zobaczyła, wróciła każda chwila życia, które miała, zanim... zanim uciekła. To w niej było, niezmienione. Poczuli się, jakby ktoś jej przykopał w brzuch. Ból był równie przeszywający i jego też nie łagodził czas.

– Coś się stało? – spytał Gabriel.

Schylił się i podniósł telefon.

W ostatniej chwili się powstrzymała, żeby nie powiedzieć: „Nie dotykaj!”, ale wiedziała, że to by było głupie. Odruchowo sięgnęła po aparat, gdy jej podał, i odłożyła na stół, choć wciąż wibrował.

Gapiła się na niego. Jak ją znaleźli? Jak?! Zmieniła nazwisko. Zniknęła. Przez cały czas wiedzieli, gdzie jest? Obserwowali ją? Ta myśl ją zmroziła. Lata wolności mogły być tylko złudzeniem.

Wibrowanie ustało. Połączenie przeszło do poczty głosowej i serce Elizy znów się rozszalało z siłą kanonady. Uderzenie za uderzeniem przeszywało ją całą. Kto to mógł być? Jej siostra? Jeden z „wujków”?

Matka?

Ktokolwiek to był, Eliza miała tylko chwilę na zastanawianie się, czy zostawi wiadomość – i czy ona ośmieli się ją odsłuchać, jeśli tak – bo telefon znów zawibrował. To nie wiadomość z poczty głosowej. To SMS.

Brzmiał: „Włącz telewizor”.

Włącz telewizor?!

Eliza zagapiła się na wyświetlacz, kompletnie skołowana. Dlaczego? Co takiego miała zobaczyć? Nawet nie miała telewizora! Gabriel wpatrywał się w nią w napięciu, a ich spojrzenia zbiegły się w chwili, gdy usłyszeli pierwszy krzyk. Eliza prawie wyskoczyła ze skóry i poderwała się z krzesła. Gdzieś z zewnątrz dobiegł długi wrzask bez słów. A może to było w środku? Głośny. Czyli jednak w budynku. Nie, chwileczkę. To w ogóle ktoś inny. Co się do cholery dzieje? Ludzie byli... w szoku? Krzyczeli z radości? Z przerażenia? Wtedy zawibrował także telefon Gabriela i świadomość Elizy zarejestrowała powódź SMS-ów. Bzz bzz bzz bzz bzz. Tym razem to przyjaciele, w tym Taj z Londynu i Catherine, która była na badaniach w Afryce Południowej. Każdy brzmiał trochę inaczej, ale ich przekaz był taki sam. Niepokojące polecenie: „Włącz telewizor”.

„Oglądasz to?!”.

„Obudź się. TV. Szybko”.

I wreszcie ostatni. Po nim Eliza miała ochotę skulić się gdzieś w pozycji embrionalnej i przestać istnieć.

„Wróć do domu. Przebaczymy ci”.

# Przybycie

Pojawili się w poniedziałek, w środku dnia, na niebie nad Uzbekistanem. Pierwszy raz wypatrzone ich ze starego Szlaku Jedwabnego w Samarkandzie, gdzie zgromadziły się ekipy wiadomości TV, pragnące nakręcić materiał o... Przybyszach.

O aniołach.

Łatwo ich było policzyć, bo zlatywali w nienagannych falangach. Dwadzieścia oddziałów po pięćdziesiąt aniołów. Tysiąc. Ruszyli na północ, na tyle blisko ziemi, że ludzie stojący na dachach i drogach dostrzegali falujący biały jedwab szat i słyszeli vibrato i tremolo harf.

Harf.

Media szalały. Na całym świecie przerwano programy radiowe i telewizyjne. Dziennikarze pędzili do studiów, bez tchu i bez tekstu. Przerazenie, panika. Oczy jak spodki, głosy piskliwe i nieswoje. Telefony całego świata zaczęły dzwonić, a następnie wszędzie zapanowała cisza, bo nadajniki sieci komórkowych przeładowały się i padły. Śpiąca część planety została obudzona. Połączenia internetowe osłabły. Ludzie szukali innych ludzi. Na ulice wyległy tłumy. Głosy zlewały się i rywalizowały z sobą, narastały i wspinały się na szczyty. Rozróby. Pieśni. Starcia.

Śmierć.

I narodziny. Pewien komentator radiowy nazwał dzieci urodzone podczas Przybycia „cherubinkami” i jemu przypisuje się też plotkę, jakoby miały na małych ciałkach znamiona w kształcie piór. Była to oczywiście nieprawda, ale i tak wnikliwie im się przyglądano, żeby wychwycić najmniejsze przejawy świętości albo magicznych mocy.

Tego dnia, dziewiątego sierpnia, czas podzielił się gwałtownie na „przed” i „po” i nikt ze świadków nie miał zapomnieć, gdzie był, kiedy „to” się zaczęło.



Kazimir Andrasko, aktor, duch, wampir i debil, przespał całą tę imprezę, choć później się zarzekał, że doznał zamroczenia w czasie lektury Nietzschego – upierał się, że stało się to dokładnie w chwili Przybycia – i doznał bolesnej wizji końca świata. Miał być to początek czegoś wielkiego, ale jego idiotyczny plan spełził na niczym, kiedy Kaz dowiedział się, jakiego zachodu wymaga założenie sekty.

Zuzana Nováková i Mikolas Vavra znajdowali się w Aït Benhaddou, najświetniejszej kasbie w Maroku. Mik skończył się właśnie targować o antyczny srebrny pierścionek (no dobrze, być może antyczny i być może srebrny, ale na pewno pierścionek), kiedy nagle wybuchło zamieszanie. Schował pierścionek głęboko do kieszeni, skąd miał go przez dłuższy czas nie wyjąć.

Dołączyli do miejscowych, stłoczonych w jakiejś kuchni, i oglądali z nimi arabskie wiadomości. Co prawda nie rozumieli ani komentarza ze studia, ani okrzyków poruszenia wokół, ale ogarniali kontekst tego, co się dzieje. Wiedzieli, kim są anioły, a może raczej, kim nie są. W niczym nie umniejszało to jednak wstrząsu, jaki wywołał widok nieba pełnego skrzydeł.

Tyle ich było!

To Zuzana wpadła na pomysł „zwrócenia wolności” półciężarówce zaparkowanej przed turystyczną restauracją. Zwyczajność i przyzwoitość były już na tym etapie tak względne, że przygodna kradzież samochodu nie wydawała się niczym niezwykłym. Zuzana się nie wahała: wiedziała, że Karou nie ma dostępu do wiadomości, więc musi ją ostrzec sama. Gdyby było trzeba, ukradłaby i helikopter.

Esther Van de Vloet, emerytowana handlarka diamentami i wieloletnia współpracowniczka Brimstone’a, a także lipna babcia jego ludzkiej trzódki, wyprowadzała właśnie swoje mastify na spacer niedaleko domu w Antwerpii, kiedy dzwony u Najświętszej Maryi Panny zaczęły bić zupełnie nie w porę. Nie wybiła jeszcze pełna godzina, a nawet gdyby wybiła, to i tak ich dźwięk wyrażał skrajne podenerwowanie, a wręcz histerię. Esther, która nie miała genu nerwowości, a tym bardziej histerii, żyła w gotowości, odkąd czarne odciski dłoni podpaliły drzwi w Brukseli i zmiotły je z powierzchni ziemi. Uznawszy, że to mogło być właśnie to

coś, na co czekała, dziarsko ruszyła do domu, a psy, wielkie jak lwice, sunęły u jej boków.

Pierwsze minuty relacji na żywo Eliza Jones oglądała w laptopie współlokatora, ale kiedy połączenie internetowe się zerwało, ubrali się szybko, wskoczyli do auta Gabriela i pojechali do muzeum. Mimo bardzo wczesnej pory nie byli wcale pierwsi. Strumień kolegów spływał do piwnicznego laboratorium i gromadził się przy telewizorze.

Niedowierzenie sprawiło, że byli oszołomieni, a ich tak zwany zdrowy rozum czuł się urażony, że coś takiego ośmieliło się pokazać na niebie. Oczywiście, że to kaczka dziennikarska! Gdyby ci aniołowie byli prawdziwi – co oczywiście jest całkiem niedorzeczne – czy nie powinni choć odrobinę mniej przypominać obrazki z podręcznika do szkółki niedzielnej?!

Byli zbyt doskonali. Jasne, że to jakaś podpucha.

– Jezu, wyłączcie te harfy – zachnął się paleobiolog. – Mogą człowieka wykończyć.

Jednak to naukowe podejście wkrótce zmieniło się w prawdziwe napięcie, bo żadne z nich nie było przecież głupie i widziało, że w teorii wielkiej ściemy pojawiają się ziejące dziury. Tym bardziej załamywało się ich racjonalne podejście, im więcej śmigłowców ośmieliło się zbliżyć do skrzydlatych gości, a materiały filmowe stawały się coraz wyraźniejsze i coraz mniej szkółkowo-niedzielne.

Nikt nie chciał przyznać na głos, że to wyglądało... realistycznie.

Choćby skrzydła. Miały co najmniej trzy i pół metra rozpiętości, a każde piórko otoczone było oddzielnym jęzorem ognia. Opadały i unosiły się bezszelestnie, z niezwykłą gracją, a jednocześnie imponująco. Taki efekt wydawał się niemożliwy do osiągnięcia przez żadną współczesną technologię.

– Może to się dzieje tylko w komputerze – zasugerował Gabriel. – Coś w stylu *Wojny światów* Wellsa, tylko w XXI wieku.

Rozległ się zbiorowy pomruk, ale nikt tego nie kupił.

Eliza stała w milczeniu i patrzyła. Jej przerażenie było innego gatunku niż ich: znacznie bardziej zaawansowane. Zresztą nic dziwnego. Narastało w niej przez całe życie.

Anioły.

Anioły. Po wydarzeniach na moście Karola w Pradze, kilka miesięcy wcześniej, musiała wyhodować odpowiednią dawkę sceptycyzmu, żeby to przeżyć. Tamto to mogła być inscenizacja. Trzy anioły; były, zniknęły, żadnych dowodów. Ale wyglądało na to, że świat z zapartym tchem czekał na coś, co nie pozostawi wątpliwości. Ona też czekała. No i się doczekali.

Pomyślała o komórce, którą specjalnie zostawiła w mieszkaniu. Zastanawiała się, jakie wiadomości czekały na wyświetlaczu. Myślała też o niesamowicie mrocznej sile, przed którą uciekała w nocy, we śnie. Wnętrznosci ścisnęły jej się jak pięść i poczuła pod stopami usuwające się płyty, które układała na ruchomych piaskach swojego drugiego życia. Naprawdę myślała, że przed nim ucieknie? Przecież tu było, zawsze tu było, a życie, jakie na nim zbudowała, wydawało się równie solidne jak slumsy wznoszone przez biedaków na zboczach wulkanów.

# Przybycie + 3 godziny

## Instynkt przetrwania

**Anioły! Anioły! Anioły!**

Zuzana z krzykiem wypadła z zarzucającego tyłem vana, który na dobre zatrzymał się na piaszczystym wzniesieniu. Przed nią wznosił się „zamek potworów”, budowla na marokańskiej pustyni, gdzie ukryła się armia buntowników z innego świata, żeby wskreszać swoich zmarłych. Gliniana forteca z węzami, smrodem, wielkimi potwornymi żołnierzami i dołem pełnym trupów. Ruina, z której ona i Mik uciekli pod osłoną nocy. Niewidzialni. Bo na to nalegała Karou.

Nalegała w panice i bardzo przekonywająco.

Bo... ich życie było w niebezpieczeństwie.

A oni tu wrócili, wrzeszcząc i trąbiąc? To nie bardzo wyglądało na manifestację instynktu przetrwania.

Pojawiła się Karou, rozbłyskując nad murem kasby. Wyglądała, jak to ona: bezskrzydła, wdzięczna jak balerina zawieszona w świetle bez grawitacji. Zuzana już biegła pod górę, kiedy przyjaciółka wylądowała, żeby ją zatrzymać.

– Anioły – wysapała Zuzana, nie mogąc już dłużej trzymać wieści dla siebie. – Jasna dupa, Karou! Na niebie. Setki. Setki. Świat. Kompletnie. Oszalał. – Słowa same jej się wyrywały, ale choć słyszała, że mówi,

większą uwagę skupiała na przyjaciółce. Spojrzała na nią i cofnęła się zszokowana.

Co do diabła...?

Trzaśnięcie drzwiczek, odgłos stóp i Mik już stał przy niej. On też patrzył na Karou. Nic nie mówił. Zresztą nikt się nie odzywał. Cisza przypominała pusty dymek z komiksu: zajmowała miejsce, ale nie zawierała słów.

Karou... Połowa jej twarzy była fioletowa i spuchnięta, miejscami podrapana do żywego, w innych miejscach zaczynała się pokrywać strupami. Wargę miała rozciętą, ucho naderwane i zsyte. O reszcie ciała Zuzana nie mogła nic powiedzieć, bo Karou miała rękawy ściągnięte aż na dłonie i zaciskała je w dziwny, dziecinny sposób. Ledwo się trzymała na nogach.

Ktoś jej zrobił krzywdę. To oczywiste. A winowajca mógł być tylko jeden.

Biały Wilk. Ten drań. Furia aż zaślepiła Zuzaną.

Zobaczyła go. Schodził po zboczu, wśród innych chimer zaniepokojonych ich przybyciem, a ręce Zuzany same zacisnęły się w pięści. Rzuciła się naprzód, gotowa stanąć między Thiagiem a Karou, ale Mik złapał ją za ramię.

– Co ty robisz? – syknął i przyciągnął ją do siebie. – Zwariowałaś już zupełnie?! Nie masz jadu jak skorpion i nie jesteś *neek-neek*.

Nazywał ją tak żołnierz Virko. *Neek-neek* to wyjątkowo nieustraszone i wściekłe skorpiony z Eretz. I chociaż niechętnie, Zuzana musiała przyznać, że Mik miał rację. Wściekała się, ale ze skorpiona miała niewiele, zasługiwała co najwyżej na jedno *neek* i nie była choćby w połowie tak niebezpieczna, jak chciała.

Ale i tak coś z tym zrobię, postanowiła natychmiast. Zaraz po tym, jak tu nie zginiemy. Bo... do diabła! Chimer było sporo, jak się tak na nie patrzyło, schodzące ze zbocza. Odwaga godna *neek-neek* błyskawicznie wędła w piersi Zuzany. Uspokajało ją ramię Mika wokół niej, choć oczywiście nie łudziła się, że jej słodki wirtuoz gry na skrzypcach obroni ją choć odrobinę lepiej, niż mogła to zrobić sama.

– Zaczynam się zastanawiać, czy mamy jakikolwiek instynkt przetrwania.

– Wiem. Czemu nie jesteśmy samurajami?

– Bądźmy od teraz!

– Wszystko w porządku – powiedziała Karou i zaraz stanął przy nich Biały Wilk, ciasno otoczony świętą poruczników. Zuzana spojrzała mu w oczy; usiłowała wyglądać na nieustraszoną. Na jego policzkach zobaczyła ślady zadrapań i furia rozbłysła w niej na nowo. Oto dowód, jeśli były jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, kto zaatakował Karou.

Moment. Czy Karou właśnie powiedziała, że wszystko w porządku?

Jakie w porządku?!

Ale Zuzana nie miała czasu na analizy, bo za bardzo była zajęta gapieniem się. Tuż za Karou zupełnie znikąd pojawił się zarys sylwetki, szybko wypełniający się imponującym ciałem, które znała. Czy to...

Akiva?

A ten co tu robi?

Obok objawiła się serafinka. Ta, która wyglądała na taką rozsierdzoną wtedy na moście w Pradze. Teraz też była wściekła. Jej mina mówiła: „Podejdz, jeśli chcesz zginąć”, ten typ złości miała na myśli Zuzana. Dłoń trzymała na rękojeści miecza, a wzrok wbijała w zbliżające się chimery.

Akiva za to patrzył tylko na Karou, która... w ogóle nie wydawała się zaskoczona jego obecnością.

Nikt nie był. Zuzana usiłowała zrozumieć, co się tu dzieje. Dlaczego nikt nikogo nie atakuje? Zawsze myślała, że właśnie to robią chimery i serafini, jak się widzą, zwłaszcza te chimery i ci serafini.

Co zaszło w zamku potworów, kiedy jej i Mika nie było?

Zeszli się wszyscy chimeryjscy żołnierze i chociaż na ich twarzach nie widziała zaskoczenia, to wrogość jak najbardziej. Nie mrugali, a w oczach niektórych czaiła się skoncentrowana agresja. Z niektórymi z nich Zuzana się tu śmiała i przesiadywała na ziemi. Robiła dla nich tańczące kukiełki z kości kurczaka. Drażniła się z nimi, a oni z nią. Lubiła ich. No dobra, w każdym razie niektórych. Ale w tej chwili byli przerażający, wszyscy bez wyjątku, i wyglądali na gotowych do rozdarcia aniołów na strzępy. Zerkali na Thiaga i szybko odwracali wzrok, jakby tylko czekali na rozkaz, który powinien nastąpić.

Ale nie nastąpił.

Zuzana się zorientowała, że wstrzymuje oddech, więc wypuściła powietrze i powoli się rozluźniła. W tłumie wypatrzyła Issę i bardzo wymownie uniosła brew, pytając: „Co jest?”, ale odpowiedź Issy nie była jednoznaczna. Przelotnie się uśmiechnęła, jakby chciała dodać Zuzanie otuchy, ale wyglądała na spiętą i gotową do akcji.



Co się dzieje?

Karou powiedziała coś do Akivy łagodnie i ze smutkiem, oczywiście w języku chimer, niech ją! Co ona mówi? Akiva odpowiedział, także po chimeryjsku, a potem przemówił do Białego Wilka.

Nie znała ich języka, więc żeby się czegoś dowiedzieć, wpatrywała się w ich twarze. Zrozumiała tyle: jakimś cudem, mimo tłumy potwornych żołnierzy z Thiagiem na czele, ta chwila należała do Karou i Akivy.

Oboje stali nieporuszeni jakieś trzy metry od siebie, ich twarze nic nie wyrażały i nawet na siebie nie patrzyli, ale Zuzana miała wrażenie, że są jak dwa magnesy o przeciwnych biegunach, które udają, że wcale nimi nie są.

A to, jak wiadomo, działa tylko tak długo, aż przestanie.

## Początek

**D**wa światy, dwa życia. Ale z tym koniec.

Karou podjęła decyzję.

– Jestem chimera – powiedziała Akivie. Czy naprawdę zaledwie kilka godzin wcześniej „uciekł” z kasby ze swoją siostrą, żeby spalić przejście nad Samarkandą? Mieli spalić też to drugie, raz na zawsze oddzielając Ziemię od Eretz. Zastanawiał się, który świat ona wybierze. Jakby miała wybór. – Moje życie należy do Eretz.

Ale tak nie było. Karou wiedziała, co ją czeka w Eretz, wśród tych istot, które własnoręcznie obdarzyła ciałami i które, niemal bez wyjątku, naznaczyły ją piętnem kochanicy anioła. Czekwały na nią rozpacz, wyczerpanie i głód. Strach. Samotność. Prawdopodobnie śmierć.

Na pewno ból.

A teraz?

– Razem możemy z nimi walczyć – ogłosił Akiva. – Ja też mam armię. Karou stała jak wryta i ledwie oddychała. Akiva się spóźnił. Serafińska

armia już przeleciała przez portal. Bezwzględne Dominium Jaela, elitarny legion Imperium. A Akiva teraz właśnie składał wrogowi propozycję. Ku zdumieniu wszystkich, łącznie ze swoją siostrą. Walczyć razem? Liraz patrzyła na niego z niedowierzaniem. Karou jednego była pewna: jeśli propozycja Akivy budziła niedowierzanie, to zgoda Thiaga była niewyobrażalna.

Biały Wilk raczej by tysiąc razy skonał, niż pojednał się z aniołami. Obróciłby w proch świat wokół siebie. Stałby się świadkiem końca. Ba, prędzej byłby końcem, niż wziął pod uwagę taką propozycję.

Karou była zatem równie wstrząśnięta jak reszta – choć z innego powodu – gdy Thiago... kiwnął głową.

Nisk albo Lisseth, jedno z pary jego poruczników z plemienia Naja, niedowierzająco syknęło. Jedynym dźwiękiem ze strony żołnierzy był odgłos kamyka, który potrącony drgnięciem czyjś ogona spadał teraz po zboczu. Karou słyszała w uszach dudnienie krwi. Co on robi? Miała nadzieję, że wie, bo ona nie miała pojęcia.

Zaryzykowała rzut oka na Akivę. Nie zauważyła rozpaczy, obrzydzenia, przerażenia ani miłości, które odmalowały się na jego twarzy poprzedniej nocy. Przybrał maskę, tak jak i ona. Musiała ukryć buzujące w niej wzburzenie. A dużo miała do ukrywania.

Akiva wrócił. Czy naprawdę z tej przeklętej kasby nikt nie może uciec na dobre?! To był akt odwagi, ale i brawury. Zawsze był odważny. Ryzykował teraz nie tylko życie. Położył na szali wszystko. W jakiej sytuacji stawiał Wilka? Będzie musiał wymyślić kolejną wiarygodną wymówkę, czemu go nie zabija.

Była też jej sytuacja. I pewnie to ją najbardziej wytrącało z równowagi.

Oto Akiva, wróg, w którym się zakochała dwa razy w dwóch różnych wcieleniach, z mocą, zdającą się dziełem kosmosu. I może tak było, ale to nie miało znaczenia. Stała u boku Thiaga. To miejsce wybrała dla dobra swoich ludzi. U boku Thiaga.

Co więcej – choć Akiva o tym nie wiedział – był to Thiago, którego sama dla siebie wyszykowała. Taki, obok którego zdołała stanąć. Biały Wilk... nie był ostatnio sobą. W jego znienawidzonym ciele zamknęła lepszą duszę – och, Ziri – i modliła się do wszystkich możliwych bogów z dwóch znanych jej światów, żeby nikt się nie domyślił. To bolesny sekret i cały czas czuła, jakby trzymała w ręce odbezpieczony granat. Jej serce co chwila wypadało z rytmu. Dłonie się pociły.

Skala oszustwa była gigantyczna, a jednocześnie wszystko było tak kruche. Największy ciężar, jak na razie, spoczywał na barkach Ziriego. Przechytrzyć żołnierzy? Większość z nich służyła generałowi przez dziesiątki lat, a niektórzy nawet przez kilka wieków, w różnych wcieleniach. Znali każdy jego gest, każde mrugnięcie. Ziri musiał być Wilkiem, zachowywać się jak on, mówić w ten sam sposób i wyrażać całym sobą jego lodowaty dystans i agresję. Musiał być nim, ale lepszym nim, który będzie umiał poprowadzić swoich ludzi ku przetrwaniu, a nie zemście, która skończy się śmiercią.

Tylko że to się powinno dziać stopniowo. Biały Wilk nie może się pewnego ranka obudzić, przeciągnąć, ziewnąć i stwierdzić, że dzisiaj dla odmiany zawrze przymierze ze śmiertelnym wrogiem.

A to właśnie robił Ziri.

– Trzeba powstrzymać Jaela – oznajmił stanowczo. – Jeśli zyska dostęp do ludzkiej broni i ludzie udzielą mu wsparcia, nie będzie dla nas nadziei. W tej kwestii musimy działać wspólnie. – Mówił niskim głosem, zyskał posłuch absolutny i nie miał żadnych wątpliwości, jak jego decyzja zostanie przyjęta. Tak mówił Wilk i gra Ziriego była perfekcyjna. – Ilu ich jest?

– Tysiąc – odparł Akiva. – Tutaj. Ale na pewno część wojska pozostała po drugiej stronie przejścia.

– Tego? – spytał Thiago, wskazując głową góry Atlas.

– Przeszli innym – wyjaśnił Akiva. – Ale możliwe, że to także jest przez nich zajęte. Mogli się dowiedzieć o jego istnieniu.

Nie patrzył na Karou, kiedy to mówił, ale i tak poczuła falę wstydu. To przez nią ten oblech Razgut działał teraz na własną rękę i bez trudu mógł wskazać Dominium przejście, tak jak pokazał jej. A wtedy chimery zostaną tu uwięzione, bez możliwości powrotu do swojego świata, bo armie wrogich serafinów będą na nich czyhać po obu stronach. Bezpieczna przystań, do której ich sprowadziła, może się równie dobrze stać ich grobem.

Thiago zareagował spokojnie.

– Sprawdźmy zatem.

Spojrzał na swoich żołnierzy, a oni odpowiedzieli spojrzeniem, bacząc na każdy jego ruch. Co on zamierza, zastanawiali się – bo to przecież nie mogło być to, na co wyglądało. Wkrótce wyda rozkaz zabicia aniołów. To tylko element planu. Innego wyjścia nie ma.

– Oora, Sarsagon – wskazał – wybierzcie ludzi szybkich i czujnych. Chcę wiedzieć, czy za progiem czyha Dominium. Jeśli tak, powstrzymajcie ich. Utrzymajcie przejście. Niech przy życiu nie zostanie żaden anioł. – Na myśl o martwych aniołach na jego ustach pojawił się uśmiezek rozkoszy i Karou zauważyła, że z twarzy żołnierzy schodzi napięcie. To rozumieli, nawet jeśli całej reszty nie: Wilk, rozkoszujący się myślą o serafińskiej krwi. – Jak najszybciej wyślijcie łącznika. Ruszajcie – rozkazał, a oni ruszyli wśród zgromadzonych chimery i zaczęli wskazywać członków drużyny szybkimi, stanowczymi gestami rąk. Bast, Keita-Eiri i gryfony: Vazra i Ashtra, Lilivett, Helget i Emylion.

– Reszta wraca na dziedziniec. Bądźcie gotowi do odlotu, jeśli przyjdą pomyślne wieści. – Tu generał na moment zamilkł. – I do walki, jeśli niepomyślne.

Znów zdołał dać im do zrozumienia ledwie dostrzegalnym cieniem uśmiechu, że wolałby krwawe rozwiązanie.

Naprawdę świetnie sobie radził i w Karou wstąpiła odrobina nadziei. Decydował rozsądnie, wydawał rozkazy i miał posłuch. Reakcja żołnierzy była natychmiastowa i zdecydowana. Oddział odwrócił się i ruszył pod górę. Jeśli Ziri zdoła utrzymać ten nieznoszący sprzeciwu ton, nawet najbardziej podejrzliwi z jego zastępów rzucą się ochoczo, by zaskarbić sobie jego przychyłność.

Tyle że, no cóż, nie wszyscy się do tego kwapili. Issa buntowniczo sunęła w dół, wbrew grupie wracających na górę. Byli też porucznicy Thiaga. Nie licząc Sarsagona, który dostał rozkaz, świta Wilka została przy nim. Ten, Nisk, Lisseth Rark i Virko. Ci sami, którzy dostali polecenie zatrzymania Karou przy dole dla Thiaga. No, nie licząc Ten, która popełniła błąd i postanowiła zaatakować Issę, w wyniku czego była w tej chwili Ten w takim samym stopniu, jak Thiago był Thiagiem. Karou ich nienawidziła. Była pewna, że gdyby ich poprosił, trzymaliby ją, i mogła się tylko cieszyć, że nie uznał tego za konieczne.

Ewidentnie się ociągali. Nie posłuchali rozkazu Thiaga, bo uważali, że ich nie dotyczy. Spodziewali się, że dostaną inne polecenie. I sądząc po sposobie, w jaki łypali na Akivę i Liraz, mieli na myśli jedno.

– Karou – szepnęła Zuzana. – Co się tu dzieje, do diabła?

Co się tu, do diabła, nie działo? Wszystkie nieszczęścia, których Karou uniknęła – jak sądziła – w ostatnich dniach, zbiegały się właśnie i prowadziły do jednej wielkiej katastrofy.

– Wszystko – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Wszystko się dzieje.

Potworni Nisk i Lisseth stali z uniesionymi rękami, gotowi do porażenia aniołów hamsami, osłabienia, a następnie zabicia. Lub przynajmniej podjęcia próby. Przed nimi niewzruszeni Akiva i Liraz, a pomiędzy Ziri. Biedny, słodki Ziri w ciele Thiaga, usiłujący przybrać także jego dzikość, ale tylko w wyglądzie, nie w sercu. Musiał podjąć to wyzwanie. Więcej niż wyzwanie. To było teraz jego życie i wszystko zależało od tego, czy mu się uda być wiarygodnym. Od niego zależała przyszłość – jeśli w ogóle jakaś będzie – tych chimer, które przeżyły, i dusz pogrzebanych w katedrze Brimstone’a. Ta mistyfikacja była ich jedyną nadzieją.

Następne dziesięć sekund ciągnęło się wieki.

Issa dotarła do Mika i Zuzany równocześnie ze słowami Lisseth:

– A jakie masz rozkazy dla nas, panie?

Issa ich objęła, a na Karou spojrzała wzrokiem skrzącym się od satysfakcji. Karou widziała, że jest poruszona. Rozpierała ją duma, jakby coś przewidziała.

– Wydałem rozkaz – odpowiedział zimno Thiago. – Czyżbym nie wyraził się dostatecznie jasno?

Ale o co chodziło Issie? Karou od razu pomyślała o poprzedniej nocy. Po tym, jak wbrew sobie odprawiła lodowato i ostatecznie Akivę, myśląc, że to koniec, Issa powiedziała jej:

– Twoje serce się nie myli. Nie musisz się wstydzić.

Miała na myśli miłość do Akivy.

Karou rzuciła niedbale:

– Nieważne. – I usiłowała uwierzyć, że jej uczucie się nie liczy, a ona i Akiva nie mają znaczenia, gdy na szali są światy, bo to jest najważniejsze.

– Ależ... – upierał się Nisk, partner Lisseth z plemienia Naja. – Nie wierzę, że darujesz tym aniołom życie, panie...

„Darujesz tym aniołom życie, panie”. Jak mogli w ogóle tak myśleć? O życiu Akivy i Liraz. Przecież oni wrócili, żeby ich ostrzec. Ale prawdziwy Thiago nie wahałby się ani chwili, żeby ich wypatroszyć w podzięce za fatywę. Tylko, że Akiva nie wiedział, że prawdziwego Thiaga już nie ma. A wrócił mimo to. Dla niej.

Karou spojrzała w jego stronę i odnalazła czekający na nią wzrok. Jak mogła bezsensownie sobie wmawiać, że oni nie mają znaczenia?

Mieli znaczenie. I to sprawiło, że się nie pozabijali na plaży w

Bullfinch, i te wszystkie lata też je miały.

Thiago nie odpowiedział Niskowi. W każdym razie nie słowami. Spojrzenie, jakie mu rzucił, ucięło w załączku wszystkie inne słowa, które mieli ochotę wypowiedzieć porucznicy. Wilk zawsze miał tę umiejętność, a łatwość, z jaką Ziri ją przyswoił, była trochę przerażająca.

– Na dziedziniec – powtórzył niby łagodnie, ale głosem podszytym groźbą. – Wszyscy z wyjątkiem Ten. Porozmawiamy sobie o moich... oczekiwaniach... kiedy skończę tę sprawę. Jazda!

I poszli. Karou może i by się ucieszyła z ich odwrotu z podkulonymi ogonami, ale Wilk spojrział też na Issę i na nią.

– Wy także.

Tak postąpiłby Wilk. Nigdy nie ufał Karou, okłamywał ją i manipulował nią, a w takiej sytuacji z całą pewnością odprawiłby ją z całą resztą. Ziri miał do odegrania rolę i ona też miała. Potajemnie była siłą napędową tej nowej sprawy, namaszczonej przez Brimstone'a i pobłogosławioną przez Wielkiego Wojownika, ale w oczach chimeryjskiej armii pozostawała wciąż – przynajmniej tymczasowo – dziewczyną, która cała we krwi wróciła znad dołu.

Połamana kukiełka Thiaga.

Musieli wyruszyć z jedyne go możliwego punktu startowego. Z dołu, z wiru, krwi, śmierci i kłamstw. W tej chwili nie miała innego wyjścia, jak przyjąć reguły gry. Skinęła głową na znak podporządkowania Wilkowi, ale jakiś kwas zaczął palić ją w żołądku na widok ciemniejących oczu Akivy. Liraz, stojąca u jego boku, emanowała czymś jeszcze gorszym: pogardą.

Nie było łatwo to znieść.

„Wilk nie żyje!, chciała krzyknąć. Zabiłam go. Nie patrzcie tak na mnie!” Ale oczywiście nie mogła. Musiała w sobie znaleźć dość siły, żeby udawać słabość.

– Chodźcie – zarządziła Karou, popychając Issę, Zuzanę i Mika naprzód.

Ale Akiva nie odpuścił tak łatwo.

– Zaczekaj – powiedział w języku aniołów, którego nie rozumiał nikt poza nią. – Nie z nim chciałem rozmawiać. Gdybym tylko mógł, złapałbym cię samą. Chcę wiedzieć, czego ty chcesz.

Czego ja chcę? Karou zdusiła w sobie falę hysterii, która podeszła ją zdradziecko jak śmiech. Tak jakby to życie choć odrobinę



odzwierciedlało jej życzenia. Ale, biorąc pod uwagę okoliczności, czy tego pragnęła? Nawet nie chciała się nad tym zastanawiać. Przymierze? Chimeryjscy buntownicy dołączający do bastardów Akivy, żeby wziąć odwet na Imperium?

Mówiąc wprost, to było szaleństwo.

– Nawet razem – odparła – będziemy w dramatycznej mniejszości.

– Przymierze to coś więcej niż liczba mieczy – zaprotestował Akiva. Jego głos brzmiał jak cień innego życia. Potem dodał łagodnie: – A tych może będzie więcej.

Wpatrywała się w niego przez całą sekundę, ale potem przypomniała sobie, kim jest, i zmusiła oczy do spojrzenia w ziemię. „Może będzie więcej”. To odpowiedź na jej wątpliwości, czy do snu o pokoju uda się przekonać innych. „To dopiero początek”, chciał powiedzieć, zanim położył dłoń na sercu i zwrócił się do Thiaga. Nikt inny nie wiedział, co to znaczy, tylko Karou. Poczowała, że dawne marzenie znowu zapłonęło w jej sercu.

„My jesteśmy początkiem”.

Powiedziała mu to dawno temu, a on to teraz powtórzył. Oto, co oznaczała jego propozycja przymierza: przeszłość, przyszłość, skrucę i odrodzenie. Nadzieję.

Oznaczała wszystko.

A Karou nie mogła mu dać znać. Nie tu. Nie przy Nisk i Lisseth, którzy zatrzymali się na zboczu, żeby na nich patrzeć. Na Karou, kochanicę anioła, i Akivę, tego właśnie anioła, który mówił coś cicho po serafińsku, podczas gdy Thiago tylko stał i pozwalał na to. Nie, nie, wszystko nie tak. Wilk, którego znali, miałby już krew na kłach.

Każda chwila była próbą dla ich mistyfikacji, każda wypowiedziana przez nich sylaba sprawiała, że wyrozumiałość Wilka stawała się coraz mniej prawdopodobna. Karou wbiła więc wzrok w wypaloną słońcem kamienistą ziemię, skuliła ramiona, jak przystało popsutej lalce, i po chimeryjsku oświadczyła:

– Decyzja należy do Thiaga.

Miała nadzieję, że dobrze odgrywa rolę. Starła się.

Ale nie mogła tak odejść. Mimo wszystko Akiva ścigał ducha nadziei. W dniach ich miłości nawet sobie nie wyobrażali tylu krwi i popiołów, a jednak on starał się to wszystko wskrzesić. Jaka droga im pozostała? Chciała tego.

Musiała dać jakiś znak.

Issa trzymała ją za łokieć. Karou przywarła do niej i odwróciła się tak, żeby ciało zmii osłoniło ją przed wzrokiem chimer, a później, tak szybko, aż bała się, że Akiva nie zauważy, podniosła rękę i dotknęła serca.

Czuła, jak bije, kiedy odchodziła. My jesteśmy początkiem, pomyślała i zawładnęło nią wspomnienie tamtej wiary. Pochodziło od Madrigal, jej głębszej jaźni, która z tą wiarą umarła. Przenikało ją. Przyłgnęła do Issy i schowała twarz, żeby nikt nie widział rumieńca.

Issa odezwała się tak cicho, że jej słowa przypominały myśl Karou:

– Widzisz, moje dziecko? Twoje serce się nie myli.

Pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna Karou poczuła, że to prawda. Jej serce się nie myliło.

Powstały ze zdrady i desperacji, pośród rozwścieczonych potworów i w obliczu inwazji aniołów, na tle oszustwa, które przypominało oczekiwanie na wybuch, jakimś cudem to tutaj był początek.

## Gra w bycie kolegami

Akiva zobaczył. Dostrzegł, że Karou musnęła końcami palców serce, a potem się odwróciła, i w tej chwili wszystko nabrało sensu. Ryzyko i wykręcająca wnętrzności konieczność rozmowy z Wilkiem, a nawet niedowierzanie ziejącej wściekłością Liraz, która kipiała przy jego boku.

– Chyba oszalałeś – wysyczała półgłosem. – „Ja też mam armię”?! Nie masz armii, jesteś członkiem armii. Widzisz różnicę?

– Widzę – odparł.

Nie powinien składać takiej propozycji. Bracia Bastardzi czekali na nich w jaskiniach Kirinów, to była prawda. Urodzili się, żeby być bronią. Nie synami i córkami, nie mężczyznami i kobietami. Tylko bronią. Teraz byli bronią we własnym władaniu, ale chociaż stanęli za Akivą w buncie przeciwko Imperium, nie było mowy o przymierzu ze śmiertelnym

wrogiem.

– Przekonam ich – zapewnił w uniesieniu. Karou dotknęła serca. Naprawdę w to wierzył.

– To zacznij ode mnie – wycodziła jego siostra. – Przylecieliśmy tu, żeby ich ostrzec, a nie żeby się z nimi bratać.

Akiva wiedział, że jeśli przekona Liraz, reszta też się zgodzi. Ale nie miał pojęcia, jakim cudem miałyby to zrobić. Zresztą musiał przestać nad tym rozmyślać, bo ruch Wilka zmusił go do uwagi.

Wraz ze swoją poruczniczką wilczycą ruszyli naprzód, a radość Akivy szczyła. Przypomnił sobie, jak pierwszy raz zobaczył Wilka. To było w Bath Kol, kiedy służył w Ofensywie Cienia, jako całkiem jeszcze zielony żołnierz, tuż po opuszczeniu koszar. Zobaczył generała chimer w walce i ten widok obudził w nim nienawiść do potworów skuteczniej niż jakakolwiek propaganda. Z mieczem w jednej ręce i toporem w drugiej, Thiago sunął przez szeregi aniołów, rozrywając im gardła zębami, jakby podpowiadał mu to instynkt. Jakby był głodny.

Od tego wspomnienia Akivę zemdliło. Mdlilo go od wszystkiego, co się wiązało z Thiago, a najbardziej od tych zadrapań na jego twarzy, zostawionych z całą pewnością przez broniącą się Karou. Kiedy generał się przed nim zatrzymał, Akiva mógł jedynie skupiać się na tym, żeby mu nie przywalić i nie przycisnąć go do ziemi. A potem wbiłby mu miecz w serce, tak samo jak Joramowi, i już cała reszta miałaby nowy początek. Byliby wolni od panów śmierci, od tak dawna prowadzących ich przeciwko sobie.

Ale nie mógł tego zrobić.

Idąca pod górę Karou się odwróciła. Na jej ślicznej twarzy widział niepokój. Wciąż nosiła ślady przemocy, o której nie chciała powiedzieć. Ale zaraz odeszła i naprzeciwko Akivy i Liraz zostali tylko Thiago i Ten. Słońce stało wysoko i paliło, niebo było błękitne, a ziemia szara.

– Teraz – zaczął Thiago – możemy porozmawiać bez widowni.

– Z tego, co pamiętam, lubisz widownię – zauważył Akiva.

Wspomnienie tortur pojawiło się przed nim żywe jak jeszcze nigdy. Thiago zrobił z nich przedstawienie. Biały Wilk, gwiazda krwawego spektaklu.

Na twarzy Thiaga pojawił się grymas zakłopotania, ale natychmiast zniknął.

– Przeszłość zostawmy za sobą. Teraźniejszość przynosi nam znacznie

więcej tematów do rozmowy. Nie mówiąc już, oczywiście, o przyszłości.

W przyszłości ciebie nie będzie, pomyślał Akiva. Nieznośna była myśl, że jeśli jakimś cudem to wszystko się uda i niemożliwy sen jednak się zrealizuje, Biały Wilk też się w nim znajdzie, wciąż biały, zadowolony z siebie, wciąż stojący pod drzwiami Karou, po tym wszystkim, co zostało wywalczone i wygrane.

Nie. To zła myśl. Szczęki Akivy zacisnęły się, a potem rozluźniły. Karou nie była trofeum wojennym, nie po to tu przyleciał. Była kobietą i sama zadecyduje o swoim życiu. On przyleciał, żeby zrobić wszystko, cokolwiek się da, by pewnego dnia miała wybór. A kogo i co to życie będzie zawierało, to już jej sprawa. Zazgrzytał więc tylko zębami i się zgodził:

– Więc mówmy o teraźniejszości.

– Swoim przybyciem postawiłeś mnie w bardzo niezręcznej sytuacji – oznajmił Wilk. – Moi żołnierze tylko czekają, żebym cię zabił. Musisz mi powiedzieć, dlaczego mam tego nie zrobić.

To rozsierdziło Liraz:

– Myślisz, że mógłbyś nas zabić? – spytała ostro. – Spróbuj, Wilku.

Thiago przeniósł uwagę na nią, ale jego spokój był niezmacony.

– My się chyba nie znamy?

– Dobrze wiesz, kim jestem, ja ciebie też znam. Na tym poprzestańmy.

Typowa dla niej opryskliwość.

– Jak sobie życzysz – zgodził się Thiago.

– I tak wszyscy wyglądacie tak samo – pociągnęła temat Ten.

– W takim razie – podchwyciła Liraz – to może wam nieco utrudnić naszą małą grę w bycie kolegami.

– Co to niby za gra?

Lir, nie, błagam, zaklinał w myślach Akiva. Ale na próżno.

– Polega na tym, że my usiłujemy rozpoznać, kogo z was zabiliśmy w poprzednim wcieleniu. Założę się, że niektórzy z was mnie pamiętają. – Uniosła rękę, żeby pokazać swój rejestr śmierci, ale Akiva złapał ją za nadgarstek i popchnął rękę z powrotem w dół.

– Nie obnoś się z tym – rozkazał. Co z nią jest nie tak? Naprawdę chciała to zmienić w rozlew krwi? To czym była ta niewytłumaczalna i prawie niewyobrazalna przerwa w agresji?

Kiedy Akiva spychał rękę siostry z powrotem do jej boków, Ten wybuchła śmiechem podobnym do warkotu.

– Nie martw się, Pomorze Dzikich, to nie tajemnica. Pamiętam każdego anioła, który mnie zabił, a jednak stoję tu teraz i z wami rozmawiam. Możecie to samo powiedzieć o aniołach, których ja zabiłam? Gdzie oni teraz są? Gdzie jest wasz brat?

Liraz drgnęła. Akiva odebrał te słowa jak dźgnięcie w świeżą ranę. Przywołała widmo Hazaela od niechcenia, tak złośliwie, że kiedy poczuł wzbierający wokół żar, wiedział, że to nie jego siostra goreje, ale on.

Proszę bardzo, wszystko wracało do normy, pojawiła się wrogość.

A może nie..?

– Ale waszego brata nie zabiła chimera – przypomniał Thiago. – Zabił go Jael. Co sprowadza nas z powrotem do punktu wyjścia. – Akiva skupił się na bladych oczach wroga. Nie było w nich kpiny, zapowiedzi wybuchu ani lodowatego śmiechu, którymi traktował Akivę lata temu w komnacie tortur. Widział w nich tylko niewytłumaczalne napięcie. – Nie wątpię, że wszyscy jesteśmy mordercami – dodał spokojnie – ale jak rozumiem, stoimy tu z innych względów.

W pierwszej chwili Akiva się zawstydził, bo jak to możliwe, że poucza go niewzruszony Thiago, ale zaraz potem się wściekł.

– Tak. Nie po to, żeby analizować zasadność naszego życia. Oczekujesz argumentu, żeby nas nie zabić? To co powiesz na taki: macie inne miejsce, gdzie moglibyście się udać?

– Nie, nie mamy – odrzekł po prostu Thiago. – Zatem słucham. To był w końcu twój pomysł.

Tak, pomysł był jego. Szalony pomysł, żeby proponować pokój Białemu Wilkowi. Teraz, kiedy stał z nim twarzą w twarz, a Karou nie było w pobliżu, widział, jaki to absurd. Zaślepiło go desperackie pragnienia pozostania blisko niej, żeby nie zaginęła w odmętach Eretz jako wróg. Złożył więc tę propozycję, ale teraz, z opóźnieniem, dotarło do niego, jakie to dziwne, że Wilk w ogóle bierze ją pod uwagę.

Że szuka powodu, żeby nie musieć go zabić.

To stwierdzenie brzmiało jak atak, jak prowokacja. Ale czy to mogła być prawda? Czy szczerze chciał pokoju i musiał tylko usprawiedliwić się przed swoimi żołnierzami?

– Bastardzi przelecieli do bezpiecznej kryjówki – zaczął. – W oczach Imperium jesteśmy zdrajcami. Ja jestem ojco- i królobójcą, a moja wina plami nas wszystkich. – Przed wypowiedzeniem następnych słów się zawahał. – Jeśli poważnie bierzesz pod uwagę przymierze...

– Z mojej strony to nie podstęp – wtrącił Thiago. – Daję słowo.

– Twoje słowo?. – Liraz roześmiała się sucho. – Będziesz musiał się bardziej wysilić. Niby czemu mielibyśmy ci wierzyć?

– Jak to? Przecież żyjecie, prawda? Nie oczekuję wdzięczności, ale liczę, że zauważycie, że to nie przypadek. Przylecieliście do nas półżywi. Gdybym chciał was wykończyć, już bym to zrobił.

Nie mieli powodu, by oponować. Niewątpliwie Thiago zostawił ich przy życiu. Pozwolił im uciec.

Ale czemu?

Dla dobra Karou? Czy wybłagała ich życie? Albo...

...dała coś w zamian?

Spojrzał na wzgórze, po którym szła. Stała jeszcze w łukowatym wejściu do kasby i patrzyła na nich, ale była zbyt daleko, żeby mógł cokolwiek wyczytać z jej twarzy. Odwrócił się do Thiaga i stwierdził, że jego mina wciąż jest pozbawiona okrucieństwa, przebiegłości czy nawet typowego dla niego lodowatego chłodu. Oczy miał otwarte, nie łypał jak zwykle spod arogancko czy pogardliwie opuszczonych powiek. Jakim cudem?

Akivie przyszło do głowy jedno rozwiązanie, ale nie mógł go znieść. W komnacie tortur wściekłość Thiaga była furją przegranego rywala. Pod pradawną nienawiścią między ich rasami płonęła osobista uraza odrzuconego samca alfa. Upokorzenie tego, który nie został wybrany. Zemsta za miłość Madrigal do Akivy.

Ale w spojrzeniu nie miał już nic takiego. Nie było zresztą powodu. Akiva nie był jego rywalem, nie stanowił zagrożenia. Tym razem Karou dokonała innego wyboru.

Jak tylko ta myśl wyklarowała się w umyśle Akivy, spokój Thiaga wydał mu się mocnym dowodem. Biały Wilk był tak pewny swojej pozycji, że nie musiał zabijać Akivy. Karou, na Gwiezdnym Bogów, Karou.

Gdyby nie ich krwawa historia, gdyby Akiva nie wiedział, co naprawdę czai się w sercu Thiaga, wydawaliby się wymarzoną parą: generał i wskrzesicielka, pan i pani broniący ostatniej nadziei chimer. Ale znał serce Thiaga i Karou też je znała.

Agresja Wilka nie należała do przeszłości. Spuszczone oczy Karou, jej rozedrgana niepewność. Sińce, zadrapania. A równocześnie istota stojąca teraz przed Akivą wydawała się pokazową wersją Białego Wilka:



inteligentny, władczy, racjonalny. Wartościowy sprzymierzeniec. Patrząc na niego, Akiva nawet nie wiedział, na co powinien liczyć. Jeśli Thiago taki właśnie był, przymierze miało rację bytu i Akiva będzie mógł uczestniczyć w życiu Karou, nawet stojąc z boku. Będzie przynajmniej mógł ją widywać i mieć pewność, że wszystko u niej dobrze. Nie mówiąc już o tym, że mieli szansę na powstrzymanie Jaela.

Z drugiej strony, jeśli Thiago taki właśnie był – inteligentny, silny, racjonalny – i ramię w ramię z Karou kształtował przyszłość ich ludzi, gdzie tam było miejsce dla Akivy? Co więcej: czy w ogóle da radę na to patrzeć?

– Jest coś jeszcze – odezwał się Thiago – coś, za co winien ci jestem wdzięczność. Chcę ci podziękować za dusze kilku moich ludzi.

Akiva zmrużył oczy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– O Hintermost. Uniemożliwiłeś tortury chimeryjskiego żołnierza. Uciekł i zdołał dostarczyć nam dusze członków swojego oddziału.

Ach. Ten Kirin. Ale skąd ktokolwiek mógł wiedzieć, że to był Akiva? Nie pokazał się nikomu. Zwołał tylko ptaki z całej okolicy. Pokręcił głową, gotów się tego wyprzeć.

Ale Liraz go tym razem zaskoczyła.

– Gdzie on jest? – spytała Thiago. – Nie widziałam go wśród innych.

Czyli wypatrywała go? Akiva zerknął w jej stronę. Thiago uciekł spojrzeniem, wyostrzył wzrok i spojrzał na nią.

– Nie żyje – odparł po chwili milczenia.

Nie żyje. Ten młody Kirin, ostatni z plemienia Madrigal. Liraz się nie odezwała.

– Przykro mi to słyszeć – stwierdził Akiva.

Thiago popatrzył znów na niego.

– Dzięki tobie będzie żył przynajmniej jego oddział. A wracając do naszej sprawy, czy nie torturował go ten anioł, z którym musimy walczyć?

Akiva pokiwał głową.

– Jael. Kapitan Dominium. Teraz Imperator. Kiedy tu stoimy, on rośnie w siłę i chociaż twoje słowa nic dla mnie nie znaczą, pozwałam sobie uwierzyć w jedno: że chcesz go powstrzymać. Jeśli więc wierzysz, że twoi żołnierze będą w stanie odróżnić jednego anioła od drugiego na tyle długo, żeby u boku Bastardów walczyć z Dominium, chodźcie z nami i zobaczymy, co będzie.

Liraz lodowato zwróciła się do Ten:

– My nosimy czerni, a oni biel, jeśli to ci jakoś pomoże.

– I tak wszyscy smakujecie tak samo – odparła lakonicznie wilczyca.

– Ten, proszę – warknął ostrzegawczo Thiago, a do Akivy powiedział:  
– Tak, zobaczymy.

Skinął głową na znak obietnicy, a gdy podtrzymał spojrzenie Akivy, ten wciąż widział w jego oczach rozwagę, a nie okrucieństwo. Bardzo dobrze jednak pamiętał widok rozrywanych gardeł i czuł, że balansuje na granicy bardzo złej decyzji.

Buntownicy i Bastardzi razem. W najlepszym razie to będzie porażka. W najgorszym rzeźnia.

Jednak mimo złych przeczuć czuł, jak wzywa go jasność, jak przyszłość pełna światła woła go do siebie. Żadnych obietnic, tylko nadzieja. Nie tylko ta rozpalona dyskretnym gestem Karou. W każdym razie tak mu się wydawało. Sądził, że tak właśnie powinien postąpić i że nie jest to głupie, tylko odważne.

Ale jak będzie, pokaże czas.

## Odwrót potworów

**K**arou widziała już jedną przeprowadzkę tej niewielkiej armii ze świata do świata i nie był to najfajniejszy moment. Ze względu na przewagę bezskrzydłych żołnierzy musieli tę trasę pokonywać ładnych parę razy, a Thiago i tak obstawał przy „wyswobodzeniu” niektórych, zebraniu ich dusz i przetransportowaniu na ziemię w kadzielnicach. Ciała traktował jako „zbędny ciężar”, wykluczając z tej kategorii oczywiście siebie i Ten oraz kilku jeszcze poruczników, którzy polecili na plecach większych, uskrzydłych chimer.

Tym razem Karou z wielką ulgą stwierdziła, ustawivszy wszystkich w szeregu na dziedzińcu, że ci, których można by uznać za „zbędny ciężar”

zostaną za jednym razem zabrani przez resztę, więc o żadnym „wyswobodzeniu” nie będzie mowy.

Dół był pełen po wręby.

Po raz ostatni spojrzała na niego z góry, kiedy cała drużyna odlatywała, bo przyciągał jej wzrok jak magnes. Z tej wysokości wydawał się dołkiem umiejscowionym u podnóża krętej ścieżki, prowadzącej z kasby. Za ledwie ciemne wgłębienie w ziemi koloru kurzu, do tego kilka nadprogramowych pryzm z wbitymi łopatami. Wyobraziła sobie, że widzi ślady paznokci w miejscu, gdzie zaatakował ją Thiago, a nawet ciemniejsze plamy, które mogły być krwią. Za wzgórkami ziemi, niedostrzegalne dla nikogo poza nią, widniało kolejne wzniesienie: grób Ziriego.

Płytki, choć i tak miała dłonie całe w pęcherzach od kopania, ale nic by jej nie zmusiło do wrzucenia ciała ostatniego prawdziwego Kirina do dołu pełnego rozkładających się zwłok i much. Choć nie uniknęła tego widoku i odoru, musiała się bowiem nachylić nad krawędzią tej gęstej, pełzającej ciemności, żeby do lśniącej kadzielnicy Ziriego zebrać dusze Amzallaga i Żywych Cieni. Zostali zamordowani przez Wilka i jego towarzyszy za to, że stanęli po jej stronie.

Wolałaby ich mieć u boku żywych, a nie dobrze ukrytych w kadzielnicy, ale na razie musieli tam pozostać. Jak długo? Nie wiedziała. Do czasu, którego w tej chwili nie potrafiła określić: aż to wszystko się skończy, ułoży się i nie będzie już trzeba mistyfikacji i oszustw.

Jeśli taki czas kiedykolwiek nadejdzie.

Nadejdzie, jeśli sprawimy, żeby nadszedł, upomniała się.

Wysłannicy Thiaga donieśli, że w promieniu kilku kilometrów od przejścia nie ma śladu serafinów. Ulżyło jej, ale i tak nikomu nie mogła ufać. Razgut znalazł się w rękach Jaela, więc nic nie było pewne.

Wydawało jej się nie w porządku, że odchodzą – uciekają – ale co innego mogli zrobić? Chimer było obecnie tylko osiemdziesiąt siedem; osiemdziesiąt siedem „potworów”, jakby ich określił świat. A może i „demonów”, jeśli Jelowi uda się sprzedać swoją gadkę o świętości. Za mało, żeby go powstrzymać albo zabrać z powrotem. Jeśli zaatakowałiby teraz, nie tylko by przegrali, ale i przyczynili się do jego sukcesu. Karou wiedziała, że wystarczy rzut oka na żołnierzy, których stworzyła, i ludzie sami wepchną Jelowi do rąk wyrzutnie rakiet.

Z Bękartami Akivy mieli pewną szansę.

Oczywiście to przymierze samo w sobie było gniazdem os. Wcisnąć go chimerom. Stąpienie po ostrzu brzytwy, którą było to oszustwo, żeby skłonić armię buntowników do postępowania wbrew najpierwotniejszym instynktom. Karou wiedziała, że każdy kolejny krok spotka się ze sprzeciwem większości. Żeby mieć szansę na kształtowanie nowej przyszłości, nie wolno im będzie zaliczyć żadnej wpadki. I kim w ogóle byli „oni”? Oprócz niej i „Thiaga” sekret znały tylko Issa i „Ten”, czyli tak naprawdę Haxaya, mniej okrutna, ale równie porywcza jak prawdziwa Ten. Teraz wiedzieli jeszcze Zuzana i Mik.

– Co z tobą? – spytała Zuzana, jak tylko pozostawiły negocjujących Akivę i Thiaga. – Zanęcasz Białego Wilka?!

– Wiesz, co to znaczy zanęcać? Można na przykład zanęcać rekiny, wpuszczając krew do wody – odparła Karou wymijająco.

– Wiem, co to znaczy, i jestem pewna, że z tymi rekinami to jakaś metafora. Co on ci zrobił? Jesteś cała?

– Już tak – odparła Karou.

Chociaż z ulgą rozwiała podejrzenia przyjaciół co do jej stosunków z Thiagiem, musiała też przy okazji powiedzieć o Zirim. Oboje płakali, co wywołało też jej łzy. Niewątpliwie w oczach całej armii wyglądała teraz na ucieleśnienie słabości.

Z tym mogła żyć, ale na bogów i gwiazdny pył, Akiva to co innego. Jak mogła pozwolić mu myśleć, że trzyma z Białym Wilkiem? Ale co miała zrobić? Wszystkie chimery miały ją na oku. Jedne przyglądały się ze zwykłej ciekawości – czy wciąż go kocha? – ale inne patrzyły podejrzliwie, skłonne do potępienia i uknucia spisku na podstawie każdego rzutu oka. Nie mogła im dawać powodów, więc w kasbie trzymała się z dala od Akivy i Liraz, a teraz próbowała nawet na nich nie zerkać z odległego skrzydła formacji.

Thiago leciał z przodu, dosiadłszy okrakiem Uthema. Uthem, z plemienia Vispengów aspektu końsko-smoczego, przypominał długiego, wijącego się węża. Był największą i najbardziej imponującą z chimier, a na jego grzbiecie Thiago wyglądał arystokratycznie niczym księżę.

Obok Karou leciała Issa na Rui, żołnierzu z Dashnagów, a pośrodku całej kompanii, absurdalni jak para jaskółek na plecach drapieźników, tkwili Zuzana i Mik.

Zuzana na Virku, Mik na Emylionie. Oboje mieli szeroko otwarte oczy i desperacko trzymali się skórzanych pasków, gdy potężne chimeryjskie

ciała drżały pod nimi, wzbijając się w górę. Zakręcone baranie rogi, które miał Virko, przypominały Karou Brimstone'a. Ciało miał kocie, ale silne mięśnie przypominały raczej lwa na sterydach, a jego potężny kark najeżony był kolcami, na których Zuzana położyła wełniany koc, który, jak się upierała, cuchnął brudnymi stopami.

– Czyli mam do wyboru: albo przez całą drogę wdychać smród stóp, albo wykluć sobie oczy tym świństwem? Cudownie!

Teraz natomiast wrzeszczała:

– Robisz to specjalnie!

Virko bowiem przechylił się ostro w lewo, tak że ona ze śmiercią w oczach zwiśla na prowizorycznym siodle, aż przekreślił się w drugą stronę, żeby ją wyprostować.

On się śmiał, ale Zuzana nie. Odwróciła się, żeby odszukać Karou, i oznajmiła donośnym głosem:

– Potrzebuję nowego konia! Ten myśli, że ma poczucie humoru!

– Nie ma mowy! – odkrzyknęła Karou. Podleciała bliżej, wymijając parę objuczonych gryfonów. Obciążał ją ciężki pakunek składający się ze sprzętu oraz długi łańcuch powiązanych ze sobą kadzielnic, zawierających dziesiątki dusz. Co chwila brzęczały, a ona jeszcze nigdy nie czuła się tak żałośnie. – Tylko on się zgłosił!

To prawda. Gdyby Zuzana nie była tak lekka, nie mogliby zabrać ze sobą ludzi. Virko oprócz niej miał jeszcze inny bagaż, a co do Emyliona, kilku żołnierzy wzięło na siebie część jego ładunku, żeby dał radę unieść Mika, który choć nie był zbyt potężny, nie ważył tyle co nic, jak Zuzana. Nie było też mowy o zostawieniu na ziemi skrzypiec. Nie ulegało wątpliwości, że jej przyjaciele zyskali większe względy tej ekipy niż ona.

W każdym razie większości ekipy. Bo był przecież Ziri. Może już nie wyglądał jak Ziri, ale był Zirim i Karou czuła...

Wiedziała, że jest w niej zakochany.

– Czemu nie zmontowałaś pegaza? – dopytywała Zuzana, coraz bledsza, im dalej było do ziemi. – Miłego, potulnego uskrzydłonego konia z puchatą grzywą zamiast kolców, na którym leciałoby się jak na chmurce.

– Bo nic bardziej nie przerazi wroga niż pegaz! – odkrzyknął Mik.

– Oj, dobra, ale są w życiu inne wartości niż odstraszanie wrogów – upierała się. – Na przykład, żeby nie spadać pół kilometra w dół, zanim się zginie... Aaaaa! – wrzasnęła, bo Virko nagle zanurkował, żeby wyminąć kowala Aegira, który zmagął się z worem pełnym ciężkiej

broni.

Karou złapała za róg worka, żeby mu pomóc, i wspólnie powoli wzniesli się w górę, a Virko poleciał naprzód.

– Bądź dla niej miły! – krzyknęła za nim po chimeryjsku Karou. – Albo w następnym wcieleniu zmienię cię w pegaza!

– Nie! – zawołał. – Tylko nie to!

Pomknął naprzód, a Karou poczuła absurdalność tej sytuacji. Życie wciąż ją zaskakiwało. Przecież nie tak dawno temu stały z Zuzaną przy sztalugach na zajęciach z malarstwa albo siedziały w Zatrutej Kuchni z nogami wyłożonymi na stolik w kształcie trumny, a Mik był jeszcze Skrzypkiem, niewinnym zauroczeniem. Za to teraz, ze skrzypcami przytroczonymi do plecaka, leciał z nimi do innego świata, a Karou straszyla potwory zemstą wskresiciela, jeśli nie będą się grzecznie zachowywać.

Przez chwilę, mimo ciężaru worków pełnych broni, kadzielnic i plecaka, nie mówiąc już o potwornej wadze odpowiedzialności za przyszłość dwóch światów, Karou poczuła się niemal lekko. Jakby odzyskała nadzieję.

A później usłyszała śmieszek pełen mimowolnego okrucieństwa i kątem oka zobaczyła mignięcie ręki. To Keita-Eiri, wojowniczką z plemienia Sabów, o głowie szakała. Karou natychmiast się zorientowała, o co chodzi. Wystawiała hamsy – wymalowane na dłoniach „diabelskie oczy” – w stronę Akivy i Liraz. Rark, lecący obok niej, robił to samo i oboje się zaśmiewali.

Karou miała nadzieję, że serafini są poza zasięgiem mocy, ale zaryzykowała rzut oka i trafiła akurat na moment, gdy Liraz w pół uderzenia skrzydłem wściekle się odwróciła. Nawet z tej odległości dało się zauważyć, że kipi w niej furia.

Czyli hamsy działały. Akiva wyciągnął rękę do siostry i powstrzymał ją od wzięcia odwetu na napastnikach.

Kiedy chimery to zobaczyły, rozległ się jeszcze głośniejszy śmiech, a Karou zacisnęła dłonie z własnymi hamsami. Nie mogła położyć kresu takim zachowaniom, wszystko by tym popsuła, więc zgrzytając zębami, tylko patrzyła, jak Akiva i Liraz odlatują, a zwiększający się dystans nie wróżył nic dobrego pokojowym początkom.

– Wszystko w porządku? – usłyszała syczący szept.

Odwróciła się. Obok niej pojawiła się Lisseth.

– Tak – odparła Karou.

– Aha. Wyglądasz na spiętą.

Chociaż Lisseth i jej partner Nisk pochodzili z Naja, tego samego plemienia co Issa, byli od niej dwa razy więksi i wyglądali przy niej jak pytony przy żmii. Potężni, z byczymi karkami, ale mimo to zabójczo szybcy i wyposażeni nie tylko w trujące kły, ale także w zupełnie niepasujące do nich skrzydła. A wszystko to dzieło Karou, wszystko! Głupia, głupia.

– Nie martw się o mnie – poradziła jej Karou.

– To nie takie łatwe, sama rozumiesz. Jak miałabym się nie martwić o kochanicę anioła?

Jeszcze niedawno takie słowa by zabołały. Ale teraz już nie.

– Wiesz, Lisseth, mamy tylu wrogów – odparła Karou, starając się, żeby jej głos brzmiał niefrasobliwie. – Większość przypisano nam w chwili przyjścia na świat i odziedziczyliśmy ich jak brzemie, ale ci, których załatwiamy sobie sami, są w pewnym sensie wyjątkowi. Powinniśmy ich wybierać z rozwagą.

Lisseth zmarszczyła brwi.

– Czy ty mi grozisz?!

– Grożę ci? A z której części mojej wypowiedzi udało ci się to wysnuć? Mówiłam o wybieraniu sobie wrogów, a nie wyobrażam sobie chimeryjskiego żołnierza, który byłby na tyle głupi, żeby robić sobie wroga ze wskrzesiciela.

Proszę bardzo, pomyślała, gdy twarz Lisseth aż się ściągnęła, zrozum to sobie, jak chcesz.

Sunęli naprzód w równym tempie, ona pośrodku grupy, gdy nagle szeregi przed nimi rozstały się i ukazały Thiaga na Uthemie, zwróconego do nich. Wszyscy zgromadzili się wokół i spowolnili lot.

– Panie – powitała go Lisseth, a Karou niemal widziała przemowę kształtującą się w jej myślach:

„A kochanica anioła mnie straszyła! Musimy jej lepiej pilnować!”

Powodzenia, pomyślała, ale Wilk nie dał Lisseth ani nikomu innemu szansy na wypowiedzenie się. Na tyle głośno, żeby było go słychać, ale bez wysiłku, przemówił:

– Czy myślicie, że lecąc z przodu, nie wiem, jak się zachowuje moja armia? – Zamilkł. – Jesteście moją krwią. Czuję każdy wasz ruch i westchnienie, znam wasz ból i wasze radości, więc z całą pewnością

słyszę też wasz śmiech.

Omiótł otaczających go żołnierzy spojrzeniem, a kiedy spoczęło na Keicie-Eiri, już jej nie było do śmiechu.

– Jeśli będę chciał, żebyście sabotowali naszych... sojuszników, powiem wam o tym. A jeśli podejrzewacie, że zapomniałem o takim poleceniu, uprzejmie proszę, powiadomcie mnie. Odwzajemnię się pewnym komunikatem. – Wiadomość była skierowana do wszystkich, ale Keita-Eiri miała pecha, bo stała się symboliczną adresatką lodowatego sarkazmu generała. – Jak się podoba taka umowa? Pasuje ci?

Głosem tak przerażonym, że ledwie słyszalnym, Keita-Eiri odszepnęła:

– Tak, panie.

Karou prawie zrobiło się jej żal.

– To się cieszę. – Wilk ściszył teraz głos. – Walczyliśmy razem i razem przeżywaliliśmy stratę naszych ludzi. Razem krwawiliśmy i krzyczeliśmy. Poszliście za mną w ogień i na śmierć, a nawet do innego świata. Ale chyba nigdy nie wydarzyło się coś tak dziwnego. Pokój z serafinami? Może i wygląda dziwnie, ale byłbym wielce rozczarowany, tracąc wasze zaufanie. Tu nie ma miejsca na sprzeciw. Każdy, komu nie pasuje ten kierunek, może nas opuścić, jak tylko znajdziemy się w Eretz, i szukać rozwiązania na własną rękę. – Przyjrzał się ich twarzom. Jego była zacięta, ale i rozświetlona jakimś wewnętrznym blaskiem. – Jeśli zaś chodzi o anioły, nie oczekuję niczego poza cierpliwością. Nie możemy z nimi walczyć tak jak kiedyś, nie możemy już wierzyć w swoją liczebność niezależnie od poniesionych ofiar. Od każdego, kto zostanie przy mnie, oczekuję wiary. Przyszłość jest mroczna i nie mogę wam obiecać niczego poza jednym: będziemy walczyć o nasz świat do ostatniego echa naszych dusz, a jeśli będziemy bardzo silni, jeśli dopisze nam szczęście i wykażemy się wielką bystrością, możemy przeżyć i odbudować choćby część z tego, co straciliśmy.

Spojrzał w oczy każdemu, żeby każdy poczuł się dostrzeżony, wzięty pod uwagę, cenny. To spojrzenie wyrażało jego wiarę w nich. A nawet więcej: jego wiarę w ich wiarę w niego. Potem mówił dalej:

– Jedno jest jasne: jeśli nie uda nam się przewalczyć obecnego zagrożenia, będzie po nas. Nastąpi koniec chimer. – Przerwał. Jego wzrok zatoczył pełne koło i wylądował z powrotem na Keicie-Eiri, do której zwrócił się z gładką delikatnością, czyniącą groźbę jeszcze bardziej przerażającą: – I to nie jest śmieszne, żołnierzu.



Następnie pogonił Uthema naprzód i przelecieli wśród rozstępujących się szeregów znów zająć miejsce na czele armii. Karou obserwowała, jak żołnierze zajmują w milczeniu swoje miejsca. Wiedziała, że nikt go nie opuści i że do końca podróży Akivie i Liraz nie grożą już ataki.

To dobrze. Była dumna z Ziriego, ale jednocześnie trochę się wystraszyła. W swoim naturalnym ciele młody żołnierz był cichy, niemal nieśmiały, zupełnie inny niż elokwentny megaloman, w którego postać wszedł. Obserwowała go i po raz pierwszy przyszło jej do głowy – choć to głupie, że nie pomyślała o tym wcześniej – jak może go zmienić bycie Thiagiem.

Ale ta myśl zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. To przecież Ziri. Karou musiała się martwić wieloma rzeczami, ale na pewno nie tym, że władza przeciągnie go na stronę złą.

Musiała się za to przejąć Lisseth. Spojrzała na nią. Wisiała w powietrzu, nieopodal, kiedy generał zajmował swoje miejsce, i Karou widziała w jej oczach kalkulację.

Co sobie myślała? Karou wiedziała, że nie ma szansy, żeby którykolwiek z poruczników Thiaga opuścił armię, chociaż... Boże, bardzo by tego chciała. A w tym, co powiedziała o robieniu sobie wroga z wskrzesiciela, nie było ani żartu, ani czczej pogroźki. Jeśli żołnierze chimer mogli być pewni czegokolwiek, to tego, że gdy wezmą udział w bitwie, w pewnym momencie będą potrzebowali nowego ciała.

Krowa, pomyślała Karou. Wielka, powolna krowa. A kiedy następnym razem Lisseth na nią łypnęła, niemal radośnie pomyślała: Muuuu.

## **Podarunek od dzikości**

Lecieli wysoko nad szczytami. Kasba była daleko za nimi, przejście już blisko, choć Karou z trudem je dostrzegała. Wyglądało jak niewyraźne zafalowanie powietrza i trzeba było wpaść w nie z wielką wiarą, żeby

poczuć, jak jego krawędzie muskają ciało. Większe stworzenia składały skrzydła jak mogły najciaśniej i atakowały z dużą szybkością, ale jeśli wcelowały ledwie ułamek centymetra za wysoko lub za nisko, pozostawały wciąż tutaj, na ziemskim niebie. Ale tym razem tak się nie stało. Wiedzieli, co robią, i znikali w szparze jedno za drugim.

Trochę to jednak zajęło, zanim wszystkie wiszące w powietrzu postacie rozmyły się w niebycie.

Gdy przyszła kolej Virka, Karou zawołała do Zuzany:

– Trzymaj się!

I trzymała się mocno, znikając w przejściu. Następni byli Emylion z Mikiem i Karou czuła niepokój, że straciła przyjaciół z oczu, więc skinęła do Wilka, który krążył wokół, chcąc upewnić się, czy wszyscy przeszli, zaczerpnęła ostatni wdech ziemskiego powietrza i zanurkowała.

Poczuła na twarzy miękkiej jak pióra dotyk nieznannej materii, która oddzielała od siebie światy, i już była po drugiej stronie.

W Eretz.

Tu nie było niebieskiego nieba. Nad ich głowami łuk nieboskłonu był biały, a ponad jedynym widocznym horyzontem przechodził w odcień ciemnej szarości. Całą resztę spowijała mgła. Pod nimi była woda. Zatoka Potworów. Czarne odmęty kryły coś przerażającego. Bezlitosnego.

Wiał mocny wiatr; owionął ją, gdy dołączała do formacji. Mocniej otuliła się swetrem, ale i tak zadrżała. Przez szparę w niebie jako ostatni przedostali się Uthem i Thiago. Końsko-smocze ciało Uthema lekko drżało, zielone i falujące, kiedy pojawił się w tym świecie jakby znikąd. Plemię Vispengów nie miało skrzydeł, więc Karou musiała wykazać się kreatywnością, żeby jakoś zrównoważyć jego długość. W efekcie miał dwie pary: główne, wielkie jak żagle, i mniejsze w okolicach tylnych nóg. Jeśli miała być ze sobą szczerą, wyszło całkiem spoko.

Wilk skinął głową w stronę przejścia i od razu zabrał się do przeliczania kołujących żołnierzy. Szybko rzucił okiem na Karou i choć spojrział tylko przelotnie, poczuła, jakby była – nie, wiedziała, że jest – jego najważniejszą troską, czy na tym świecie, czy na innym. Dopiero kiedy się upewnił, że tu jest i że wszystko z nią w porządku, zabrał się do kolejnego zadania, którym było bezpieczne przeprowadzenie armii przez Zatokę Potworów.

Karou odwróciła się od portalu, choć z trudem przychodziło jej zostawienie go na pastwę każdego, kto mógłby chcieć go użyć. Akiva

zamierzał to przejście spalić, kiedy znajdą się już po tej stronie, ale Jael pokrzyżował im plany. Teraz będą go potrzebować.

Żeby móc wrócić i rozpocząć apokalipsę.

Wilk raz jeszcze przejął dowodzenie i skierował ich na wschód, z dala od stalowoszarego horyzontu, w stronę gór Adelphas. W pogodny dzień ich szczyty byłyby widoczne. Dziś widzieli przed sobą tylko gęstniejącą mgłę, co miało swoje plusy i minusy.

Plusem było to, że mgła dawała im osłonę. Żaden patrol serafinów nie wypatrzyłby ich z daleka.

A minusem, że mgła kryła także wszystko inne, więc i oni sami nie zdołaliby wypatrzeć zagrożenia.

Kiedy to się stało, Karou znajdowała się pośrodku kolumny, bo podleciała akurat do Rui, żeby porozmawiać z Issą.

– Dajesz radę, moja słodka? – spytała Issa.

– Ja tak – odparła Karou – ale ty potrzebujesz więcej ubrań.

– Nie pogardziłabym.

Chociaż już miała na sobie ubranie – sweter Karou rozcięty przy dekolcie, żeby zrobić miejsce dla kobrzego kaptura – co było dla niej nietypowe, usta miała sine, a ramiona podskakiwały jej aż do uszu, tak się trzęsła. Naje były przyzwyczajone do gorącego klimatu. W Maroku czuła się doskonale, ale w tej zimnej mgle już nie, nie mówiąc o lodowatym celu ich podróży, który miał jednak tę zaletę, że znajdą tam schronienie od żywiołów. Poza tym, jeśli nic się nie zmieniło, to, jak pamiętała Karou, w jaskiniach są gorące źródła.

Jaskinie Kirinów.

Nigdy nie wróciła do miejsca urodzin, swojego pierwszego domu. Zamierzała wrócić, kiedyś. Mieli się tam spotkać z Akivą i zacząć bunt, ale los miał inny pomysł.

Nie, wcale nie. Karou nie wierzyła w los. To nie los pokrzyżował im plany, tylko zdrada. I to nie los odtwarzał teraz podszytą podejrzliwością i wrogością jakąś wykręconą ich wersję, niczym z teatryku cieni. To robiła wola.

– Znajdę dla ciebie koc czy coś w tym stylu – obiecała Issie, a w każdym razie zaczęła obiecywać, bo właśnie w tej chwili coś się nad nią znalazło.

Albo na niej.

Na nich wszystkich.

Najpierw ciśnienie w opadającej mgle, a potem dreszcz pewności.

Karou obniżyła lot i zadarła głowę. Nie tylko ona to czuła. Reagowały wszystkie szeregi żołnierzy. Opadali, wyciągali broń i obracali się, żeby zobaczyć... to coś.

Białe niebo wisiało tak nisko nad ich głowami, że można go było niemal dotknąć. Poza tym nic nie było widać, ale Karou czuła uderzenie krwi i szum, dźwięk zbyt niski, żeby go słyszeć. A potem coś nagłego i miażdżącego, szybkiego i potężnego, pchającego przed sobą wiatr, który poroztrącał żołnierzy jak zabawki. Jakieś coś.

Duże.

Przysłaniające niebo, znikające w mgnieniu oka, ciągnące za sobą spojrzenia kompanii. Takie nagłe, takie obecne, takie wielkie, że Karou nawet nie mogła go objąć rozumem, a kiedy przesuwało się tuż obok, dotknęło jej, zaś ślad zniekształcającego powietrze ogromu porwał ją i obrócił. To był jakby prąd przeciwny, a łańcuchy i kadzielnice się rozszalały, opłotły ją i przez tę chwilę w czarnym wirze wyobraziła sobie ponure wody pod sobą i wpadające do nich srebrne naczynia, Zatokę Potworów, pochłaniającą zebrane w nich dusze. Ostro walczyła o odzyskanie kontroli. A potem, zupełnie ot tak, była wolna i dryfowała na dziwnie spokojnej fali tego, co już po. Była ciasno obwiązana łańcuchami, ale nie straciła żadnej kadzielnicy i teraz pozostawało już tylko się obejrzeć i sprawdzić, co to, ach! Ach, zanim gęsty biały dzień znów to – ich – połknie i znikną.

Burzołowcy.

Największe istoty w tym świecie, nie licząc oczywiście sekretów, które kryło morze. Ich skrzydła mogły zakryć – oraz zniszczyć – mały dom. Oto, co ją musnęło: skrzydło burzołowcy. Stado gigantycznych ptaków po prostu przeleciało obok ich grupy, a każde uderzenie skrzydeł, nawet to najdalsze, wystarczyło, żeby rozbić formację. Zanim Karou wygospodarowała w głowie przestrzeń na zachwyty, szybko sprawdziła stan liczebny.

Wypatrzyła Issę, wciąż na plecach Rui, roztrzęsioną, ale całą. Kowal Aegir upuścił wór z bronią, wszystko zniknęło w morzu. Akiva i Liraz lecieli daleko z przodu, Zuzana i Mik też wylecieli naprzód, może nie bardzo daleko, ale nie zauważyła, żeby smagnięcia skrzydeł zrobiły im jakąś krzywdę. Byli najwyżej trochę potargani, ale przede wszystkim oszołomieni z zachwyty, który Karou wciąż od siebie odpychała. Żołnierze z powrotem ustawiali się w szeregi, ale żaden nie okazał dość

powściągliwości, żeby z otwartymi ustami nie gapić się za wielkimi istotami, niknącymi już we mgle. Poza tym byli cali.

Burzołowcy tylko nimi zatrzęśli.

W swoim najwcześniejszym życiu Karou była dzieckiem gór, Madrigal z Kirinów, ostatniego plemienia z gór Adelphas. Te wielkie stworzenia widywano wówczas wśród szczytów, ale ani Kirinowie, ani nikt inny, o kim słyszała, nie widział jeszcze burzołowcy z tak bliska. Nie można ich było złapać, byli całkowicie nieuchwytni, za szybcy, by je ścigać, oraz zbyt czujni, by ich zaskoczyć. Mówiło się, że wyczuwają najlżejsze zmiany w powietrzu i w atmosferze, a jako dziecko, jako Madrigal, Karou nie miała najmniejszego powodu, żeby w to nie wierzyć. Teraz widziała ich z daleka, unoszących się jak drobinki na tle ostrego słońca, i chętnie by za nimi poleciała, ale zanim by wykonała pierwszy ruch, skrzydła poniosłyby ich w dal. Nikt nie znalazł nigdy gniazda, nawet skorupy jaja czy choćby szkieletu, jeśli więc burzołowcy wykluwali się i umierali, nikt nie wiedział gdzie.

Teraz Karou widziała ich z bliska i było to cudowne doznanie.

Adrenalina szalała i nie mogła się powstrzymać. Uśmiechnęła się. Miała szansę tylko na rzut oka, ale i tak zauważyła gęste runo pokrywające ich ciała i czarne oczy, wielkie jak talerze, okryte trzecią powieką, jak u ptaków z Ziemi. Ich skrzydła lśniły opalizująco, ale żaden kolor nie dominował, poddawały się grze światła.

Wydawało się, że są prezentem od dzikości i przypomnieniem, że nie wszystko na tym świecie naznaczone jest odwieczną i niekończącą się wojną. Pozbierała się, odplątała z szyi duszący łańcuch i podleciała do Zuzany i Mika.

Wyszczrzyła zęby do wciąż oszołomionej dwójki i zawołała:

– Witamy w Eretz!

– Zapomnij o pegazie – oznajmiła natychmiast Zuzana, rozgorączkowana, z szeroko otwartymi oczami. – Chcę coś takiego!

# Posiniaczone niebo

Znowu więcej burzołowców – poinformował żołnierz Stivan, a potem ustąpił miejsca przy oknie Melliel.

To było jedyne okno w ich celi. Tkwili tu uwięzieni od czterech dni. Słońce zachodziło trzy razy i trzy razy wstawało, żeby oświetlić świat, który miał coraz mniej i mniej sensu. Melliel zebrała się w sobie i wyrzała.

Wschód słońca. Mocne, nasyczone światło, błyszczące chmury, złocące się morze i horyzont tak roziskrzony, że nie dało się na niego patrzeć. Wyspy przypominały rozsypane na wodzie sylwetki uśpionych bestii, a niebo... Niebo wyglądało wciąż tak samo. Jakby... jak to ująć... coś z nim było nie tak.

Jeśli byłoby ciałem, można by powiedzieć, że jest posiniaczone. Ten świt, tak jak i pozostałe, odsłonił nowe wykwity barw, powstałe w ciągu nocy. A może raczej wykwity odbarwienia: fiolet, indygo, niezdrowy odcień żółtego i najdelikatniejszy z błękitów. Były ogromne, te sińce albo kwiaty. Melliel nie wiedziała, jak je nazwać. Wypełniały przestrzeń, rozrastały się z godziny na godzinę, pogłębiając odcień, a potem blednąc, aż w końcu zanikały całkiem, żeby inne mogły zająć ich miejsce.

Widowisko było piękne i gdy Melliel i jej oddział zostali tu zamknięci przez porywaczy, myśleli, że taka jest po prostu natura południowego nieba. Ten świat w niczym nie przypominał znanego im. Wszystko na Dalekich Wyspach było piękne i dziwne. Powietrze mieli tu tak bogate, że aż namacalne, a zapachy przenosiły się w nim z taką samą łatwością jak dźwięki. Aromaty, ptasie trele, każdy powiew wiatru żywy od strzelistych piosenek i zapachów jak morska woda od ryb. A morze! Co minutę przybierało tysiąc nowych kolorów, i nie były to tylko odcienie zielonego i niebieskiego! Drzewa za to wyglądały w porównaniu z ich statecznymi i prężnymi kuzynami z półkuli północnej jak twory wyobraźni dziecka. No a niebo?

No właśnie, niebo robiło coś takiego.

Melliel zdążyła się już zorientować, że to nie jest normalne. I coraz większe stada burzołowców też nie.

Całe grupy zataczały nad morzem niezmordowane koła. Żołnierka

Krwi z armii Bastardów, Melliel, Druga Tego Imienia, nie była już młoda i widziała w życiu wiele burzołowców, ale nigdy więcej niż pięć naraz. Poza tym zawsze kierowały się w stronę horyzontu i leciały w rzędzie. Tutaj były ich dziesiątki. Do których dołączały kolejne.

Szaleństwo, które byłaby skłonna przyjąć jako naturalne dla tych okolic, gdyby nie twarze strażników. Stelianie też się niepokoiłi.

Coś się tu działo, ale więźniom nikt nic nie mówił. Ani co było nie tak z niebem, ani co sprowadziło burzołowców, ani jaki los ich spotka.

Melliel złapała za kraty i wychyliła się, żeby obejrzeć morze, niebo i wyspy. Stivan miał rację. Przez noc liczba burzołowców znów wzrosła, tak jakby każdy osobnik w całym Eretz odpowiadał na jakieś wezwanie. Krążyły i krążyły, a niebo krwawiło, leczyło się, a potem znów budziło się posiniaczone.

Jakiej trzeba mocy, żeby posiniaczyć niebo?

Puściła kraty i przeszła przez całą celę do drzwi. Zastukała i zawołała:

– Halo?! Chcę z kimś porozmawiać!

Jej oddział zaczął się zbierać. Ci, którzy jeszcze spali, obudzili się w hamakach i postawili stopy na podłodze. Było ich w sumie dwanaścioro. Żadnemu nic się nie stało w trakcie porwania, co nie znaczy, że nie skołował ich sposób, w jaki się to stało: za pomocą błyskawicznego ogłuszenia. Mogliby nawet uwierzyć, że to jakaś dysfunkcja ich mózgów. A cela nie była wcale wilgotnym lochem, tylko długim, czystym pomieszczeniem z ciężkimi, zamkniętymi drzwiami.

Zastali tu toaletę i wodę do mycia. Hamaki do spania i lekkie, tkane stroje, żeby mogli zdjąć krępujące ruchy zbroje i czarne kubraki, gdyby mieli na to ochotę. W tej chwili ochotę mieli już wszyscy. Jedzenia było pod dostatkiem, i to znacznie lepszego niż to, do którego byli przyzwyczajeni: białe rybie mięso, lekki chleb i owoce. Niektóre smakowały miodem i kwiatami. Z grubą skórką, cienką i w najróżniejszych kolorach. Dostali już kwaśne żółte jagody i purpurowe kule w łupinach, których nie umieli otworzyć, ponieważ, co zrozumiałe, odebrano im broń. Jeden z owoców miał ostre kolce, a w środku kogel-mogel i po niego sięgali na samym początku. Był też taki, którego żadne nie mogło strawić: jakaś dziwna mięsista kula w kolorze różowym, niemal bez smaku, ale rozsmazująca się jak krew. Te zawsze zostawiali nietknięte w koszyku przy drzwiach.

Melliel wciąż się zastanawiała, który owoc tak rozwścieczył ich ojca,

Imperatora, kiedy w tajemniczych okolicznościach pojawił się przy jego łóżku.

Nikt nie zareagował na jej wołanie, więc zastukała znowu.

– Halo? Jest tu kto?

Tym razem przyszło jej do głowy, żeby dodać uniżone „proszę” i bardzo ją zirytowało, gdy klucz w zamku natychmiast się przekreślił, tak jakby Eidolon – bo oczywiście to była ona – stała pod drzwiami i tylko na to „proszę” czekała.

Stelianka była jak zwykle sama i nieuzbrojona. Prostą, lejącą się tkaninę miała upiętą na brązowym ramieniu. Przez drugie przerzuciła misternie splecione czarne włosy. Na obydwu smukłych rękach nosiła grawerowane złote obręcze, a stopy miała bose, co z jakiegoś powodu zawstydziło Melliel; wydało jej się bardzo intymne. Bezbronne. Choć ta bezbronność była oczywiście tylko iluzją.

Nic w Eidolon nie sugerowało, że była żołnierzem ani, że ktokolwiek ze Stelian nim był i że mieli armię, ale z całą pewnością to właśnie ta młoda kobieta dowodziła przejściem oddziału. I ze względu na to, co się wtedy stało – choć Melliel wciąż nie mogła tego do końca pojąć – dwanaściorgu wychowanych na wojnie Bastardów, mających przeciwko sobie jedną elegancką dziewczynę, nawet przez myśl nie przeszła ucieczka.

W Eidolon, tak jak i w całych Dalekich Wyspach, było coś więcej niż tylko piękno.

– Dobrze się macie? – spytała ze steliańskim akcentem, który mógłby złagodzić nawet najostrejsze słowa.

Uśmiechała się ciepło, a jej typowe dla Stelian płomienne oczy tańczyły, gdy witała ich gestem jakby składania dłoni i częstowania czymś. Ponieważ było ich dużo, skierowała płynny ruch ustrojonego złotem ramienia do wszystkich.

Żołnierze mruknęli coś w odpowiedzi. I mężczyźni, i kobiety byli w jakimś stopniu zafascynowani tajemniczą Eidolon o roztańczonych oczach, ale Melliel traktowała ten gest podejrzliwie. Widziała już Stelian, którzy... robili różne rzeczy z takim samym wdziękiem. Były to straszne rzeczy, więc wołałaby, żeby dziewczyna trzymała ręce przy sobie.

– Wystarczająco dobrze – odparła. – Jak na więźniów. – Własny akcent brzmiał w jej uszach wulgarnie, a ton miała burkliwy i roszczeniowy. Poczuli się stara i niezdarna, jak żelazny miecz. – Co się tam dzieje?



– Rzeczy, które nie powinny się dziać – odparła Eidolon lekko.

To i tak więcej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Jakie rzeczy? – dopytywała. – Co jest nie tak z niebem?

– Jest zmęczone – wyjaśniła dziewczyna z błyskiem w oku, który przypominał iskrzenie poruszonego ognia.

Takie same jak oczy Akivy, pomyślała Melliel. Wszyscy Stelianie, których do tej pory widziała, takie mieli. – Boli je – dodała Eidolon. – Jest już bardzo stare.

Niebo było zmęczone i stare? Co za bezsensowna odpowiedź. Bawiła się nimi.

– Ma to coś wspólnego z Wiatrem? – dociekała Melliel. Słowo „wiatr” pomyślała wielką literą, żeby odróżnić je od każdego innego wiatru, jaki знаła.

Tak, nazwanie go po prostu wiatrem było jak nazwanie burzołowcy ptakiem. Oddział Melliel zbliżał się do Caliphis, kiedy w nich uderzył, schwycił jak unoszące się w powietrzu pióra i wessał. Następnie z powrotem przeniósł ich trasą, którą właśnie pokonali, wciągając przy okazji każdą rzecz unoszącą się w powietrzu i stojącą im na drodze – ptaki, ćmy, chmury i, tak!, nawet burzołowców. Przy okazji zagarnął przedmioty, które nie były przytroczone do powierzchni ziemi tak mocno, jak powinny, na przykład płatki kwitnących drzew i morską pianą.

Bezwolność, całe wirujące kilometry. Zostali schwytani i uniesieni, najpierw na wschód. Uderzali skrzydłami, żeby odzyskać panowanie nad sobą, a potem nastąpiła flauta. Krótka i stanowczo zbyt spokojna, starczyła tylko na tyle, żeby złapać oddech, zanim siła znów uderzyła z pełnym impetem i posłała ich z powrotem, na zachód, do Caliphis i dalej, gdzie w końcu ich uwolniła. Co za moc! Jakby sam eter wziął głęboki wdech, a potem wypuścił powietrze. Takie cuda muszą się ze sobą łączyć, pomyślała Melliel. Wiatr wielką literą, posiniaczone niebo i zlot burzołowców. Nic z tego nie było naturalne ani właściwe.

Spokojna i pogodna twarz Eidolon straciła wszelki wyraz. Nic już nie migotało w jej oczach.

– To nie był wiatr.

– Więc co? – spytała Melliel, licząc, że nieoczekiwany spokój wytrzyma jeszcze to pytanie.

– Kradzież – odparła i wyraźnie zbierała się już do odwrotu. – Wybaczcie. Czy jeszcze coś?

– Tak – odpowiedziała Melliel. – Chcę wiedzieć, co z nami zrobicie.

Eidolon odwróciła głowę błyskawicznie jak żmija, a Melliel aż się wzdrygnęła.

– Aż tak ci się śpieszy, żebyśmy coś z wami zrobili?

Melliel zamrugęła.

– Chcę tylko wiedzieć...

– Decyzja nie została jeszcze podjęta. Gościmy tu bardzo niewielu obcych. Myślę, że powinniśmy was pokazać dzieciom. Niebieskie oczy. Niebываłe. – Powiedziała to z podziwem i jednocześnie spojrzała na Yava, najmłodszego w kompanii, bardzo ładnego. Zarumienił się aż po cebulki włosów. Eidolon zwróciła się z powrotem do Melliel; wyglądała na zamyśloną. – Z drugiej strony Duch podpowiada, żeby was wydać nowicjusom. Niech poćwiczą.

Poćwiczą? Ale co? Melliel nie pytała. Odkąd poznała tych ludzi, widziała magię, która wydawała się niewyobrażalna. W Imperium takie cuda były już dawno zapomniane i napawały ją przerażeniem. Ale oczy Eidolon znów się śmiały. Czyżby żartowała? Melliel to nie pocieszało. „Bardzo niewielu obcych”, powiedziała Stelianka. Melliel dopytała:

– Gdzie są inni?

– Inni?

Nie do końca pewna, czy chce dociekać, odparła:

– Tak. – Staręła się brzmieć stanowczo. W końcu na tym polegała misja, żeby się dowiedzieć. Jej oddział został wysłany, żeby odszukać zaginionych emisariuszy Imperatora. Wypowiedziana przez Jorama deklaracja wojny doczekała się odpowiedzi Stelian – był nią koszt owoców – zatem z pewnością została przekazana, ale ambasadorzy nie wrócili. Wysłani po nich żołnierze także zaginęli. Melliel i jej ludzie nie słyszeli ani nie widzieli śladu innych więźniów. – Wysłannicy Imperatora – powiedziała. – Nie wrócili.

– Na pewno? – spytała dziewczyna. Słodko. Zbyt słodko, jakby pod warstwą miodu kryła się trucizna. A potem powoli, nie spuszczać wzroku z Melliel, uklękła i wyjęła owoc z koszyka przy drzwiach. Jedną z tych różowych kul, których smaku Bastardzi nie mogli znieść. Może i były to owoce, ale wyglądały jak mięsiste worki z odrzucającym, czerwonym sokiem, ciepłym i wypełniającym usta.

Dziewczyna wgrzyła się w owoc i Melliel gotowa byłaby przysiąc, że miała naostrzone zęby. Wyglądało to tak, jakby uniósł się welon, a

Eidolon o roztańczonych oczach została drapieżcą. Nie został ślad po jej delikatności, była tylko... wstrętna. Owoc eksplodował, a ona odchyliła głowę i ssała, i lizała, żeby wchłonąć gęsty sok. Ostroniła strzelistą kolumnę gardła, a czerwień zalewała jej usta i ściekała w dół, lepka i nieprzezroczysta, na białe fale sukni, gdzie rozkwitała krwistymi kwiatami, żywą krwią, a ona wciąż się wsysała. Żołnierze się odsunęli, a kiedy opuściła głowę i znów wpatrzyła się w Melliel, twarz miała umazaną wygłodniałą czerwień.

Jak drapieżnik, pomyślała Melliel, unoszący głowę znad gorącego jeszcze truchła.

– Wraz z wrogością przynieśliście nam swoje ciało i krew – wypowiedziały ociekające sokiem usta Eidolon i nie było teraz siły, żeby przywołać pełną wdzięku dziewczynę, którą zdawała się być chwilę wcześniej. – Czy nie przylecieliście tutaj, żeby się nam ofiarować? Myśleliście, że zachowamy was w niezmienionej postaci, niebieskookich, z czarnymi dłońmi i tak dalej? – Uniosła skórę wysanego owocu i rzuciła ją na ziemię. Upadła z płasnięciem.

Nie mogła mieć na myśli tego, że... Nie. Nie ten owoc. Melliel widziała różne rzeczy, tak, ale takiej możliwości nie była w stanie objąć rozumem. Po prostu nie. To jakiś potworny żart. Obrzydzenie jakby dodało jej odwagi.

– Nigdy nie byliśmy do was wrogo nastawieni – zaprotestowała. – Nie mamy luksusu wybierania sobie wrogów. Jesteśmy żołnierzami. – Powiedziała „żołnierzami”, ale pomyślała o niewolnikach.

– Żołnierzami – powtórzyła Eidolon kpiąco. – Tak. Żołnierze i dzieci robią to, co się im każe. – Wydęła usta i przyjrzała się im wszystkim, a potem kontynuowała: – Dzieci z tego wyrosną, ale żołnierze umrą.

„Żołnierze. Umrą”. Każde słowo jak cios. Następnie drzwi same się otworzyły i Eidolon znalazła się po drugiej stronie, nawet się nie poruszywszy. Już stała na korytarzu. Robiła to wcześniej, te przeskoki i zacięcia czasu, a kroki gubiły się po drodze jak wyłuskane i połknięte sekundy.

Połknięte jak ten skrzepliwy sok, który nie był krwią. Nie mógł nią być. Melliel zmusiła się do wypowiedzenia następnych słów:

– Więc tu umrzemy?

– O tym, co z wami zrobić, zadecyduje królowa.

Królowa? Pierwszy raz słyszeli o królowej. Czy to ona wysłała

Joramowi koszyk owoców, za który czternastu Szcerbulców zawisło na zachodniej szubienicy, a spowita w całun konkubina skończyła żywot w rymsztoku?

– Kiedy? – dociekała więc Melliel. – Kiedy zadecyduje?

– Kiedy wróci – odparła dziewczyna. – Cieszcie się ciałem i krwią, póki możecie, słodcy żołnierze. Scarab wyruszyła na łowy. – Zanuciła to słowo: – Łowy, łowy.

Opryskliwy uśmiech i Melliel znów zobaczyła zaostrome zęby. W następnym ułamku sekundy już nie było po tym śladu. Przeskoki czasu, przeskoki rzeczywistości. Czy to prawda? Trzask, przeskok i drzwi się zamknęły, Eidolon zniknęła, a...

...a pokój pogrzyżył się w ciemności.

Melliel mrugnęła, otrząsnęła się z ciężaru, który nagle poczuła, i się rozejrzała. Ciemno? Słowa Eidolon wciąż odbijały się echem po celi – „łowy, łowy” – więc nie mogło to trwać dłużej niż sekundę, ale w pokoju zapadła ciemność. Stivan też mrugał, tak jak Doria i reszta. Młody Yav z chłopięco okrągłą buzią, który ledwie co skończył obóz dla rekrutów, miał w niebieskich, niebieskich oczach łzy przerażenia.

Łowy, łowy, łowy.

Melliel odwróciła się do okna, machnęła skrzydłami, zbliżyła się do niego i wyjrzała. Tak jak się obawiała, świt już minął.

Minął też dzień. Czerń nocy ukryła sińce, a oba księżyce stały wysoko i były ledwie widoczne: z Nitid został sierp, a z Ellai prawie nic. Dawały razem tyle tylko światła, żeby musnąć srebrem krawędzie skrzydeł burzołowców, które zataczały swoje niez mordowane koła.

Łowy, usłyszała Melliel głos Eidolon, echo, wspomnienie albo złudzenie; i wsparła się o ścianę, gdy cały ten stracony dzień jeszcze raz przebiegł przez jej myśli. Z przeszywającym dreszczem pomyślała o każdej skradzionej minucie, która zbliżała ją do jej ostatnich chwil. Czy zginą tutaj wszyscy? Nie mogła – albo nie chciała – wierzyć Eidolon w sprawie owocu, ale wspomnienie intensywnego miąższu między zębami powodowało mdłości.

Oni może i byli serafinami, ale na tym powinowactwo się kończyło, a wizerunek tajemniczej królowej – Scarab? – kształtował się w myślach Melliel jako coś potwornego.

Łowy, łowy, łowy.

Ale jakie łowy?

# Przybycie + 6 godzin

## Lądowanie

O 15:12 czasu Greenwich na oczach całego świata aniołowie wylądowali. Najpierw przez wiele godzin formacja leciała z Samarkandy na zachód nad Morzem Kaspijskim i Azerbejdżanem, a ich cel pozostawał nieodgadniony. Potem lecieli nad Turcją, wciąż na zachód, i dopiero gdy minęli trzydziesty szósty południk i nie skręcili na południe, Ziemia Święta przestała być brana pod uwagę. Ci, którzy stawiali na Watykan, się nie pomylili.

W niezmiennym szyku dwudziestu oddziałów złożonych z pięćdziesięciu aniołów Przybysze wylądowali na imponującym placu przed Bazyliką św. Piotra w Rzymie.

Naukowcy, studenci, doktoranci i stażyści zebrani w piwnicy Muzeum Historii Naturalnej w Waszyngtonie w milczeniu patrzyli, jak Jego Świątobliwość, Biskup Rzymu, Wikariusz Jezusa Chrystusa, Następca Księcia Apostołów, Najwyższy Kapłan Kościoła Powszechnego, prymas Włoch, Arcybiskup i Metropolita Prowincji Rzymskiej, Suveren Państwa Miasta Watykan, Sługa sług Bożych, Papież w barokowych regaliach godnych jego tytułu wystąpił, aby powitać znamienitych gości.

Gdy to zrobił, w pierwszej, środkowej falandze nastąpiło przetasowanie, ale trudno było określić, co się dokładnie stało. Kamery

wisiały wysoko w powietrzu, w helikopterach, i z tej wysokości anioły wyglądały jak żywa koronka z ognia i białego jedwabiu. Zjawiskowa. Jeden z aniołów chyba też wystąpił naprzód – zdaje się, że miał srebrny hełm przybrany piórem – a cała reszta jednym płynnym ruchem przyklęła na jedno kolano.

Papież zbliżył się, drżący, z ręką uniesioną w geście błogosławieństwa, a przywódca aniołów schylił głowę w bardzo lekkim ukłonie. Stali twarzą w twarz. Wyglądało na to, że rozmawiali.

– A to co? Papież został rzecznikiem ludzkości? – dociekał oszołomiony antropolog.

Koledzy Elizy zorganizowali spontaniczne centrum medialne: w pustej sali zgromadzili kilka telewizorów i komputerów. W ciągu kilku godzin wydźwięk ich komentarzy prawie całkiem wyeliminował hipotezę kaczkii dziennikarskiej i zbliżał się ku bardzo niepokojącym zagadnieniom, takim jak: Czy to możliwe, jak to możliwe, co to znaczy i... co w ogóle o tym myśleć?

Komentarze telewizyjne były całkowicie nedorzeczne. Biblijnym słownictwem przerzucano się w nich z takim zaangażowaniem, jakby miało nie być jutra. No bo... halo, może wcale nie było?!

Apokalipsa. Armagedon. Wniebowzięcie.

Wróg Elizy, Morgan Toth, ten od wydętych warg, stosował zgoła inne słownictwo.

– Powinni ich traktować jak inwazję obcych – upierał się. – Przecież mają schematy postępowania.

Schematy. Eliza świetnie wiedziała, do czego zmierza.

– Tak, ludzkość świetnie by to odebrała – zaśmiała się Yvonne Chen, mikrobiolożka. – „Powtórne przyjście Chrystusa! Szykujcie bombowce!”

Morgan wydał westchnienie, mające symbolizować, jak wielką ich obdarzał cierpliwością.

– Tak – zgodził się z wyższością. – Cokolwiek to jest, nie obraziłbym się, gdyby oddzieliło mnie od tego wojsko. Czy na tej planecie wszyscy poza mną są idiotami?

– Tak, Morganie, wszyscy – przyznał służalczo Gabriel. – Zechcesz zostać naszym królem?

– Chętnie – zgodził się Morgan i schylił się lekko, a w drodze powrotnej odrzucił długą, misternie ułożoną grzywkę.

Był drobnym facetem o przystojnej twarzy, nasadzonej na szyję o

średnicy małego palca Elizy, pod którą zwieszały się chude ramionka. Co do wydętych ust, to owszem, były w stanie permanentnego drwiącego uśmiešku, a Elizę dręczyło nieustanne pragnienie rzucenia w nie czymś. Monetami. Żelkowymi misiami.

Pięściami.

Obydwoje byli doktorantami u doktora Anuja Chaudhary'ego, oboje zakwalifikowali się na bardzo prestiżowe stypendium badawcze u jednego z czołowych biologów ewolucyjnych, ale od dnia, w którym się poznali, niechęć, jaką Eliza odczuwała do tego zadowolonego z siebie białego chłoptasia, prowadziła do mdłości. Roześmiał się, kiedy mu powiedziała, który trzeciorzędny uniwersytet skończyła, a potem twierdził, że myślał, że to żart. A to dopiero początek. Wiedziała, że on nie wierzy, że zasłużyła na miejsce tutaj, więc musiała to sobie jakoś wymodlić albo i gorzej. Czasem, gdy doktor Chaudhary śmiał się z czegoś, co powiedziała, albo nachylał się nad nią, żeby sprawdzić jakieś wyniki, widziała w uśmiešku Morgana, o jakie świństwa ją podejrzewa, i to ją rozwścieczało. Upokarzało ją i doktora Chaudhary'ego też, bo był porządnym, żonatym mężczyzną, który mógł być jej ojcem. Eliza była przyzwyczajona do dyskryminacji, bo była czarna i była kobietą, ale jeszcze nikt nigdy nie zachowywał się tak brutalnie. Chciała nim potrząsnąć, i to było najgorsze, bo mimo wszystko była łagodna i drażnił ją gniew, który odczuwała przez Morgana Totha. Potrafił ją odmienić, wygiąć jak drucik, i nie trzeba było nic ponad jego wstrętną osobowość.

– Dajcie spokój – odezwał się znowu, wskazując na ekrany telewizorów. Anioł w hełmie i papież dalej rozmawiali. Ktoś podszedł z kamerą bliżej, ale i tak stał za daleko, żeby można było cokolwiek usłyszeć. – Co to ma być? – dopytywał gniewnie. – Przecież wiemy, że nie są istotami niebieskimi...

– Jeszcze nic nie wiemy – usłyszała swoje słowa Eliza, chociaż ostatnie, czego chciała – dobry Boże, co za ironia losu – to występować w imieniu aniołów.

Jedynie Morgan mógł ją do tego doprowadzić. Sam jego głos, złośliwie najeżony kolcami kpiny, wyzwał w niej jakiś autonomiczny impuls robienia mu wbrew. Gdyby opowiadał się za światłem, Eliza natychmiast zostałaby rzeczniczką ciemności.

A naprawdę bardzo, ale to bardzo nie lubiła ciemności.

– Gdzie się podziała twoja natura naukowca? – spytała. – Odkąd

orzekamy, że coś wiemy, nie mając żadnych danych?

– Wyręczasz mnie, Elizo. Dane. Potrzebujemy danych. Wątpię natomiast, czy zdobędzie je papież, a jakoś nie słyszę, żeby prezydent się ich domagał.

– Co nie znaczy, że tego nie zrobi. Powiedział, że pod uwagę jest brany każdy scenariusz.

– Jasne! Myślisz, że gdyby nad Watykan nadleciał latający spodek, przyszykowałiby mu wygodne miejsce do lądowania na tym cholernym placu?!

– Ale to nie jest latający spodek, tak? Zauważyłeś? Naprawdę nie widzisz różnicy?

Wiedziała, że kłótnia z nim nie ma sensu, ale ją wkurzył. Udawał, że z powodu, który czynił go nadczłowiekiem, może nie dostrzegać, jak szczególnie to sytuacja. Tak jakby plasował się nad resztą ludzi i ich troski wydawały mu się co najwyżej osobliwe. Jakże dziwne są wasze zwyczaje! O co chodzi w tym, co nazywacie „religią”? Ale Eliza wiedziała, że to inne zagrożenie niż latający spodek. Lądowanie kosmitów zjednoczyłoby świat, jak w filmie science fiction. Ale anioły mogły podzielić ludzi na tysiące ostrych odłamków.

Ona to wiedziała. Od lat była takim odłamkiem.

– Nie ma wielu spraw, za które ludzkość będzie z radością zabijać i ginąć, ale to jedna z najważniejszych – dowodziła. – Nie rozumiesz tego? Nieważne, w co ty wierzysz ani co uważasz za głupie. Jeśli władze posłużą się którymś z twoich „schematów”, sytuacja szybko się spaskudzi.

Morgan znów westchnął i dotknął końcami palców skroni, jakby bez słów pytał: „Czemuż muszę obcować z osobami o tak mizernej umysłowości?”

– Nie ma scenariusza, w którym sytuacja się nie „spaskudzi”. Ale musimy nad tą sytuacją zapanować, a nie padać na kolana jak banda jakichś ogłupiałych kmiotów.

I tu Eliza musiała zacisnąć zęby, bo nienawidziła się zgadzać z Morganem Tothem, ale musiała to zrobić. Od lat toczyła tę samą walkę: żeby już nigdy więcej nie paść na kolana i nie zostać w tej pozycji przyciśnięta do ziemi. Żeby nikt jej do niczego nie zmuszał.

A teraz niebo się otworzyło i przyleciały anioły?

To było wprost doskonałe! Miała ochotę się roześmiać. Albo zacząć w coś walić pięściami. W ścianę? W uśmiezek Morgana Totha?



Wyobraziła sobie, jaką by miał minę, gdyby się dowiedział, skąd się wzięła. Od czego się zaczęło. Od czego uciekła. Osiągnąłby nieznany wcześniej poziom pogardy. A może radości i obrzydzenia podszytych fascynacją? W każdym razie byłaby to dla niego wiadomość roku.

Postanowiła się zamknąć, co Morgan poczytał za zwycięstwo, ale i tak po jego podstępym spojrzeniu widziała, że powinna była się zamknąć wcześniej. Ludzie mający tajemnice nie powinni sobie robić wrogów, ostrzegła sama siebie.

Jakby w odpowiedzi z jakichś głębokich odmętów pamięci powstał głos jej matki: „Ludzie rządzeni przeznaczeniem, mówiła, nie powinni robić planów”.

– O mój Boże! – zawołała dziarsko jedna z głupawych prezenterek telewizyjnych i uwaga Elizy zwróciła się z powrotem ku rzędowi telewizorów.

Coś się działo. Papież się odwrócił, żeby wydać polecenia swoim sługom, a ekipy telewizyjne, obwieszane kamerami i mikrofonami, świńskim truchtem zbliżały się do zbiorowiska.

– Wygląda na to, że Przybysze wydadzą oświadczenie!

## Wybuch paniki

Anioł miał na głowie hełm z grawerowanego srebra, przyozdobiony białymi piórami. Przypominał hełmy rzymskich centurionów, tylko że z dodatkową przedłużoną osłoną na nos, czyli wąskim paskiem srebra sięgającym brody, który skutecznie przepoławiał twarz. Pasek zasłaniał nos i usta anioła, natomiast oczy, policzki i szczęki były widoczne.

Reszta aniołów miała gołe głowy, a ich pięknych twarzy nic nie zasłaniało, więc jego wygląd raził. Anioł wydawał się dziwny i pod innymi względami, ale trudniej to było uchwycić, bo uwaga obserwatorów skupiła się na oświadczeniu. Dopiero później zaczęły się analizy sylwetki,

osobliwie wybrzuszony cienia, tembru głosu oraz seplenienia i szeptów słyszalnych w czasie długich przerw w przemowie, co brzmiało tak, jakby ktoś podsuwał mu tekst. Wychwycone anomalie wkrótce zaczęły sugerować, że coś tu jest nie tak. Jakby się miało coś kleistego na palcach, tylko że lepka substancja znajdowała się w myślach.

Ale to jeszcze nic. Po oświadczeniu nastąpił natychmiastowy zwrot w nastrojach ludzkości, pojawił się niepokój, a po nim panika.

– Synowie i córki jedyne, prawdziwego Boga... – zaczął. Ale mówił po łacinie, więc bardzo nieliczni rozumieli go na bieżąco.

Wśród modlitw, przekleństw i pytań zadawanych w setkach języków, na całej kuli ziemskiej, miliardy ludzi rzuciły się do słowników.

„Co on mówi???”

Zanim w świat poszły tłumaczenia, znakomita większość ludzkości próbowała domyślać się treści anielskiego przekazu po reakcji papieża.

A ta nie była zbyt uspokajająca.

Jego Świątobliwość zbladł. Zachwiał się i zrobił krok do tyłu. W pewnym momencie próbował coś powiedzieć, ale anioł kontynuował bez choćby rzutu okiem w jego stronę.

Przekaz dla ludzkości brzmiał tak:

„Synowie i córki jedyne, prawdziwego Boga. Lata minęły, odkąd ostatnim razem zlecieliśmy między was, ale nigdy nie odwróciliśmy od was wzroku. Przez wiele wieków prowadziliśmy walkę, o której ludzkość nawet nie wiedziała. Osłanialiśmy was ciałem i duszą, ochraniając nawet przed wiedzą o złowrogim cieniu, który na was pada. O Wrogu, który chciał was pożreć. Z dala od waszych ziem toczyły się wielkie bitwy. Przelewała się krew, rozszarpywane były ciała. Jednak im więcej wśród was bezbożności i zła, tym bardziej wzrasta moc Wroga. Nadszedł wreszcie dzień, gdy jego siła odpowiada naszej, a wkrótce wręcz ją przewyższy. Nie możemy dłużej trzymać was w nieświadomości Cienia. Nie możemy już dłużej was bronić bez waszej pomocy”.

Anioł odetchnął głęboko i przez chwilę milczał, zanim dokończył ciężko:

„Potwory... Idą po was”.

I wtedy świat oszalał.

# Przybycie + 12 godzin

## Cisza i jej rasy

Akiva zachował spokój. Słowa, które wypowiedział, wisały jeszcze w powietrzu. Pomyślał, że atmosfera, która zapanowała tuż po nich, przypomina uczucie ucisku zaraz po uderzeniu skrzydeł burzołowcy: jakby całe powietrze zostało wessane przez zbliżający się kataklizm. W jaskini Kirinów zebrało się wokół niego dwustu dziewięćdziesięciu sześciu Bastardów o ponurych twarzach, wszyscy pozostali z legionu Imperatora. Właśnie złożył im propozycję, która była w zasadzie nie do przyjęcia.

Napięcie rosło, powietrze stało się ciężkie, co przeczyło jego eterycznej istocie. A później...

Śmiech. Nieprzyjemny i pełen niedowierzania.

– I będziemy tu spać jeden obok drugiego? Potwór, serafin, potwór, serafin? – spytał Xathanael, jeden z wielu półbraci Akivy, którego dobrze nie znał.

Pomór Dzikich zwykle nie robił sobie żartów, ale to musiał być żart. Wróg miał z nimi zamieszkać? Dołączyć do ich armii?

– A przed snem mamy sobie wzajemnie czesać włosy? – dodała Sorath.

– Chyba raczej iskać – poprawił Xathanael, powodując jeszcze potężniejszy wybuch śmiechu.

Akivę aż zabolęło fizyczne wręcz wspomnienie Madrigal śpiącej u jego boku i ten żart go zupełnie nie ubawił. Tym mniej śmiesznie brzmiał tutaj, w pełnych echa jaskiniach, w których wyróżniło jej ludzi. Jeśli się dobrze przyjrzeć, na posadzkach wciąż widać było krwawe ślady po ciągniętych po ziemi ciałach. Co poczuje Karou, gdy to zobaczy? Ile pamiętała z tamtego dnia, kiedy została sierotą? Po raz pierwszy, jak sobie przypomniał. Drugie osierocenie nastąpiło całkiem niedawno, z jego winy.

– Najlepiej będzie – odparł – jeśli zamieszkamy oddzielnie.

Śmiech ucichł, a potem całkiem zanikł. Wszyscy się w niego wpatrywali, a ich miny wyrażały albo rozbawienie, albo wściekłość. Nie byli pewni, jak do tego podejść. Mieli do wyboru całą skalę emocji, ale żaden kraniec nie pasował. Akiva musiał sprawić, żeby to zaakceptowali, choćby niechętnie.

Chwilowo jednak wydawało się to bardzo mało prawdopodobne. Zostawił chimery wysoko w górskiej dolinie, aż będzie mógł bezpiecznie je tu sprowadzić. Bardzo chciał, żeby Karou była już bezpieczna. Reszta oczywiście też. Taka niebywała szansa więcej się już nie powtórzy. Jeśli nie uda mu się przekonać braci i sióstr, żeby chociaż spróbowali, ich wielki sen szeptem.

– Podejmijcie decyzję – oznajmił. – Możecie odmówić. Odeszliśmy ze służby Imperium, teraz możemy sami wybierać, o co walczymy i z kim. Prawda jest taka, że wytrzebiliśmy chimery. Te nieliczne, które pozostały, sprzeciwiają się tamtej wojnie. Teraz grozi nam nowe niebezpieczeństwo. Nie tylko nam, ale całemu Eretz: epoka następnej tyranii i nowa wojna sprawią, że rządy naszego ojca wydadzą się łagodne. Musimy powstrzymać Jaela. To jest najważniejsze.

– Do walki nie trzeba potworów – zauważył Elyon i wystąpił naprzód. Jego akurat, w przeciwieństwie do Xathanaela, Akiva znał i cenił. Był jednym ze starszych bękartów, którzy pozostali przy życiu, ale nie wiekowym. Włosy ledwie zaczynały mu siwieć. Myślał, umiał planować i nie był skory do brawury czy zbędnej przemocy.

– Nie? – zwrócił się do niego Akiva. – Dominium liczy pięć tysięcy żołnierzy, a ponieważ teraz Jael jest Imperatorem, ma też do dyspozycji swój Drugi Legion.

– A ile jest tych potworów?

– Chimer – podkreślił Akiva – jest w tej chwili osiemdziesiąt siedem.

– Osiemdziesiąt siedem! – Elyon roześmiał się, ale nie szyderczo, tylko ze smutkiem. – Tak mało! Co nam to da?

– Osiemdziesięciu siedmiu żołnierzy. – Na początek, pomyślał, ale tego nie dodał. Jeszcze im nie wyznał, że ich liczba może się zwiększyć, bo jest nowy wskrzesiciel. – Osiemdziesięciu siedmiu żołnierzy z hamsami wymierzonymi w Dominium.

– Albo w nas – zauważył Elyon.

Akiva chciałby móc zaprzeczyć, ale wciąż odczuwał skutki czaru doznanego w locie. Był jak tępy ból w dole brzucha. Powiedział za to:

– Nie mają więcej powodów do kochania nas, niż my do kochania ich. A nawet mniej, spójrz na ich kraj. Ale nasze cele, przynajmniej w tej chwili, są spójne. Biały Wilk obiecał...

Na wspomnienie o Białym Wilku jego ludzie stracili cierpliwość.

– Biały Wilk żyje?! – dopytywało wielu żołnierzy. – Nie zabiłeś go? – nie dowierzało jeszcze więcej.

Ich głosy wypełniły jaskinię, odbijały się echem od wysokiego, nierównego sufitu i wydawały się zmieniać w chór nieziemskich okrzyków.

– Tak, generał żyje – potwierdził Akiva. Musiał ich przekrzyczeć. – I nie, nie zabiłem go. – Gdybyście tylko wiedzieli, z jakim trudem się powstrzymałem. – Zauważcie, że on też mnie nie zabił, choć mógł to zrobić bez trudu.

Krzyki ucichły, a potem także ich echo, ale Akiva poczuł, że już mu się wyczerpują argumenty. Kiedy przychodziło do Thiaga, jego siła perswazji zamierała. Czy gdyby Biały Wilk nie żył, Akiva byłby bardziej elokwentny?

Nie myśl o nim, upomniał się w myślach. Myśl o niej.

I tak zrobił.

Odezwał się:

– Jest przeszłość i jest przyszłość. Teraźniejszość jest jedynie sekundą oddzielającą jedną od drugiej. Dajemy się ponieść tej sekundzie, ale dlaczego? Zawsze nas zachęcano do eksterminacji potworów. Ale to było i minęło. Należy do przeszłości, a my wciąż żyjemy, niecałe trzysta osób, i wciąż mkniemy ku czemuś, ale celu już nie wyznacza Imperium. Jeśli chodzi o mnie, moim celem jest... – ciągnął.

Mógł powiedzieć, że śmierć Jaela. I to byłaby prawda. Ale mała prawda, przyćmiona większą. Z głębi jego pamięci wyrwał się głos

złożony w niej głębiej niż jakikolwiek inny: „Twoim panem może być życie albo śmierć”.

Ostatnie słowa Brimstone’a.

– Życie – odpowiedział teraz. – Chcę, żeby przyszłość polegała na życiu. To nie chimery stoją nam na drodze. I tak naprawdę nigdy nie stały. Tą przeszkodą był najpierw Joram, a teraz Jael.

Wiedział, że kiedy w grę wchodzi kwestia mocniejszej i słabszej nienawiści, zawsze wygra ta osobista, a Jael zrobił dość, żeby sobie na nią zasłużyć. Bastardzi nie wiedzieli jeszcze ile.

Do tej pory zachowywał to dla siebie, nie chciał im mówić. Miał poczucie winy. Ale w końcu ułożył tę nowinę jak martwe ciało na ich lodowatym milczeniu.

– Hazael nie żyje.

Są różne gatunki ciszy. Tak samo, jak gatunki chimer. Słowo chimera samo w sobie nie znaczy nic więcej niż „istota o zmieszanych aspektach, nie serafin”. Pojęcie obejmuje każdy rozwinięty gatunek, posiadający język i zamieszkujący te ziemie, a przy okazji niebędący aniołem. Nazwa nie powstałaby, gdyby siejący spustoszenie serafini nie zjednoczyli poszczególnych plemion przeciwko nim.

Cisza, która poprzedzała nowinę Akivy, i ta, która nastąpiła potem, nie miały ze sobą więcej wspólnego niż Kirini z Hethami.

W ubiegłym roku Bastardzi zostali wycięci niemal do ostatka. Stracili tylu braci i tyle sióstr, że ci, którzy przeżyli, mogliby utonąć w prochach umarłych. Zostali wychowani tak, żeby się liczyć ze stratą, ale to niczego nie ułatwiało. W ostatnich miesiącach wojny, kiedy liczba zgonów osiągnęła astronomiczne rozmiary, coś drgnęło w ich świadomości. Byli coraz bardziej wściekli, i to nie tylko z powodu utraty bliskich. Traktowano ich jak żywą broń i tym samym oczekiwano od nich obojętności. Ale oni umieli rozpaczać. A Hazael był ulubieńcem wszystkich, bez względu na wszystko inne.

– Został zabity przez Dominium w Wieży Triumfu. To była zasadzka. – Gdy o tym mówił, znalazł się z powrotem w tamtej chwili, widział ją i siebie, jak otoczony nadzwyczajnym blaskiem *siritharu*, który spłynął na niego za późno, obserwował śmierć brata. Nie dopowiedział, że Hazael zginął, broniąc Liraz przed straszliwymi zamiarami Jaela. I tak było jej z tym ciężko, nie musieli się dowiedzieć wszyscy.

– To prawda, że zabiłem naszego ojca – dodał. – Po to tam poszedłem i

zrobiłem to. Nie wiem, co słyszeliście potem, ale nie zabiłem następcy tronu i nie miałem takiego zamiaru. Nie zabiłem też członków rady, strażników, Szczerbulców ani asystujących przy kąpeli. – Tyle krwi... – Wszystko to dzieło Jaela i jego plan. Bez względu na to, co by się wydarzyło, zamierzał obwinić mnie i wykorzystać to jako pretekst do pozbycia się nas wszystkich.

Kiedy to mówił, cisza się zmieniła. Akiva wyczuwał w niej rozluźnienie, jakby ich dłonie stopniowo wypuszczały z uścisku rękojeści mieczy.

Może wiedzieli, że bez względu na czyn Akivy ich życie i tak zostałoby poświęcone, a może nie. A może to w ogóle nie miało znaczenia. Te dwa imiona, Hazael i Jael, symbolizowały dla nich miłość i nienawiść. Postawione obok siebie wystarczyły, żeby wszystko stało się realne. Wszystko, czyli panowanie ich wuja, ich wygnanie, a nawet wolność, wciąż jeszcze zupełnie obca, jak język, którego nie zdążyli się nauczyć.

Teraz mogli zrobić wszystko. Nawet... zjednoczyć się z potworami?

– Jael się tego nie spodziewa – dodał Akiva. – Zacznijmy od tego, że to go rozwścieczy. Ale, co więcej, zaniepokoi go. Nie będzie wiedział, czego się jeszcze spodziewać w świecie, w którym chimery i Bastardzi jednoczą siły.

– Idę o zakład, że my też nie. – Akivie się wydawało, że w głosie Elyona słyszał nutę zadumy, tak jakby nieznaną w równym stopniu go fascynowało, co niepokoilo.

– Jest coś jeszcze – kontynuował Akiva. – Chimery mają nową wskrzesicielkę. Zanim podejmiecie decyzję, musicie wiedzieć, że chciała ocalić Hazaela. – Głos mu się załamał. – Ale było już za późno.

Przyjęli to do wiadomości i przetrawiali.

– A co z Liraz? – spytał Elyon i wokół rozeszły się pomruki. Ona będzie wyznacznikiem. Ktoś stwierdził:

– Ona na pewno się na to nie zgodziła.

Akiva jeszcze raz podziękował w myślach siostrze, bo wiedział, że już ich ma.

– Została z nimi, w bezpiecznym miejscu, czeka na mój znak. Ale, jak sobie pewnie wyobrażacie... – Po raz pierwszy od przybycia tutaj i zwołania tej narady pozwolił sobie na spuszczenie z tonu i uśmiech: – Wolałaby być tutaj, z wami. Nie ma jednak czasu na dyskusje. Jael nie będzie czekał. – Spojrzał najpierw na Elyona. – Więc jak?

Żołnierz kilka razy szybko zamrugął, jakby dopiero co się obudził. Zmarszczył brwi.

– Porozumienie – zauważył ostrzegawczo – może być tylko tak silne, jak jego najśłabsze ogniwo.

– Więc niech to nie będzie ogniwo z naszej strony – stwierdził Akiva. – To najlepsze, co możemy zrobić.

Spojrzenie Elyona sugerowało, że wymyśliłby coś jeszcze lepszego, co zaczęłoby się od mieczy i na mieczach skończyło, ale kiwnął głową.

Elyon dał słowo i pozostali też. Krótkie i niechętne, ale przynajmniej na to mógł teraz liczyć: kiedy wiatr przyniesie ich wrogów, jego ludzie nie zaatakują pierwsi. Thiago złożył taką samą obietnicę w imieniu swoich żołnierzy.

Wkrótce mieli się dowiedzieć, ile takie obietnice są warte.

## Pomysł na ciepło

Wiesz, co bym chętnie zrobiła? – spytała Zuzana, szcękając zębami.

– No, co? – Mik siedział za nią, obejmował ją ramionami, a twarz schował w zgięciu jej szyi. Teraz była to najcieplejsza część jej ciała, a na dodatek jego oddech wytwarzał tam alternatywny mikroklimat, kilka centymetrów kwadratowych cudownych tropików.

– Kojarzysz tę scenę z *Gwiezdnych wojen* – mówiła dalej – kiedy Han Solo rozcina brzuch tauntauna i pakuje tam Luke’a, żeby nie zmarzył na śmierć?

– Ojej! – ucieszył się Mik. – Jesteś kochana! Wpakowałabyś mnie do świeżego, parującego trupka, żeby mnie rozgrzać?

– Nie ciebie. Siebie!

– Aha. No tak. Właściwie dobrze, bo ja zawsze po obejrzeniu tej sceny myślę, że bebechy się strasznie szybko wyziębiają, i osobiście wolałbym, żeby mi było zimno bez ubabrania się w wilgotnych...



– Dobra – wtrąciła się Zuzana. – Nie musisz być taki dosłowny.  
– To się nazywa śpiwór Skywalkera – mówił dalej Mik. – Jakaś babka w Ameryce próbowała to zrobić z koniem.

Zuzana wydała odgłos dławienia się.

– Przestań!

– Nago.

– Boże! – Wyrwała się, żeby się odwrócić i na niego spojrzeć. Mikroklimat jej szyi poleciał na łeb, na szyję. Żegnajcie, mikroskopijne tropiki. – Nie muszę znać aż takich szczegółów!

– Wybacz – przeprosił skruszony Mik. – Ale tak naprawdę mam lepszy pomysł.

– Na ciepło?

– Tak. Właśnie się zbierałem na odwagę, kiedy mnie rozkojarzyłaś *Gwiezdnymi wojnami*.

Armia chimer plus oni i Liraz – Akiva poleciał pierwszy, żeby uzyskać wsparcie swojej armii, za co trzymali kciuki – obozowała w osłoniętej dolince w górach. Z tym, że zarówno „osłonięta”, jak i „dolina” były określeniami umownymi. Jeśli ktoś pomyślał o łące, dzikich kwiatach i krystalicznie czystych jeziorach, to nie było dobre skojarzenie, bo ich dolina wyglądała raczej jak księżycowy krater. Ale fakt, byli osłonięci od najgorszego wiatru i było tu na tyle spokojnie, żeby rozpaść ognisko. Tyle że nie mieli zbyt wiele materiału do palenia, a drewno, które ktoś – Rark? Aegir? – porąbał na kawałki wojennym toporem, nie paliło się najlepiej, rozrzucało zielone iskry i pachniało zupełnie jak mieszkanie ciotki Zuzany w Pradze, w którym ciotka przez całe lata gotowała kapustę.

Naprawdę, ten zapach nie był aż tak wystrzałowaty, żeby musiał występować w obydwu światach.

Zuzana nie mogła się domyślić, co wpadło Mikowi do głowy.

– Zaimponujesz mi tym? – spytała.

– Jeśli zadziała? Tak. Jeśli nie, wrócę tu jak zbity pies. Albo przebity sztyletem. W każdym razie nie nabijaj się ze mnie.

Przebity sztyletem?

– Nigdy bym się z ciebie nie nabijała! – zapewniła Zuzana i w tej akurat chwili święcie w to wierzyła. – Zwłaszcza gdy w grę wchodzi sztylet. Ale tak naprawdę nie wchodzi?

– Raczej nie. Ale upokorzenie na pewno. – Odetchnął głęboko. – No to idę.

Kiedy jego zniknięcie naraziło ją na pełnowymiarowy atak żywiołów, okazało się, że dotychczas wcale nie było jej zimno. Teraz za to stanowczo tak. Jakby wypełzła z tauntauna umazana mokrymi... Fuj.

– Co robi Mik? – spytała Karou, zeskakując ze szczytowego głazu, który ich osłaniał – jakoś tam – od wiatru.

Krążyła tam i z powrotem, pod pretekstem pełnienia straży wypatrując Akivy. Słońce zachodziło i Zuzanie zdawało się, że jeszcze za wcześnie na powrót, ale nie chciała psuć przyjaciółce zabawy.

– Nie wiem – odparła. – Coś odważnego, co ma nas uchronić przed zamaznięciem na śmierć. – Jak tylko skończyła mówić, zaraz tego pożałowała.

Karou się skrzywiła.

– Przepraszam, że nie jesteśmy lepiej przygotowani – powiedziała. – Powinniście byli zostać. Jestem kretynką, że pozwoliłam wam lecieć.

– Oj, cicho. Wcale nie żałuję i nie zamierzam na śmierć. Jakbym zamarzała, to poszłabym pod koc do Issy.

Wszystkie kocyki przeznaczono dla zimnokrwistych członków ekipy, łącznie z tym cuchnącym, którym Zuzana osłaniała się od kolców. Na szczęście Zuzana miała przynajmniej polar, a Mik sweter. Mieli fart, że przy okazji ucieczki wszystkie rzeczy zostawili w kasbie, bo nie mieliby nawet i tego.

– Gdzie on idzie? – zastanawiała się Karou. Mik bowiem zmierzał w zupełnie przeciwnym kierunku niż odpoczywające chimery. – Bo chyba nie... Przecież nie... Boże. Tak. – W jej głosie słychać było przerażenie i podziw.

Zuzana podzielała jej zdanie.

– Co on sobie myśli? – syknęła. – Odwrót. Odwrót! – Ale już było za późno.

Mik, z rękami głęboko w kieszeniach i szurając nogami jak przerażony menel, zbliżał się do... Liraz.

Zuzana wstała, żeby lepiej widzieć. Liraz sterczała samotnie na najdalszym skrawku skały. Wyglądała na wściekłą, tak jak w kasbie i na moście Karola. A może nawet jeszcze bardziej. Chyba że ona zawsze miała taką minę? Zuzana nigdy wcześniej nie widziała u niej innej. W czasie lotu ona i Mik zabawiali się wymyślaniem ogłoszeń matrymonialnych dla wszystkich wkoło. To dla Liraz leciało jakoś tak: „Gorąca, permanentnie wściekła anielica szuka żywej poduszeczki na igły

do praktykowania focha i ogólnej uszczypliwości. Bez całowania!”

Mik nie zamierzał się zgłosić do roli poduszeczki. Chodziło mu o „gorącą”, i to w dosłownym znaczeniu. Ale to przecież szaleństwo. I w ogóle przegrana sprawa. Nie było mowy, żeby Liraz podeszła do nich i ogrzała skrzydłami zlodowaciałe grupki. Tymi ognistymi, cudownymi, skwierczącymi jak grzanki skrzydłami.

Mik właśnie do niej przemawiał. Gestami. Najpierw uniwersalne „brrr” oznaczające zimno, potem ramiona rozłożone jak skrzydła, a następnie dłonie złożone w błagalnym geście. Liraz popatrzyła na niego, a potem zauważyła, że Zuzana i Karou też patrzą. Zmrużyła oczy. Spojrzała z powrotem na Mika, ale tylko przelotnie. Była wysoka, więc patrzyła z góry, całkowicie bez zainteresowania. Nic nie powiedziała, nie zadała sobie nawet trudu, żeby pokręcić głową, po prostu odwróciła się do niego plecami, jakby go tam nie było.

Jak śmiała?!

– Stauntaunuję ją! – wymruczała Zuzana pod nosem.

– Co?!

– Nic.

Mik wracał jak zbity pies, ale przynajmniej nie zasztyletowany. I chociaż jego misja się nie powiodła – no bo co on sobie myślał, że Liraz zatroszczy się o ich wygodę? – było to i tak niebywale odważne z jego strony. Chimery, mimo potwornego czasem wyglądu, wydawały się przyjaźniejsze niż ona.

– Mój ty bohaterze! – zawołała Zuzana bez cienia prześmiewczości i wzięła Mika za rękę, żeby go pociągnąć do słabego ognia i zacząć na nowo organizować szyjne tropiki.

## Razem

Zachód słońca. Wzeszła Nitid, a po niej Ellai i Karou z radością

obserwowała zachwyty przyjaciół na widok siostrzanych księżyców, chociaż dzisiaj były tylko ogryzkami. Mogli raz jeszcze popatrzeć na burzołowców, choć tym razem z większej odległości. Temperatura spadała i gromadki chimer skuliły się jeszcze bardziej. Przygotowali strawę, zjedli. Oora wyśpiewała historię z rytmicznym, poruszającym refrenem.

Liraz dalej stała z boku, jak najdalej od potworów, a gdy Karou wsadzała dłonie pod pachy, żeby je rozgrzać, marnowanie ciepła anielskich skrzydeł wydało się wręcz herezją, jak rozlewanie wody na pustyni. Nie do końca jednak potrafiła winić anielicę, która w czasie podróży doświadczyła działania chimeryjskich dłoni. Ale tego, że była niemiła dla Mika, nie mogła jej darować. Przecież Mik nie miał diabelskich znaków, a poza tym jak można być niemiłym dla Mika?! Nawet najgorsze spośród chimer nie mogły się na to zdobyć. I wystarczy spojrzeć na Zuzanę! Nie bez powodu chimery nazwały ją *neek-neek*, a jednak Mik zmieniał ją w słodką jak miód. Jak na razie tylko Liraz okazała się odporna na jego moc.

Była wyjątkowa. Wyjątkowo socjopatyczna. Może nawet spektakularnie. A jednak Karou czuła się za nią odpowiedzialna – za, porzuconą wśród nich, w roli... czego? Ambasadora? Nikt by się do tego gorzej nie nadawał. Zanim Akiva odleciał, był taki moment, że z dużej odległości spojrział na Karou. Nikt nie potrafił tego robić tak jak on: wypalić wzrokiem szlaku w powietrzu, zauważyć cię, wyróżnić z tłumu. Od wylotu z kasby ani razu z sobą nie rozmawiali, ani nawet nie stali blisko siebie, a ona pilnowała, żeby nie patrzeć w jego stronę, ale to jedno spojrzenie powiedziało jej wiele rzeczy, a jedną z nich była prośba, żeby zadbała o jego siostrę.

Nie zlekceważyła tego. O ile dobrze widziała, nikt nie drażnił Liraz, i miała nadzieję, że nikt nie będzie taki głupi, zwłaszcza teraz, kiedy nie było Akivy, który mógł jej udzielić wsparcia.

Kiedy on w końcu wróci?

Niżej, pod nią, ogniska tryskały zielonymi iskrami i wydzielaly swój kapuściany smród, dając szczątkowe ciepło, a Karou krążyła po krawędzi skały, z jednej strony mając na oku chimery, z drugiej wypatrując Akivy. Wciąż jednak nie widziała w zapadającej coraz szybciej ciemności śladu lśniących skrzydeł.

Jak mu szło? A co, jeśli przyniesie złe wieści? Gdzie się podzieją

chimery, jeśli nie w jaskiniach Kirinów? Wrócą do tuneli górniczych, w których się chowały, zanim poleciały do świata ludzi? Na samą myśl Karou zadrżała.

I o samotnym stawianiu czoła ogromowi inwazji aniołów.

I o straconej szansie.

Zdała sobie sprawę, jak szybko uwierzyła w to przymierze, choć pomysł był absolutnie szalony. Wiedziała, jak wiele znaczy dla jej ludzi pod względem realizacji podstawowych potrzeb oraz ich celów. Chimery potrzebowały przymierza. Ona go potrzebowała.

Poza tym odmrażała sobie tyłek na dworze, podczas gdy Bastardzi korzystali z wygod jej pierwszego domu. Zwłaszcza że, jeśli dobrze pamiętała, były tam gorące źródła.

O nie, moi drodzy.

Usłyszała ciche drapanie pazurów po skale. Jedyne znak, że zbliża się Biały Wilk. Odwróciła się do niego. Przyniósł herbatę, którą z wdzięcznością przyjęła. Objęła dłońmi gorący cynowy kubek i podniosła do ust, żeby ogrzać twarz parą.

– Nie musisz stać tutaj, na wietrze – powiedział. – Kasgar i Keita-Eiri są na warcie.

– Wiem – odparła. – Ale nie mogę usiedzieć w miejscu. Dzięki za herbatę.

– Bardzo proszę.

– Gdzie ich wysłałeś? – spytała.

Z tej wysokości widziała, jak rozmawiał z porucznikami, a potem cztery dwuosobowe grupy gdzieś odleciały.

– Na wschodni brzeg Zatoki, żeby się rozejrzeli – wyjaśnił. – Niech mają oko na horyzont. Jedno z pary zamelduje się tu za dwadzieścia cztery godziny, a potem będą zlatywać co dwanaście godzin, więc zanim stąd wylecimy, będziemy pewni, że nic nam nie grozi.

Pokiwała głową. Sprytne posunięcie. Zatoka Potworów to terytorium serafinów. Zresztą teraz wszędzie było ich terytorium, a oni nie mieli pojęcia, czym zajmuje się reszta Imperium i gdzie jest. Góry gwarantowały schronienie, ale żeby wrócić do świata ludzi, będą na otwartej przestrzeni tak długo, ile im zajmie przedostanie się w mieszanych parach przez portal.

– Jak myślisz, jak mu idzie? – spytał bardzo cicho.

Karou zerknęła w dół, na oddział zgromadzony wzdłuż ścian skalnej

niecki. Niepokoila się, ale nikt na nich nie patrzył, zresztą odległość i noc musiały skrywać ich sylwetki, a wiatr porywał słowa.

– Myślę, że dobrze. – A potem dodała: – Tobie idzie świetnie. – Miała na myśli bycie Thiagiem. – Choć trochę to straszne.

– Straszne – zgodził się.

– Ale przekonujące. Parę razy prawie zapomniałam...

Nie pozwolił jej skończyć.

– Nie zapominaj. Nigdy. Nawet na sekundę. – Wciągnął powietrze. – Proszę.

Tyle się kryło w tym słowie. „Proszę, nie zapominaj, że nie jestem potworem”. „Proszę, nie zapominaj, co poświęciłem”. „Nie zapomnij mnie, proszę”. Karou się zawstydzila, że wypowiedziała tę myśl na głos. Naprawdę myślała, że to będzie komplement? Jak mogło jej choćby przejść przez myśl, że on to tak potraktuje? „Świetnie ci idzie podszywanie się pod szaleńca, którego zabiłam”. To przecież brzmiało jak oskarżenie!

– Nie zapomnę – zapewniła Ziriego.

Przypomniała sobie, jak się martwiła, że noszenie skóry Wilka może go zmienić, ale kiedy patrzyła na niego teraz, wiedziała, że nie ma takiego zagrożenia.

Te oczy nie należały do Thiaga, przynajmniej w tej chwili. Były zbyt ciepłe. Jasne, nadal były to blade oczy Wilka, ale jednocześnie tak bardzo inne. Nigdy nie potrafiłaby sobie tego wyobrazić. Niebawem, jak dwie dusze mogą spoglądać przez te same oczy w tak różny sposób i zmieniać je wręcz fizycznie. Bez wyniosłości Wilka ta twarz potrefiła wyglądać miło. Co oczywiście mogło być zdradzieckie. Wilk nigdy nie wyglądał miło. Uprzejmie tak, grzecznie też. Umiał stwarzać pozory bycia miłym. To na pewno. Ale żeby był naprawdę miły? Nie. I różnica była kolosalna.

– Obiecuję – dodała tak cicho, że wśród smagnień wiatru było to prawie niesłyszalne. – Nie mogłabym zapomnieć, kim jesteś.

Musiał się nachylić, żeby ją słyszeć, a potem się nie odsunął, tylko odpowiedział tak samo cicho, z tak bliska, że niemal czuła na uchu powiew jego oddechu:

– Dziękuję.

Głos miał ciepły i zupełnie niepodobny do Thiaga, tak jak i oczy. Do tego podszyty tęsknotą.

A jednak Karou gwałtownie się odwróciła w ciemność, żeby zyskać

trochę przestrzeni. Nawet dusza Ziriego nie potrafiła sprawić, żeby fizyczna bliskość Wilka nie wzbudzała w niej dreszczy. Rany wciąż bolały. Ucho pulsowało w miejscu, gdzie je rozszarpał. Nie musiała zamykać oczu, żeby przypomnieć sobie, jak to było być uwięzioną pod jego cielskiem.

– A jak ty się trzymasz? – spytał po chwili ciszy.

– W porządku. Ale będzie lepiej, jak już się dowiemy.

Skinęła głową w stronę nocnego nieba, tak jakby skrywało tajemnicę ich przyszłości. I w pewnym sensie tak było, bo przecież z taką czy inną odpowiedzią Akiva do nich przyleci. Serce jej nagle zabiło. Jak głęboko sięgała przyszłość? Jaki miała zasięg?

I kogo będzie miała przy sobie, gdy nadejdzie?

– Ja też – zgodził się Ziri. – Zwłaszcza jeśli wieści będą dobre. Nie wiem, co robić, jeśli ten plan zawiedzie.

– Ja też nie – przyznała Karou, ale starała się mieć bojową minę. – Jak będzie trzeba, to coś wymyślimy.

Pokiwał głową.

– Chciałbym zobaczyć... miejsce, gdzie się urodziłem.

Zawahał się. Był małym dzieckiem, kiedy wybito ich plemię, i nie miał żadnych wspomnień sprzed Loramendi.

– Możesz je nazywać domem – zapewniła. – W każdym razie przy mnie.

– A ty pamiętasz?

Skinęła głową.

– Pamiętam jaskinie. Twarze już mniej. Moi rodzice są rozmazani.

Przyznanie się do tego bolało. Ziri był maluchem, ale ona miała siedem lat, kiedy to się stało, i nie został nikt inny, kto mógłby pamiętać. Kirini będą istnieć tylko tak długo, jak długo ktoś będzie ich niósł w pamięci, więc prawie całkiem już zniknęli. Skuliła się, gdy odezwało się sumienie. Czy zapomni też twarz Ziriego? Prześladowało ją wspomnienie jego ciała w płytkim grobie. Okruchy ziemi wplątujące się w rzęsy i ostatni błysk brązowych oczu, zanim je zamknęła. Pęcherze na dłoniach wciąż bolały po desperackim pochówku, wciąż czuła ból na widok jego twarzy zmieniającej się pod wpływem śmierci. Wiedziała, że wkrótce wszystko to się rozmyje. Powinna go narysować, żywego, póki jeszcze pamięta. Ale nie będzie mogła mu tego rysunku pokazać. Miał skłonność do przywiązywania zbytnej wagi do małych gestów, a ona nie chciała mu dawać nadziei. Przynajmniej takiej, na której mu zależało.

– Oprowadzisz mnie, kiedy – jeśli – tam dotrzemy? – spytał.

– Będziemy mieli niewiele czasu.

– Wiem. Ale mam nadzieję, że znajdziemy chwilę na pobycie sam na sam, choćby niedługo.

Karou aż zeszywniała. Na co on liczył, czemu chciał z nią być sam na sam?

On też się spał, kiedy zobaczył jej minę.

– Nie chodziło mi o to, że sam na sam z tobą. To znaczy nie, żebym nie chciał... Ale nie to miałem na myśli. Po prostu... – Wziął głęboki wdech, a potem boleśnie wypuścił powietrze. – Po prostu jestem zmęczony. Chciałbym, żeby choć przez chwilę nikt na mnie nie patrzył, żebym nie musiał się bać, że coś zrobię źle. To chciałem powiedzieć.

Boże, jaką była egoistką, że od razu myślała o sobie! Ciężka na nim tak wielka presja, wręcz miażdżąca, a ona nie mogła znieść myśli o byciu z nim sam na sam? Nie mogłaby chociaż udawać, że da radę?

– Przepraszam cię – jęknęła żałośnie. – Za to wszystko.

– Nie! Proszę cię. Nie mówię, że jest mi łatwo, ale przecież warto. – Wyglądał i brzmiał, jakby mówił szczerze. Wyraz twarzy i głos miał po raz kolejny całkowicie obcy Wilkowi. Zmieniał jedno i drugie, zdołał nawet nadać nieosiągalnemu pięknu generała nutę słodczy. Och, Ziri... – Ze względu na to, co możemy osiągnąć – dodał. – Razem.

Razem.

Serce Karou ożyło i jeśli był w nim choć cień wątpliwości, nie przetrwałby tego olśnienia. Jej serce żyło innym „razem”, we śnie, który zrodził się w innym ciele i który – wbrew kłamstwu, jakie wmawiała sobie od miesięcy – najwyraźniej się nie skończył.

Zmusiła się do uśmiechu, bo to nie była wina Ziriego i zasługiwał na coś więcej z jej strony, ale nie potrafiła się zmusić do wypowiedzenia słowa „razem”.

W każdym razie nie w stosunku do niego.

Ziri zobaczył w jej uśmiechu przymus. Chciał wierzyć, że to dlatego, że musiała na niego patrzeć poprzez to ciało, ale... przecież wiedział. Po prostu. Jeśli dotychczas nie był jeszcze stuprocentowo pewien, była to tylko jego wina, nie jej. Ale teraz już dotarło.

Nie ma nadziei. Nie będzie szczęścia. Nie dla niego.



Życzył jej dobrej nocy i zostawił ją wędrującą po grani, wypatrującą powrotu anioła. Odchodząc, czuł, jak jego twarz przybiera z powrotem codzienny wyraz. Kąciki ust uniosły się lekko w okrutnym wyrazie rozbawienia. Ale to nie było uczucie Ziriego. On nie był rozbawiony. Karou wciąż kochała Akivę? Prawdziwy Thiago byłby zniesmaczony, wściekły. Fałszywy Thiago miał tylko złamane serce.

Poza tym był zazdrosny i od tego zrobiło mu się niedobrze.

Dotkliwiej niż kiedykolwiek odczuwał utratę swojego ciała. Nawet nie dlatego, że mogłoby to zrobić różnicę Karou, on po prostu chciał latać. Choć przez chwilę odzyskać wolność, nabrać powietrza w skrzydła i płuca, zderzyć się z nocą i pozwolić smutkowi wypełznąć na tę twarz, która nawet nie należała do niego. Ale nie mógł. Nie miał skrzydeł. Tylko kły. Tylko pazury.

Mógłbym wyc do księżyców, pomyślał z odrobiną rozpacz. W miejscu, w którym chował nadzieję i w którym nagle zrobiło się zimno, złożył nową, żeby je trochę ocieplić.

Nie miała nic wspólnego z miłością. Nie było sensu marnować nadziei na miłość. To kwestia szczęścia, a jedyny powód, dla którego mógł dotychczas mówić o szczęściu,gnił pogrzebany w płytkim grobie w świecie ludzi. Ziri Szczęściarz. Co za kpina.

Jego nowa nadzieja wiązała się z tym, żeby znów pewnego dnia być Kirinem. Przeżyć to wszystko bez zdradzenia tajemnicy, bo zostałby spalony jako zdrajca i oszust i nie miałby już szansy na wskrzeszenie. Ale wierzył w to, co powiedział przed chwilą Karou: że warto. Jeśli tylko jego poświęcenie pozwoli poprowadzić chimery ku przyszłości wolnej od okrucieństwa Białego Wilka.

Poza tym jednak jego marzenia były skromne. Chciał znów latać i pozbyć się tego wstrętnego ciała z pazurami i paszczą pełną zębów.

Jeśli kiedykolwiek ktoś go pokocha, pomyślał z goryczą, byłoby miło móc go dotknąć bez zostawiania ran.

# Najdłuższe pięć minut świata

Liraz czuła się... winna.

To nie było jej ulubione uczucie. Ulubionym uczuciem był brak uczuć. Wszystko inne prowadziło do zamętu. Na przykład w tej chwili była wściekła z powodu poczucia winy i choć miała świadomość, że to niewłaściwa reakcja, nie była w stanie tego czuć. A rozwścieczyło ją to, co musiała zrobić, żeby się poczucia winy pozbyć.

Niech to jasna cholera.

To przez tego człowieka z przekłętymi błagalnymi oczami i całego w dreszczach. Co on sobie myślał, prosząc ją, żeby zapewniła ciepło jemu i tej jego dziewczynie, jakby to była jej sprawa? Co oni tu w ogóle robili, podróżując z potworami? To nie ich świat i nie jej problem. Poczucie winy było więc głupie, ale co z tego, skoro wciąż się zwiększało?

I robiło jej się jeszcze gorzej.

Liraz była też wściekła na chimery, ale nie z powodu, który byłby choć trochę racjonalny. Jakimś cudem nie wymierzały w nią zdobionych hamsami dłoni. Przez cały czas, gdy tu obozowali, nie poczuła boleśnie wwiercającej się w nią magii. I właśnie o to była zła. Bo nie dawali jej powodu, żeby mogła być zła!

Uczucia. Co za idiotyzm!

Pośpiesz się, Akivo, pomyślała w stronę nocnego nieba, tak jakby brat mógł ją ocalić przed samą sobą. Szanse na to były jednak niewielkie, bo on był emocjonalnym wrakiem, i to kolejny powód do furii. Karou mu to zrobiła. Liraz wyobraziła sobie swoje palce zaciskające się na szyi dziewczyny. Nie! Lepiej skręci te jej idiotyczne włosy jak sznur i tak ją udusi.

Ale, oczywiście nie zamierzała tego zrobić.

Da Akivie jeszcze pięć minut, a jeśli w tym czasie nie wróci, zrobi to. Nie, nie udusi Karou. To drugie. To, co musiała zrobić, żeby zatrzymać tę idiotyczną paradę uczuć.

Pięć minut.

Było to już piąte pięć minut. A każde z nich trwało około kwadransa.

W końcu Liraz niechętnie ruszyła, z każdym krokiem przeklinając w myślach Akivę. Dała mu najdłuższe pięć minut w historii, a on i tak nie

zdołał jej powstrzymać. Cały obóz spał, z wyjątkiem gryfona, który pełnił wartę na szczycie. Z tej odległości nie dostrzeże, co się tu dzieje.

Wilk zszedł z grani jakieś pół godziny temu i spoczął przy ognisku, na szczęście jednym z dalszych. Miał zamknięte oczy. Jak wszyscy. O ile Liraz widziała, spali.

Nikt się nigdy nie dowie, co zrobiła.

Szła powoli i w milczeniu. Dotarła do właściwej... kupki potworów i przez chwilę przyglądała jej się z niesmakiem, zanim zatrzymała się nieopodal. Ognisko było żałosne, nie dawało prawie w ogóle ciepła. Ludzie leżeli wtuleni w siebie jak bliźnięta w łonie. Płody, pomyślała. Żałosne. Patrzyła na nich dość długo. Cali się trzęśli.

Szybko się rozejrzała.

A potem uklękła i rozłożyła skrzydła. Serafini potrafili wpływać na stopień rozgrzania skrzydeł. Jedna myśl i zrobiły się cieplejsze. W ciągu kilku sekund ciepło rozprzestrzeniło się na całe zbiorowisko, ale, jak zauważyła Liraz, potrwało dobrą chwilę, zanim przestali się trząść. Ona nie znała uczucia zimna. Wyglądało jednak bardzo nieprzyjemnie. Są słabi, pomyślała, wciąż przyglądając się ludzkiej parze, ale zaraz pojawiła się inna myśl, sprzeczna z nią. Nieustraszeni.

Spali, a ich twarze stykały się ze sobą.

Nie potrafiła się do tego odnieść. Nigdy nie była tak blisko z żadną żywą istotą. Z matką? Może. Nie pamiętała tego. Wiedziała za to, że coś w tej dwójce sprawiało, że zachciało jej się płakać. W związku z tym powinna nienawidzić ich i tego uczucia. Ale nie nienawidziła i zastanawiała się, dlaczego. Patrzyła na nich i zapewniała im ciepło przez dłuższą chwilę, zanim podniosła wzrok i rozejrzała się wokół ogniska. Zaczęła myśleć o czymś innym. Czy Akivę i Karou też połączyło... to? Nieustraszona bliskość? I gdzie jest Karou? Widziała Issę, tę z plemienia Naja, która spała, jak się Liraz wydawało, spokojnie, ale ku jej potwornemu przerażeniu wśród śpiących nie zobaczyła Karou.

Gdzie ona jest?

Serce zabiło jej mocno i już wiedziała. Na gwiazdne bóstwa! Jak mogłam o tym nie pomyśleć? Przepęlniona strachem – a strach oczywiście ją rozwścieczał – odchyliła głowę i spojrzała w górę, gdzie, oczywiście, zauważyła Karou, przycupniętą tuż nad nią na skalistej grani. Jak długo tam siedzi? Kolana przyciągnęła do piersi i ciasno je owinęła ramionami. Nie spała? Jasne, że nie! Z całą pewnością było jej zimno.

Patrzyła.

Zaciekawiona.

Kiedy ich oczy się spotkały, Karou przekrzywiła głowę jak ptak. Nie uśmiechnęła się, ale jej spojrzenie pełne było najszczęśliwszego ciepła, biegnącego prosto do Liraz.

Która chciałaby na nie odpowiedzieć ciepłem nadzianym na grot strzały.

Później Karou po prostu ułożyła głowę na kolanach i zasnęła. Za to Liraz nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Została przyłapaną na gorącym uczynku. Ma się wycofać? Spalić ich wszystkich żywcem?

No, może niekoniecznie.

Koniec końców została.

Kiedy jednak chimery zaczęły się budzić i ogłoszono powrót Akivy – z dobrymi wieściami, Bastardzi dali słowo – Liraz była już na nogach i o tym, co zrobiła, nie wiedział nikt z wyjątkiem Karou. Zastanawiała się, czy jej nie ostrzec, że ma nikomu nie mówić, ale bała się, że aż takie zabieganie o dyskrecję uczyni ją jeszcze bardziej bezbronną i da Karou większą przewagę, więc w końcu sobie darowała. Ale złowrogich spojrzeń w jej stronę już nie.

– Dziękuję – powiedział cicho Akiva, kiedy mieli chwilę dla siebie.

– Za co? – przestraszyła się Liraz i łypnęła na niego, jakby mógł skądś wiedzieć, jak spędziła ostatnie godziny.

Wzruszył ramionami.

– Że tu zostałam. Że pilnowałam spokoju. Na pewno nie było zbyt przyjemnie.

– Nie było – przyznała. – I nie dziękuj mi. Możliwe, że pierwsza sięgnę po miecz, jak tylko będę miała wsparcie.

Akiva nie dał się zwiść.

– Dobrze – powiedział tylko, hamując uśmiech. – A hamsy?

– Brak – przyznała niechętnie. – Ani razu.

Był zaskoczony, aż uniósł brwi.

– Niesamowite!

To było niesamowite. Liraz się skrzywiła, bo przypomniała sobie swój absurdalny gniew z tego powodu. Co to miało znaczyć, że dali jej spokój? Przecież to dziwne. Niespotykane. Ale gdyby to przyznała, zabrzmiałoby głupio. Może zresztą było głupie. Widać było po nim, że jest pełen nadziei. Liraz nie widziała go w takim stanie. Nigdy. Ścisnęło się jej serce,

co było jednocześnie dobre i złe. Jakim cudem uczucie może być jednocześnie dobre i złe? Akiva był szczęśliwy, to było dobre. Nie było z nimi Hazaela i to było złe.

– Powiedziałeś im? – spytała. – O Hazie? – Skupiła się na tym złym, żeby się pozbyć dobrego.

Akiva kiwnął głową, a ona z mieszanką poczucia winy i małosłownego triumfu – ale głównie poczucia winy – zauważyła, że nadzieja w jego oczach zniknęła i zamieniła się w ból.

– Wyobrażasz sobie, o ile łatwiejsze byłoby to wszystko, gdyby tu był?

Zamiast mnie, pomyślała Liraz, chociaż wiedziała, że nie to miał na myśli. Za to ona miała. Może i w nocy, dzieląc się swoim ogniem, działała w jego imieniu, ale to i tak nic w porównaniu z tym, co on by wprowadził do tej dziwacznej wspólnoty potworów i aniołów. Śmiech i niewinne minki, wszystko, co pomogłoby przełamać lody. Hazowi nikt nie mógł się oprzeć. Jej dar, przyszło jej do głowy i aż zadrżała, był zgoła inny i zupełnie nieprzydatny w tej przyszłości, którą zamierzali zbudować. Ona potrafiła tylko zabijać.

Tak długo było to źródłem dumy i powodem do przechwalania się rejestrem zapisanym na jej dłoniach. Po dumie nie było już śladu, ale rejestr zostanie na zawsze. Rękawy ściągnęła aż do końców palców, jak wszyscy, i chowała pod nimi prawdę, straszną prawdę. Że naznaczone miała nie tylko dłonie. W kasbie pokazywała je chimerom, ale nie pokazała całej potworności swoich rąk.

Tataże wykonywane przy obozowych ogniskach, kolumny pięciu kresek – cztery przekreślone piątą – u niej nie ograniczały się do dłoni. Biegły wyżej, w górę ramion i nadawały im wygląd czarnej koronki. Nikt inny nie miał tylu zdobyczy. Nikt.

Kończyły się pod łokciami na niepełnym komplecie: dwie kreseczki były ostatnimi, które miała odwagę odkreślić. Przed Loramendi.

Loramendi.

Od tamtej pory miała powracający sen, w którym, wiedzona wiarą, że odrosną jej nowe, nienaznaczone ręce, odcinała sobie te stare.

Sen nigdy nie precyzował, jak to robiła. Jasne, z pierwszą ręką nie ma problemu. Nad kwestią drugiej jej umysł dyskretnie się prześlizgiwał.

Jakim cudem można odciąć sobie samemu obie ręce?

Ale najważniejsze było to, że ręce nie odrastały. A w każdym razie zawsze się budziła, zanim zdołały odrosnąć. Leżała z otwartymi oczami i

nie mogła ponownie zasnąć, dopóki nie wyobraziła sobie końca, w którym z fontanny krwi tryskającej z kikutów wyrastały nagle kości, mięśnie, palce i po chwili była znów cała. Cała i nienaznaczona.

Nowy początek.

W wyobraźni.

Nie powiedziała o tym nikomu poza Hazaelem, który odwrócił jej uwagę od snu tym, że przez następne pół godziny usiłował rozwikłać zagadkę podwójnego samookaleczenia, co skończyło się tak, że upadł na plecy i autorytatywnie ogłosił, że to niemożliwe. Akivie nie powiedziała, bo jego nie było. Po Loramendi ich zostawił, a chociaż potem wrócił, to pogrążony w swoim świecie. Jak na przykład teraz. Patrzył gdzieś poza nią i nie musiała się nawet odwracać, żeby wiedzieć, na kogo. Tak się zagapił, że pstryknęła mu palcami przed twarzą.

– Może trochę subtelniej, braciszku? To się odbije na niej, jeśli chimery pomyślą, że między wami wciąż coś jest. Nie słyszałeś, jak na nią mówią?

– Nie. – Był szczerze zaskoczony. – Jak?

– Kochanica anioła.

Zobaczyła, że się rozpromienił i wywróciła oczami.

– Nie ciesz się tak. To nie znaczy, że ona cię kocha, tylko że oni jej nie ufają. – Strofowała go, jakby sama coś z tych spraw rozumiała albo jakby jej zależało. Wiedziała o uczuciach bardzo niewiele, co i tak w zupełności jej wystarczyło, ale... Nie zamierzała się z tym obnosić, ale w bólu, który wypełniał jej serce, było coś dobrego. Miała ochotę otoczyć to coś skrzydłami i chronić od zimna.

# Przybycie + 18 godzin

## Znajome przerażenie

**W** noc Przybycia Eliza nie poszła spać. Czuła wspinający się po jej ramionach sen i wiedziała, co by się stało, gdyby zasnęła. Ale to nie był najważniejszy powód. Nikt inny nie spał. Świat został szturchnięty rozgrzanym pogrzebaczem i iskry latały jak wściekłe. Po przemówieniu anioła rozpoczął się spektakl zamieszek i fanatycznych aktów przemocy, czuwania członków sekty Wniebowstąpienie, masowych chrztów, kradzieży, zbiorowych samobójstw, a nawet – co za koszmar – ofiar ze zwierząt. Były również, oczywiście, całonocne imprezy z motywem przewodnim Armagedonu, pijani chłopcy ze studenckich bractw w kostiumach demonów sikający z dachów i kobiety oferujące ciała, żeby urodzić anielskie dzieci.

Jak zwykle, ludzie i ich zidiocenie.

Była ekstaza i furia, desperackie prośby w jakiejś intencji i ogniska. Bardzo dużo ognisk. Szaleństwo, dreszcze, triumf, panika i zgiełk. Muzeum Elizy znajdowało się w National Mall i tuż przed ich drzwiami tysiące ludzi maszerowały pod Biały Dom, nie tyle zjednoczeni wspólną prośbą do prezydenta, co chęcią uczestnictwa tej niezwykłej nocy w jakimś wydarzeniu. Czymś, co zostanie zauważone. Niektórzy nieśli ofiary, inni megafony, kilkoro miało korony cierniowe i dźwigało

wielkie krzyże, a inni wetknęli za pas pistolety.

Eliza została w środku.

Nie wróciła do domu, bo się bała, że ktoś będzie tam na nią czekał. Skoro rodzina znała numer telefonu, na pewno byli też w stanie zdobyć adres. I dowiedzieć się, gdzie pracuje, ale w muzeum była przynajmniej ochrona. Ochrona jest super.

– Ja tu zostanę – poinformowała Gabriela. – Mam trochę zaległości w pracy. – To w sumie nie było kłamstwo. Musiała pobrać DNA od różnych gatunków motyli wypożyczonych z Muzeum Zoologii Komparatywnej w Harvardzie. Miała też coraz mniej czasu na pracę doktorską, ale nie podejrzewała, żeby – biorąc pod uwagę okoliczności – ktoś miał do niej pretensję o dzień wolny. Zastanawiała się, czy ktokolwiek na świecie coś dzisiaj zrobił. W każdym razie ktoś poza Morganem Tothem. On, nie ukrywając obrzydzenia, wyszedł zaraz po przemówieniu anioła i spędził resztę poranka w laboratorium, jakby chciał udowodnić, że w porównaniu z nim siedem miliardów pozostałych mieszkańców planety to kretyni.

Ale w końcu i on poszedł i Elizie ulżyło, że ma laboratorium dla siebie. Zamknęła się w środku, zdjęła buty i spróbowała opanować myśli.

Co to znaczyło? O co w tym wszystkim chodziło?

Poczuła w okolicach potylicy dudnienie, które przypominało roztrzepotaną panikę i zapowiadało ból głowy. Łyknęła tabletkę tylenolu i skuliła się na kanapie z laptopem, żeby jeszcze raz obejrzeć przemówienie. Po raz kolejny sam widok anioła wystarczył, żeby ścierpła jej skóra, nie musiał nawet nic mówić i formułować swoich oślinionych słów. Nie widziała jego ust. Po co mu ten hełm? To dziwne. Widać było większość twarzy, tylko nie środek, który przecinał resztę na pół. Efekt był niepokojący. Zwłaszcza że jego oczy nie przypominały oceanów ciepła. Były niepokojąco niebieskie, płytkie i okrutne.

Poza tym jakoś dziwnie się przechylał do przodu i co jakiś czas się poruszał, jakby poprawiał na plecach jakiś ciężar, chociaż przecież nic na nich nie miał.

A może miał?

W każdym razie nic nie było widać. Eliza pogłośniła. I jeszcze ten szept. Wypełniał pauzy w wypowiedzi, ale nie zdołała wychwycić nic poza złowrogim, trochę drżącym dźwiękiem. Skąd dochodził?

Obejrzała mowę jeszcze kilka razy. Słuchała łaciny, nie zwracała uwagi na tłumaczenie. Patrzyła tylko na anioła i usiłowała wychwycić elementy,



które świadczyły o tym, że coś jest nie tak. Przez cały czas wiedziała jednak, że tak naprawdę unika tego, o co chodziło. Jego przekazu.

CNN jako pierwsze wyemitowało przemówienie z napisami i kiedy Eliza je przeczytała, przeszył ją zimny dreszcz, który następnie osiadł i zaczął przemieniać się w lód.

„...o Wrogu, który chciał was pożreć. ...rozszarpywane ciała... Cień ...Potwory”.

Teraz skupiła się na wersji z napisami i nieświadomie dotykała palcem małej blizny na obojczyku. Rozrusznika już nie było. Został usunięty, gdy miała szesnaście lat. Ale nie dlatego, że lęk się zmniejszył. Po prostu z wiekiem jej ciało stało się dość silne, żeby go znieść.

„Potwory... Idą po was”.

Lód, na zewnątrz i w środku. Dreszcze i przerażenie. Potwory idą. Dobrze znane przerażenie.

Bo na tym polegał sen.

## Ile są warte obietnice

### Jaskinie Kirinów.

Dzisiaj spotkają się tu dwie armie. Żołnierze wychowani we wzajemnej nienawiści, którzy nigdy nie patrzyli na siebie inaczej niż z pragnieniem – i zamiarem – zadania śmierci. I którzy prawie nigdy nie podejmowali próby przezwyciężenia tego impulsu. Chimery były w tej rozgrywce wygrane. Mogły poćwiczyć niezabijanie na Akivie i Liraz i jak na razie szło im dobrze.

Bastardzi nie ćwiczyli, ale Akiva wierzył, że jego bracia i siostry dotrzymają obietnicy i nie zaatakują pierwsi. Chociaż jaskinie Kirinów i góry, w których się znajdowały, były jeszcze daleko, Akiva wyobrażał sobie dwieście dziewięćdziesiąt sześć par zaciśniętych szczęk, walczących o stłumienie instynktów i wyparcie każdego smagnięcia w treningu, jaki

przechodzili przez całe życie.

„Porozumienie może być tylko tak silne, jak jego najłabsze ogniwo”, ostrzegwał Elyon i Akiva wiedział, że to prawda. Wierzył jednak, że wśród Bastardów nie ma słabego ogniwa. Ogniwo łańcucha było ich symbolem, oznaczającym, że każdy żołnierz jest częścią całości, a ich siła leży w jedności. Bastardi nie rzucali słów na wiatr.

A chimery? Przyglądał się im w locie i za dobry znak poczytywał, że darowały sobie ukradkowe rażenie hamsami, którego próbowały na początku podróży. Do zaufania jeszcze długa droga, tymczasem będzie musiała wystarczyć nadzieja. Nadzieja. Uśmiechnął się, bo nieświadomie przywołał imię Karou.

Karou. Była jedną z wielu w tej formacji, drobniejszą od większości chimer, a jednak wypełniała całe jego pole widzenia. Kleks lazuru, błysk srebra. Nawet objuczona kadzielnicami unosiła się lekko jak piórko. Wokół niej leciały smokopodobne stworzenia i centaury, wszystkie obdarzone skrzydłami, a dzięki nim bezskrzydłe Naja, Dashnag i Sab, Gryfon i Hartkind. Ona lśniła wśród nich jak klejnot rzucony na szorstką ziemię.

Albo gwiazda w stulonych dłoniach nocy.

Jak się tu będzie czuła? Pozostałości po jej plemienu były wszędzie: broń, narzędzia, talerze i bransoletki. Instrumenty muzyczne z zerwanymi strunami i lustra, w których musiała się przeglądać, kiedy jeszcze nosiła inną twarz. Miała siedem lat, gdy to się stało. Była dość duża, żeby pamiętać.

Dzień, w którym aniołowie odebrali jej całe plemię. A jednak uratowała mu życie wtedy w Bullfinch. Jednak pozwoliła sobie go pokochać.

„My jesteśmy początkiem, usłyszał w głowie i zabrzmiało to jak modlitwa. Zawsze nim byliśmy. Ale niech tym razem będzie to coś więcej niż tylko początek”.

Karou zauważyła ocieniony sierp księżyca w zboczu góry przed nimi i poczuła ucisk w sercu. Dom. Tak? Tak powiedziała Ziriemu. „Dom”. Spróbowała jeszcze raz i wydawało się, że to prawda. Już bez domyślnych cudzysłówów. Spośród wszystkich miejsc, w których mieszkała w dwóch życiach, do tego przynależała bez żadnych wątpliwości. Nie była ani uchodźcą, ani ekspatriantem, tylko córką z krwi. Jej korzenie biegły

głęboko w tych skałach, skrzydła poczęły się w tym niebie.

Mogła tu dorastać i być wolna. Mogła się nigdy nie dowiedzieć, w jaki sposób wielka klatka nad Loramendi sieka światło na konfetti i rzuca na dachy domów tylko skąpe garście. Tam nigdy nie czuło się na twarzy pełnego blasku słońca ani księżyca, bo zawsze był poszatowany przez stalowe pręty krat. Mogła spędzić całe życie w olśniewającym górskim świetle.

Ale wtedy nigdy by nie poznała Brimstone'a, Issy, Yasri ani Twigi.

Żyliby jej rodzice. Byliby tutaj.

Nigdy nie byłaby człowiekiem, nie skosztowałaby rozpustnego pokoju tamtego świata, nie rozkoszowałaby się przyjaźnią i sztuką.

Miałaby już własne, kirińskie dzieci, szalejące w dzikim wietrze tak jak ona kiedyś. Miałaby kirińskiego męża.

Nigdy nie poznałaby Akivy.

Jak tylko ta nieproszona myśl wpadła jej do głowy, zobaczyła go. Leciał razem z Liraz na prawym skrzydle formacji. Nawet z tej odległości czuła moc, z jaką spotkały się ich spojrzenia, i rozsypała się w niej kolejna porcja „co by było, gdyby”.

Osiemnaście lat temu mogła odlecieć, a nie umierać.

Tak, ale co potem? Wszystkie nieprzeżyte życia wykluczają się wzajemnie. Nie miała nic oprócz teraz. Ubranie, krew w żyłach i obietnicę daną przez towarzyszy. Oby tylko jej dotrzymali.

Pamiętała odruchowe okrucieństwo Keity-Eiri i daleko jej było do pewności. Ale nie miała czasu się martwić.

Już dotarli.

Zgodnie z planem Akiva i Liraz wylądowali pierwsi. Wejście miało kształt długiego sierpa księżyca, bo wielu Kirinów było wysokiego wzrostu, ale jednocześnie było wąskie, żeby mogło wejść nie więcej niż kilka osób naraz. Były też nisze dla łuczników, w tej chwili puste. Kirini słynęli z łucznictwa. Bastardów natomiast szkolono w walce wieloma typami broni, ale akurat w łucznictwie nie. Niby po co? Przecież byli mięsem wysyłanym na pierwsze starcie z potworami. Łucznictwem parały się cenniejsze ciała.

Akiva wypatrywał stali, ale zobaczył coś innego.

Ręce jego braci i sióstr zwiślały niepewnie, bo zabrakło im

zwyczajowego miejsca spoczynku na głowicach mieczy. Tam zwykle układali dłonie, ale na dowód złożonej obietnicy Bastardzi, wszystkich dwustu dziewięćdziesięciu sześciu, zrezygnowali z nich, żeby nie wydawać się tak groźnymi. Niektórzy wetknęli kciuki za pasy, inni trzymali ręce za plecami, a jeszcze inni spleli je na piersi. Nienaturalne, wyrażające skrępowanie pozycje.

Nadeszła ta chwila i była to wielka chwila. Zlatywał na nich oddział zjaw. Widzieli już coś takiego, ale wówczas jedyną reakcją było powitanie ich okrzykami wojennymi i stałą. Stałą, to oczywiste. Szaleństwem wydawało się to, że teraz nie mieli po co sięgnąć.

Ale nikt tego nie zmienił.

Akiva nie umiałby opisać dumy, jaką w tej chwili odczuwał. Czuł się nią uskrzydłony i poruszony. Chciałby każdego z nich uściskać. Ale nie było na to czasu. Wystarczy, że wszystko szło dobrze. Tak jak miało pójść. Tak jak musiało. Elyon wyszedł im na spotkanie, więc Akiva i Liraz wylądowali przed nim.

Wejście było wąskie, a pierwsza „sala” w jaskiniach Kirinów okazała się siecią połączonych ze sobą pieczar, biegnących w głąb góry. Kiedyś, dawno temu, zburzono ściany i otrzymano w ten sposób jedną przestrzeń. Dominował tu kamień i naturalna rzeźba, podłoże i ściany były nierówne, a z sufitów zwisały stalaktyty, przypominające kły. Znajdowało się tam wiele nisz dla łuczników. To była forteca, a jednak nie ocaliła Kirinów. W zagłębieniach posadzki zbierał się śnieg i deszcz, tworząc kałuże, które czasem zamarzały. Choć niebo było dziś pogodne, skalną posadzkę pokrywał lód, a oddechy żołnierzy zamieniały się w kłębki pary.

Serafini byli spokojni, opanowani. Narastający hałas, dublowany jeszcze przez echo, nie pochodził od nich. Akiva obrócił się na pięcie i razem z nimi obserwował przybycie armii chimer.

Pierwszy wylądował kot, drobny i dostojny, wraz z parą gryfonów. Siadali miękko, choć obciążeni byli sprzętem i kadzielnicami. Obok nich przyboczna Thiaga, wilczyca Ten, z lekkim poślizgiem wysunęła się naprzód i odważnie przyjrzała się aniołom. Akiva się zdenerwował. To wyglądało jak ustawianie się w szyku wojennym. Reszta poszła za jej przykładem i osiadali za nią, w jednej linii. Armia naprzeciw armii. Ale nie mógł przecież oczekiwać, że ustawią się tyłem do wrogów.

Zlatywało się coraz więcej chimer i zauważył porządek ich przybycia: najpierw te najbardziej przerażające, czyli najmniej naturalne. Robiły

minimalne przerwy, żeby serafini mogli stopniowo się przyzwyczajać do obecności śmiertelnego wroga. Ładowały kolejne dwu- czy trzyosobowe grupy i formacja nabierała kształtu. Gdzieś pośrodku plasowała się para ludzi, kucharka i Issa; wdzięcznie zsunęła się ze swojego Dashanga, na którym leciała, i płynnym ruchem głowy i ramion skłoniła się aniołom. Była piękna i zachowywała się raczej jak dama niż wojowniczka. Akiva zobaczył, że Elyon szybko mruga i nie może oderwać od niej wzroku.

Co do Karou, serafini nie mieli pojęcia, jak ją ugryźć: pozbawiona skrzydeł, lśniąca, bez oznak przynależności do jakiegokolwiek rasy i wyróżniająca się niebieskimi jak klejnot włosami. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że oto Kirinka wróciła do domu. Ale Akiva widział jej napięte rysy i wiedział, że zalały ją wspomnienia. Obserwował jej oczy, którymi omiatała jaskinię, i żałował, że nie może w tej chwili być z nią.

Patrzył na nią, choć powinien obserwować resztę. Rozglądać się na obie strony.

Gdyby wiedział, na co zwracać uwagę, na pewno zauważyłby pierwsze sygnały.

Jak już wcześniej stwierdził Elyon, osiemdziesięciu siedmiu żołnierzy to niedużo, a w tej chwili nie było ich nawet tylu, bo Thiago wysłał grupy zwiadowcze. Wkrótce większość znalazła się na ziemi. Bastardi słyszeli już oczywiście, że ci chimeryjscy buntownicy byli pozbawieni dawnych plemiennych aspektów. Kiedy pierwszy raz zaatakowali karawany niewolników na południu, szeptano, że to duchy, a ostatnie słowa konającego Brimstone'a wracały jak zmora. Teraz widzieli ich wyraźnie. Większość potworów miała skrzydła i była ogromna. Ciała tych największych pokryte były czymś szarym, jakby gipsem, który sprawiał, że wyglądały jak wykute z kamienia albo żelaza. Para wojowników Naja odznaczała się niewielkim podobieństwem do Issy i jeśli na ich widok Elyon także mrugał, to z zupełnie innego powodu i znacznie mniej przyjaźnie. Były byko-centaury z kopytami wielkimi jak talerze i Hartkind o rogach tak ogromnych i rozłożystych, że w całej sali trofeów Jorama nie udałoby się uzbierać równowartości.

Akiva zdawał sobie sprawę, że barbarzyńskie trofea jego ojca – głowy chimier zawieszane na ścianach – wybuchły z Wieżą Triumfu i zniknęły w niebycie razem z całą resztą. Cieszył się z tego. Miał nadzieję, że się zdematerializowały. Wciąż nie rozumiał, co zrobił tamtego dnia, i czasem wątpił, że w ogóle on to zrobił. Cokolwiek to jednak było, było

imponujące, ale okazało się porażką, bo nie zdołał uratować Hazaela, a Jael uszedł z życiem. Nieskupiona energia, bezsensowna przemoc.

Nie, to zbyt ponure myśli jak na chwilę taką jak ta. Otrząsnął się. Zobaczył na niebie Thiaga na Vispengu. Zniżał się teraz do księżycowego wejścia. Będą ostatni. Wszystkie pozostałe chimery wylądowały, dwie armie stały twarzą w twarz, napięte i gotowe na wszystko, a członkowie każdej zaciskali w zębach złożone obietnice.

Albo kłamstwa.

Akiva stwierdził, że musiał się spodziewać sukcesu, bo się nie dziwił. Był zadowolony, a może nawet więcej. Poruszony. Wdzięczny. Wdzięczność wypełniała jego duszę aż po brzegi.

Przymierze wytrzymało.

...

Aż się rozsypało.

## Nadzieja umiera świadomie

**K**arou stała pośrodku i widok jaskini zasłaniali jej wyżsi żołnierze, ale za to dobrze widziała Akivę i Liraz. Stali trochę na uboczu, wraz z jednym z braci.

No i jesteśmy, myślała. Nie chodziło jej o dom, tylko o coś innego. Wspomnienia wciąż były żywe, ale należały do przeszłości. A teraz... Teraz był początek przyszłości. Wilk wciąż krążył w powietrzu, czuła jego obecność, ale patrzyła na Akivę. Dokonał tego i czuła w środku zachwyty, roztrzepotany jak motyle albo kolibro-ćmy, albo... burzołowcy. Taki był wielki.

Czy to się dzieje naprawdę?

Działo się. Kiedy ona i Akiva odetchnęli pierwszymi dźwiękami swojego snu, zastanawiali się, czy będzie przy nich ktokolwiek z ich rodzin lub towarzyszy, czy uda się ich zwerbować. Wiedzieli, że na pewno

nie wszystkich, ale jakichś tak. Na początek niektórych, „a może będzie więcej”. I teraz, w tych jaskiniach, byli i inni. Na początek, a może będzie więcej.

Karou patrzyła na aniołów – na Akivę – więc... doskonale widziała moment, w którym wszystko się zepsuło.

Akiva się skulił. Bez powodu zgiął się jak raniony mieczem. Liraz i ich brat także. I chociaż nie patrzyła na pozostałych Bastardów, kątem oka dostrzegła wśród nich poruszenie. Trzepot w jej wnętrzu zamarł. I wiedziała już, że przymierze zostało przeklęte w dniu, w którym Brimstone wymyślił znaki.

Hamsy.

Kto? Cholera jasna, kto?

Nie miało znaczenia, czy zrobiła to jedna chimera, czy wszyscy. Mieli do dyspozycji spust i pociągnęli za niego. W ułamku sekundy wszystko się zmieniło. Ot tak, napięcie przepełniające jaskinię zmalowało – wybuchły mięśnie i wola, i ulga, że mogą się wreszcie otrząsnąć z tego szaleństwa i wrócić na stare ścieżki. Rozprawić się jeden z drugim.

Poleje się krew.

Panika w ciele Karou wrzasnęła. Nie. Nie! Wystartowała. Jeden krok i była w powietrzu, ponad głowami armii. Wyteżęła wzrok, żeby się dowiedzieć: kto to zrobił? Kto zaczął? Nikt nie wyciągał rąk. Keita-Eiri? Wyglądała na poruszoną, gotową do działania, a dłonie miała zaciśnięte w pięści. Jeśli to ona, postąpiła jak tchórz, jak szczeniak, wywołując bitwę, w której tyłu będzie musiało zginąć...

Zuzana i Mik. Serce Karou zadrżało. Musi ich stąd zabrać.

Obejrzała się za siebie i omiotła wzrokiem ruch, na który pozwolili sobie skuleni dotąd żołnierze, zobaczyła obnażone zęby i pierwszą falę wojowników zdających się na instynkt.

Zobaczyła też Thiaga, który ciągle wisiał w górze. Uthem wyciągał głowę osadzoną na długiej szyi i utrzymywał swe piękne ciało w powietrzu dzięki dwóm parom skrzydeł. Kątem oka zobaczyła ruch. Sekundę później usłyszała dźwięk, a potem...

Strzała przebiła jego gardło.

Gdy tylko Akiva poczuł morderczy dotyk magii, w jego głowie rozbrzmiało jedno słowo: nie! Nie nie nie nie nie nie!

A potem ta strzała...

Vispeng krzyknął. Był to wołanie konającego konia. Wypełniło jaskinię i skupiło na sobie uwagę wszystkich, a stworzenie runęło. Gdy spadało, chimery rozpięzchły się na boki, żeby zrobić mu miejsce, gdy na łeb, na szyję, wirując jak szalony, leciał prosto na kamienną posadzkę. Z wielkim impetem. Szaleńczo wywracał gałki oczne, jego szyja wiła się i smagała kamień, a strzała się rozpekła, gdy długie, lśniące ciało skręciło się i zmiotło jeźdźca, zanim zastygło w potwornym bezruchu.

W ten sposób Biały Wilk znalazł się u stóp Bastardów: doleciał do nich jednym ślizgiem po pokrytej lodem posadzce, na plecach. Jego armia podniosła krzyk.

Akiva widział to wszystko przez mgłę przerażenia. Czy chimery zaplanowały tę zdradę? Był pewien, że pierwsze były hamsy.

Ale ta strzała? Skąd się wzięła? Z góry. Akiva podniósł wzrok i zobaczył ledwo dostrzegalny ruch wśród stalaktytów. Do przerażenia dołączyła wściekłość na braci i siostry.

Nieopisywalna duma gdzieś zniknęła. Te dłonie, pozbawione oparcia w rękojeściach mieczy, były tylko nic nieznaczącym pokazem, skoro nad głowami mieli łuczników z napiętymi cięciwami. A ręce i tak nie pozostaną długo puste.

Biały Wilk klęczał. Po obu jego stronach zęby obnażały się w ponurym uśmiechu. Martwy środek formacji serafinów. Wyciągnięta ręka. Ruch się nawarstwiał. Jak reżyserowany. Po sekundzie ręce były trzy, po chwili dziesięć, a zaraz potem pięćdziesiąt. Akiva reagował zbyt wolno i zbyt desperacko. Podniósł puste ręce w błagalnym geście i usłyszał zachrypnięty krzyk Liraz: „Nie!”

Miał tylko tę sekundę. Sekundę. Ręce na rękojeściach. Kierunek fali zmienia się w ciągu sekundy, i nie można go odwrócić. Kiedy wyciągną miecze z pochew, kiedy potwory rozluźnią mięśnie, dzień skończy się czerwienią, jak ostatni dzień Kirinów, a ta jaskinia raz jeszcze wypełni się krwią. I rozpaczą.

Błysk lazuru. Spojrzał Karou w oczy, a ich wyraz był nie do zniesienia.

To była nadzieja, która umiera ze świadomością tego, co się dzieje.

Po raz trzeci w życiu Akiva poczuł w sobie rozwijającą się poczwarkę ognia i przejrzystości. To się stało natychmiast, a potem świat się zmienił. Tak jakby zesza z niego wytłumiająca dźwięki skóra i zobaczył przed sobą wszystko: oczywiste, o wyraźnych krawędziach, olśniewające i



nieruchome. To był *sirithar*, a Akiva został zaklęty wewnątrz chwili.

Mówił braciom i siostram, że terażniejszość jest chwilą dzielącą przeszłość od przyszłości... W tym stanie spokoju i krystalicznej jasności – kumulująca się agresja zwolniła bieg aż do tempa snu – nie było żadnego podziału. Teraźniejszość i przyszłość połączyły się w jedność. Intencja każdego z żołnierzy wisiała przed nim opromieniona światłem, a Akiva widział ją, zanim jeszcze się wydarzyła. W smugach jasności wymalowane były miecze.

Ręce w akcji, w masie, hamsy i rejestry ofiar, ręce serafińskie i chimeryjskie, splątane.

Przepowiednia światła się spełniła, początek umarł, tak jak i poprzedni, a jego miejsce zajął nowy: Jael wróci do Eretz, gdzie nie będzie buntowniczych oddziałów, które trzeba pokonać. Ani chimery, ani serafinów, którzy mu się przeciwstawią, bo zostanie po nich tylko krew zamarznięta w czerwonym lodzie na dnie jaskiń. Jedni i drudzy okazali się tak mili, że wybili się w jego imieniu. Droga będzie wolna i ucierpi na tym Eretz. Akiva to wszystko czuł: ogromny, odbijający się echem, wstrząsający ziemią wstyd. Widział też, skłaniając się ku chaosowi, że w sekundach, które miały jeszcze nadejść, Karou sięgnie po swoje ostrza w kształcie sierpów księżycy.

Dzisiaj zabije i być może dzisiaj zginie.

Gdyby można było odwrócić tę sekundę.

Nie wolno jej odwracać.

Wtedy, w Astrae, Akiva uwolnił ze swojego umysłu iskrę furii, frustracji i cierpienia, tak potężną, że eksplodowała od niej wielka Wieża Triumfu, symbol Imperium Serafinów. Nie potrafił dojść, co to było ani jak to zrobić.

A teraz, wciąż tego nie wiedząc, poczuł, że kolejna iskra odrywa się od tego samego, nieznanego miejsca w jego wnętrzu.

Oderwała się, przestała być jego częścią, czymkolwiek była – co to takiego? – i zabrała ze sobą *sirithar*, a Akiva został wtrącony w rytm zwykłego czasu, szybki, mroczny i głośny. Przypominało to przejście z jeziora o powierzchni gładkiej jak lustro do strumienia. Zrobił niepewny krok poza zasięg jasności i mógł już tylko patrzeć, nie oddychając nawet, co działa jego magia.

I przekonać się, czy to w ogóle będzie miało znaczenie.

# Płomień świecy ugaszony przez krzyk

Serafini z rękami na rękojeściach i chimery wyprężone tuż przed skokiem.

Thiago klęczał między obiema armiami. Zginie pierwszy. Karou sięgnęła po ostrza, ale wciąż brzmiał w niej krzyk: „Nie!” Jeśli w tej sekundzie, w momencie zarzewia i obietnicy krwi byłby czas na myślenie, nie przeszłoby jej przez głowę, że jakakolwiek moc zdoła to powstrzymać. Jej nadzieja umarła w chwili, gdy pierwszy anioł skulił się pod wpływem hams.

Nadzieja umarła. Tak myślała. Nie uwierzyłaby, że może istnieć rozpacz jeszcze głębsza. I wtedy ją poczuła.

Nagłą i wstrząsającą. Pociągnęła ją na dno.

Pewność, że to koniec. Widok anielskich ostrzy gotowych do siekania i ranienia, warczenie chimer szykujących się do rozdarcia przyszłości kłami na strzepy, tak jakby każdy skrawek myśli albo uczucia, jakie kiedykolwiek istniały i kiedykolwiek zaistnieją, został wydarty i zastąpiony tą... tą... gorzką smugą daremności.

Ślepy zaułek, krzyczała w myślach. I po co to wszystko?

Rozpacz absolutna i całkowita przejęła nad nią władzę. Ale tylko chwilowo. Zaraz odpuściła i zniknęła, ale Karou pozostała zniesmaczona, przeczolągana i z takim uczuciem, jakby świat...

...był świecą ugaszoną przez krzyk.

W obliczu tej potęgi zrozumiała, że kiedy wszystko się skończy, ona może być już tylko smuzką dymu ulatującą ku zatraceniu. Kiedy cały świat przeminie.

Ślepy zaułek, i po co to wszystko?

Ślepy zaułek. Ślepy zaułek.

Jej ręce nie zdołały skończyć tego, co zaczęły. Nie walczyła. Nie mogła. Ostrza zwiślały bezwładnie u jej boków, a ona odetchnęła, niemal zaskoczona, że jest w niej jeszcze życie i powietrze, którym można oddychać.

Sekunda.

Kolejny oddech i kolejna sekunda.

Wcześniej wisała w powietrzu, ale teraz wylądowała, jakoś bez mocy,

na kolanach, a w jej głowie wciąż odbijało się echem to: „Nie!” Nagle się zorientowała, że wokół niej... nic się nie dzieje.

Nic. Było spokojnie.

Napięte mięśnie potworów rozluźniły się, a pokryte czarnymi liniami dłonie aniołów zamarły na głowicach mieczy. Wyciągnięte do połowy serafińskie miecze odbijały światło, a inne wciąż ukryte były w pochwach.

Dwie głodne krwi armie po prostu się... zatrzymały.

Jak?

Ta chwila wydawała się bardzo długa. Karou, trochę przytłumiona ogromem rozpaczy, prawie nie wiedziała, co z tym wszystkim zrobić. Przecież czuła, jak poprzednia chwila się przechyla i kieruje ich ku katastrofie. Jakim cudem po prostu się zatrzymali? Żle odczytała kierunek tamtej chwili? To nie była katastrofa? Tylko prężenie mięśni, prezentowanie broni? Czy to możliwe, że to takie proste? Nie. Nie, czegoś jej brakowało. Wokół dało się odczuć milczące zdziwienie, zaczynało się powolne mruganie i rozchodził się dźwięk oddechów równie chrapliwych jak jej. Chciała się z tego wszystkiego otrząsnąć.

Zobaczyła, jak z ziemi niczyjej między obiema armiami powstaje Biały Wilk. Wszystkie oczy skupiły się na nim, także jej, a mgła zaczęła się rozrzedzać.

Czy to możliwe... że jakimś cudem on to zrobił?

Wyprostowała się. Poruszała się z trudem. Może i rozpacz zniknęła, ale zostawiła po sobie ciężar, który ją otulał, gęsty i zimny. Widziała, że kolana Wilka są zakrwawione od uderzenia o ziemię. Uthem leżał nieżywy, a kałuża jego krwi powiększała się coraz bardziej. Thiago wstał w chwili, kiedy dopłynęła do niego i zbierała się wokół jego stóp, barwiąc na czerwono białe futro, a potem popłynęła naprzód, sięgając już pierwszego rzędu aniołów. Uthem był duży, więc krwi było dużo, a Wilk wyglądał wstrząsająco, stojąc w niej, cały biały, z wyjątkiem ran na kolanach i czole. I na dłoniach.

Dłonie miał we krwi i trzymał je złożone. Wyglądał, jakby się modlił, ale wszyscy wiedzieli, co to znaczy. Zamiast atakować, oślepił swoje hamsy, trzymając je oko w oko. Panował nad sobą i swoją mocą. Jego żołnierz leży martwy, a Biały Wilk nie zamierza go pomścić? Ten gest miał wielką moc, ale Karou nadal nie rozumiała. Jakim cudem powstrzymał trzystu Bastardów w pół kroku?

Przemówił:

– Na prochy Loramendi przyrzekam, że ja i moi ludzie nie jesteśmy głodni krwi, przybyliśmy tu, aby się zjednoczyć. Zaczęło się bardzo źle i nie taki był mój plan. Dowiem się, kto podniósł rękę wbrew mojemu wyraźnemu zakazowi. Ten żołnierz, kimkolwiek się okaże, złamał moje słowo. – Słowa te wypowiedział cicho, z głębi gardła. Przepiętne były obrzydzeniem i groźbą, a dreszcz przebiegł nawet po plecach Karou.

Thiago się odwrócił i spojrzął na swoich żołnierzy wzrokiem, który mógł zadawać rany.

– Żołnierz ten – ciągnął głosem docierającym do serc swojej armii – zaryzykował dziś śmierć wszystkich swoich towarzyszy i za to zostanie ukarany.

Groźby nie trzeba było tłumaczyć, wszyscy wiedzieli, co miał na myśli. Patrzył zdecydowanie i przesywająco. Kilka razy zatrzymał wzrok na konkretnych żołnierzach, którzy zamarli.

Potem odwrócił się z powrotem do Bastardów.

– Wszyscy będziemy musieli zaryzykować życie, ale my już nie z waszego powodu, a wy nie z naszego. Zły początek może nadal być początkiem.

Był pobudzony. Szukał wzrokiem Akivy. Karou czuła, że oczekuje wsparcia, by poskładać roztrzaskane przymierze. Ona też czekała, pewna jego reakcji. Przecież to Akiva ich tu przyprowadził, musi znaleźć słowa, żeby jakoś z tego wybrnąć. Ale Wilkowi odpowiedziała tylko pełna napięcia cisza.

Coś było nie tak. Nawet Liraz wyczekująco łypała na Akivę. Karou się zaniepokoiła. Wyglądał dziwnie, jakby był chory. Szerokie ramiona kulił pod jakimś ciężarem. Co się działo? Już go kiedyś widziała w takim stanie. Sama go spowodowała, ale tym razem nie mógł to być efekt działania hams, prawda? Czemu miałby go odczuć silniej niż reszta?

Z widocznym wysiłkiem odezwał się w końcu:

– Tak. Początek. – W jego głosie słychać było pustkę, zwłaszcza w porównaniu ze zdecydowanym tonem Wilka, jego znaczącymi słowami. Mówił dalej: – Bardzo zły początek. Żałuję tej śmierci, głęboko żałuję naszej gotowości do zadania jej. Mam nadzieję, że uda się go ocalić.

– Tak, to zostanie zrobione – odparł Wilk. – Karou? Proszę.

Wezwanie. Poczwała, że jest w centrum uwagi. Lęk rozszalał się w jej żyłach, ale przywołała się do porządku i ruszyła. Wszyscy na nią patrzyli, kiedy szła przez tłum swoich ludzi prosto do Uthema. Stała w jego krwi.

Thiago skinął głową, więc uklękła, ściągnęła z pleców lśniący sprzęt i ustawiła w odpowiedniej pozycji; kadzielnica kołysała się na łańcuchu. Przełącznik umieszczony na krawędzi naczynia uaktywnił koło cierne, podobne w działaniu do zamka krzosego w starych pistoletach. Powodowało zapalenie się pojemniczka z kadzidłem. Potwierdzał to dźwięk przypominający pstryknięcie metalicznymi palcami. Prawie od razu z naczynia zaczął unosić się ostry siarkowy zapach.

Poczuła, że dusza Uthema odpowiada. Odczuwała ją jako szare niebo i ogniska zwiadowców. Trochę jak huk fal. Wrażenia zamigotały i zbladły, gdy dusza bezpiecznie wślizgnęła się do kadzielnicy. Półobrót, żeby ją zamknąć, kliknięcie wygaszające kadzidło i mogła już wstać z kolan, ostrożnie, żeby przypadkiem nie porazić magią żadnego z aniołów.

Wszystkie spojrzenia spoczywały na niej. Zerknęła na Thiaga. Nie ustalali tego, ale uznała, że może to zrobić.

– Nigdy nie wskrzeszałam serafina, ale dopóki będziemy walczyć po jednej stronie, jestem na to gotowa. Przemyślcie to, decyzja należy do was. Moja propozycja jest obietnicą. I jeszcze coś. – Spojrzała w oczy aniołom stojącym naprzeciwko, jednemu po drugim. – Może tego po mnie nie widać, ale jestem Kirinką i to jest mój dom. Więc odsuńcie się, proszę, i dajcie nam wejść.

I zrobili to. Może nie z jakimś szalonym entuzjazmem, ale rozsunęli się, robiąc dla niej przejście. Odwróciła się i wypatrzyła w tłumie Issę. Potem Zuzanę i Mika, którzy mieli szeroko otwarte oczy. Akiva był obecny w jej polu widzenia jak pochodnia wzywająca ją do siebie, ale na niego nie spojrzała. Ruszyła, a Thiago u jej boku. Cała reszta za nimi. Bastardi pozwolili im przejść. Z krwią na stopach Karou i Thiago wprowadzili swoją armię do środka.

– Jak on to zrobił? – westchnęła z niedowierzaniem Liraz.

To pytanie wyrwało wreszcie Akivę z jego po-*siritharowego* stuporu.

– Jak kto co zrobił?

– No, Wilk – odparła zdumiona. – Byłam pewna, że już po nas. Czułam to. A wtedy... – Pokręciła głową, jak gdyby chciała się pozbyć tego wspomnienia. – Jak zdołał to powstrzymać?

Akiva wpatrywał się w nią. Ona myślała, że to Thiago?

Roześmiał się. Bo co innego mógł zrobić? Wiedział, że iskra oderwała

się od niego, ale tym razem nie była wybuchowa. Cokolwiek niosła ze sobą, czuł, jak zmasowane zamiary żołnierzy tężeją. On to zrobił. On powstrzymał tę rzeź, ale nikt nie miał o tym pojęcia. Nawet Liraz, nie mówiąc już o Karou.

Gdy on wirował w pomagicznym oszołomieniu, z trudem wypowiadając choćby jedno spójne zdanie, Wilk wykorzystał okazję, żeby zaskarbić sobie uznanie nawet Liraz. Co w takim razie musiała do niego czuć Karou? Widział, jak znika w wejściu do jaskini, idąc na czele swojej armii, z Białym Wilkiem u boku – jaką wspaniałą byli parą! – a on mógł się tylko śmiać. Czuł w piersi pokruszone szkło. Doskonale, pomyślał. Co za wyborny zwrot akcji ze strony... czego? Losu? Gwiazdnych bóstw? Przypadku?

– No, co? – spytała Liraz. – Z czego się śmiejesz?

– Bo życie jest podłe – mógł tylko powiedzieć.

– W takim razie – odpowiedziała bezbarwnie – powinniśmy się w nim świetnie odnaleźć.

## Łowy

**W** całym Eretz wzbierała magia. Tym razem nie było Wiatru, który by ją zapowiadał, żadnego dźwięku ani ruchu powietrza, więc prawie wszyscy, którzy ją czuli – a czuli wszyscy – uważali, że to ich własna rozpacz. Fala żywej emocji była tak potężna, że w jednej chwili wymiatała z dusz wszelkie inne uczucia i zajmowała ich miejsce, by zgrabnym ruchem zawładnąć każdą żywą – każdą czującą – istotą i zasiedlając ją absolutnym przekonaniem o końcu.

Ruch ten był potężny i lodowaty, przemknął przez całą ziemię, całe niebo i morze. Żadna istota nie była na niego odporna, żadna materia. Nie było żadnego zabezpieczenia.

Przemknął przez Astrae – stolicę Imperium – szybciej niż przeniosłyby

go skrzydła i równie szybko zniknął. Milczenia, które nastąpiło potem, żaden z obywateli nie skojarzył z upadkiem Wieży Triumfu.

Ale tam, w pozostałościach Wieży, w jej wielkim poskręcanymszkielecie z metalu, stało pięcioro aniołów, którzy coś kojarzyli. To byli serafini, ale nie obywatele Imperium. Przybyli z daleka, na łowy – łowy, łowy, łowy – i teraz, równocześnie, jak igły kompasu prowadzone tym samym magnezem, skierowali się na południowy wschód. Ta wszechogarniająca rozpacz była naruszeniem terenu prywatnego i przestępstwem. Wiedzieli, że nie należy do nich, i każde z nich zatrzymało się, żeby wsłuchać się w głębiny tej przerażającej mocy, a potem ją odtrącić. Kolejna próbka możliwości nieznanego mędrca, który poruszał strunami świata.

„Pomór Dzikich”, słyszeli ciche, ale rozemocjonowane szepty w tym zastraszonejmieście. Morderca i zdrajca, zabójca chimer, bękart i ojcobójca. To on to zrobił.

Teraz pięcioro Stelian skupiło ogniste spojrzenia na odległych górach Adelphas.

Scarab, ich królowa, rozłożyła skrzydła i z nieskrywaną wściekłością wycodziła przez zaostromezęby:

– Łowy trwają.

## Skaza

Na Dalekich Wyspach zapadła noc, więc aż do świtu nie będzie widać nowych sińców, które plamiły niebo. Te były inne. Pochłonęły całą resztę, wszystkie wcześniejsze zniknęły w ich mrocznym rozlewisku. Sięgało od horyzontu do horyzontu, w odcieniu głębszym niż indygo, niemal tak czarne jak nocne niebo. Było jak skaza, jak ślad po wysaniu. Wklęśnięcie, wypaczenie. Eidolon o roztańczonych oczach mówiła, że niebo jest zmęczone, że coś je boli. Trochę załagodziła sytuację.

Niebo konało. Burzołowcy nie musieli widzieć tej czerni. Czuli to.  
I zaczęli krzyczeć.

## Rękami Nitid

Jaskinie Kirinów były nie tyle wioską wewnątrz góry, co kilkoma wioskami, połączonymi siecią korytarzy rozchodzących się promieniście od wielkiej wspólnej groty, tworu natury, czasu i rąk. Przestrzeń była surowa i opływowa, niezaplanowana i niewiarygodna. Cudowna. Jako pierwsze rzucało się w oczy wrażenie cudownego geologicznego przypadku, ale tak naprawdę był to cudowny przypadek kształtowany setkami lat pracy kolejnych pokoleń Kirinów, stosujących prostą estetykę pod hasłem „rękami Nitid”. Kirini byli narzędziami bogini, a ich obowiązkiem, jak go rozumieli, nie było silenie się na oryginalność czy ostentacyjną odrębność, ale kopiowanie jej stylu.

Właściwie żaden z detali nie wyglądał jak „wykonany”. Nie było kątów, nawet schody wydawały się zaakceptowane w postaci, w jakiej je zastano: asymetryczne i nierówne.

W środku panowała ciemność, ale nie całkowita. Studnie świetlne wpuszczały słońce i księżyc, a efekt potęgowały ukryte zwierciadła z hematytów i kryształowe soczewki. Nigdy też nie było całkiem cicho. Zawile tunele zapraszały wiatr, wpuszczały świeże powietrze i były źródłem trochę złowrogiego, ale zawsze obecnego, otulającego dźwięku, który przypominał trochę odgłosy ciemnej, burzowej nocy, a trochę pieśni wielorybów.

W Karou zderzyły się stare i nowe doświadczenia, a ich starcie przypominało zbieg dwóch wielkich rzek: pamięci Madrigal i zachwytu Karou, które mieszały się przy każdym kroku. Jak tylko weszła do wielkiej, centralnej jaskini, przypomniała ją sobie i na jej widok zaparło jej dech w piersi. Stała jak wryta, odrzuciła głowę i się rozglądała.



Pamiętała szelest kirińskich skrzydeł nad głową, głosy, śmiech i muzykę, rozgardiasz świątecznych dni i zwyczajność codzienności. Tutaj uczyła się latać.

Sala była ogromna, miała kilkadziesiąt metrów wysokości i była tak rozległa, że echo się w niej gubiło i czasem tylko znajdowało drogę powrotną. Nierówne ściany z wyrastających jeden obok drugiego stalagmitów wyłaniały się z ziemi. Miały po sto metrów i za sobą setki tysięcy lat kształtowania się, ale miną miliony, zanim złączą się ze swoimi odpowiednikami z sufitu. Ściany zdobione były krwiobiegami z rudy i lśniły złociście, a w niektórych miejscach układały się w nisze, które przypominały Karou plaster miodu albo balkony w operze. Tam serafini urządzili swoje obozowiska. Mogli stamtąd patrzeć na środek sali, gdzie pozostały resztki zmyślnie rozplanowanych palenisk, jak można było zauważyć, niedawno używanych.

– Wow – mruknęła Zuzana idąca za nią.

Kiedy Karou się odwróciła, żeby na nią spojrzeć, zobaczyła twarz Wilka, który z trudem przełykał ślinę i walczył z wszechogarniającymi emocjami. Nikt tego nie widział, bo wszyscy szli za nimi, więc tylko Karou zauważyła wyraz tęsknoty i straty, które na moment naznaczyły jego rysy.

– Chodźmy – powiedziała i przeszła przez główną jaskinię.

Razem, chimer i Bastardów, było około czterystu. Nigdy nie mieszkało tu tylu Kirinów, nawet w najlepszych czasach, ale miejsca starczyło dla wszystkich. I to tak, żeby trzymać ich z dala od siebie. Serafini mogli zatrzymać główną salę, gdzie było zimno. Oddech Karou zamieniał się tu w obłoczek pary. Położone głębiej wioski ogrzewały ciepłe źródła. Ruszyła do jednej z nich. Ale nie swojej. Tę chciała zostawić w spokoju, pójść tam samotnie, w swoim czasie, jeśli taki w ogóle przyjdzie.

– Tędy – dodała.

## **Szaleńcze spojrzenie otchłani**

Tort czekoladowy, kąpiel i łóżko. W tej kolejności – Zuzana wyliczyła na palcach swoje trzy życzenia.

Mik pokiwał głową.

– Nieźle – przyznał. – Ale bez tortu. Ja bym zjadł gulasz z Zatrutej Kuchni, a do tego strucla jabłkowa i herbata. A potem tak, kąpiel i łóżko.

– Nie. To jest pięć życzeń. Straciłeś swoje życzenia na jedzenie.

– Nie, pierwsze życzenie to był posiłek, składający się z gulaszu, strucli i herbaty.

– Ale to tak nie działa. Zmarnowałeś życzenia. Ja wygrałam. Będiesz siedział z pełnym żołądkiem i tylko patrzył, jak będę brała zniewalająco gorącą kąpiel, a potem spała w cudownie ciepłym łóżku. – Gorąca kąpiel, ciepłe łóżko, co za niedorzeczne marzenia! Bolące mięśnie błagały Zuzaną o litość, ale nie miała takiej mocy. I nie mieli też życzeń, to była tylko zabawa.

Mik uniósł brwi.

– Aha. Będę musiał patrzeć, jak się kąpiesz, tak? No to naprawdę, pechowiec ze mnie.

– Tak, pechowiec. Nie wolałbyś się kąpać ze mną?

– Wolałbym – przyznał uroczyście. – Pewnie, że tak. I życzeniowa policja będzie się musiała postarać, żeby mnie przed tym powstrzymać.

– Życzeniowa policja? – spytała z powątpiewaniem Zuzana.

– Życzeniowa policja? – powtórzyła Karou od wejścia.

Znajdowali się w małej jaskini, którą, jak zrozumiała Zuzana, w czasach Kirinów zajmowała jedna rodzina. Cztery pokoje, ukształtowane jak nakazywała skała, przypominały mieszkanie we wnętrzu góry. Było całkiem fajne, naturalnie ogrzewane, a w załomku skalnym znajdowała się nawet dziura w podłodze z czymś w rodzaju śluzy, która aż prosiła się o uznanie jej za toaletę, ale Zuzana oczekiwała potwierdzenia, zanim z niej skorzysta. Nie było jednak ani łazienki, ani łóżek. W kącie leżały co prawda skołtunione futra, ale były stare i obłeśne i Zuzana była pewna, że robactwo, jakie tu mają w tym dziwnym świecie, wiodło w nich szalone, wielopokoleniowe żywoty.

Takich mieszkań było więcej, wszystkie zorganizowane wokół placu, czyli znacznie mniejszej wersji tej niebywałej wielkiej jaskini, przez którą weszli. Żołnierze już się rozpakowywali, choć trudno powiedzieć, żeby mieli z tym dużo zachodu. Co prawda, Aegir, kowal, miał trochę roboty, a Thiago wyruszył ze swoimi przybocznymi robić to, co robi się przed

wielką bitwą. Zuzana nie wiedziała, na czym to wszystko polega i nawet nie chciała wiedzieć. Myśleć o prawdzie, o „Thiagu” ani o tej bitwie też nie. Kiedy zaczynała, jej umysł przeskakiwał z jednej myśli na drugą, tak jakby przelatywała przez stacje telewizyjne w poszukiwaniu kanału dziecięcego, albo – ranyyyy – czegoś o gotowaniu.

A skoro o jedzeniu mowa, to podczas gdy Mik rozglądał się za najlepszym miejscem na kwaterę wskrzesicielki, Zuzana poświęciła kilka minut na pomoc dwóm śmiesznym, małym i kudłatym chimeryjskim kobietom, Vovi i Awar, w rozstawianiu tymczasowej kuchni i organizacji zapasów, które przywieźli z Maroka. Nie zaszkodziło mieć dobre układy z kuchnią. Może mogła nawet liczyć na kilka suszonych moreli?

Gdyby kilka miesięcy temu ktoś jej powiedział, że tak ją ucieszy myśl o kilku suszonych morelach, uraczyłaby go wymownym ruchem brwi. Teraz kombinowała, że mogłaby ich używać jako waluty, jak to się robi z papierosami w więzieniu.

– Gramy w trzy życzenia – poinformowała przyjaciółkę. – Tort, kąpiel, miękkie łóżko. A ty?

– Pokój na świecie... – zaczęła Karou.

Zuzana wywróciła oczami.

– No tak, nasza święta Karou.

– Lekarstwo na raka i po jednoroźcu dla każdego.

– Fuj. Nic tak nie psuje zabawy w trzy życzenia jak altruizm. Chodzi o coś dla ciebie! A jeśli w zestawie nie ma jedzenia, to się w ogóle nie liczy.

– Jest jedzenie! Przecież mówiłam o jednoroźcach, tak?

– Hm. Mamy chrapkę na jednoroźca? – Zuzana zmarszczyła brwi. – Czeka. Mają tu jednoroźce?

– Niestety nie.

– Mieli – odparł Mik – dopóki Karou wszystkich nie zjadła.

– Tak, jestem nieposkromionym pożeraczem jednoroźców.

– Dodamy to do twojego ogłoszenia – oznajmiła Zuzana.

Teraz w górę wystrzeliły brwi Karou.

– Jakiego ogłoszenia?

– Po drodze wymyślaliśmy dla wszystkich ogłoszenia matrymonialne – przyznała Zuzana. – Żeby czas szybciej minął.

– Oczywiście. I jak brzmiało moje?

– No wiesz, nie mogliśmy zapisać, ale szło jakoś tak: „Piękna, dwugatunkowa twardzielka szuka, hm, nie-śmiertelnego wroga na

nieskomplikowane zaloty, spacery po plaży i życie długie i szczęśliwe”.

Karou nie odpowiedziała od razu, a Zuzana zauważyła, że Mik patrzy na nią z dezaprobatą. „No co?”, odpowiedziała ruchem brwi. Przecież pominęła część o „ludobójczych aniołach, które będą rozpatrywane bez kolejki”, tak? Ale przyjaciółka ukryła twarz w dłoniach. Jej ramiona zaczęły się trząść, a Zuzana nie wiedziała, czy to śmiech, czy płacz. Chyba śmiech, prawda...?

– Karou? – spytała z niepokojem.

Karou podniosła głowę i na jej twarzy nie było łez, ale wyrazu szalonego rozbawienia też nie.

– Nieskomplikowane – powiedziała. – Co to w ogóle znaczy?

Zuzana zerknęła na Mika. Oni właśnie byli nieskomplikowani. I cudowni. Karou nie przegapiła tego spojrzenia. Uśmiechnęła się do nich tęsknie.

– Docęńcie, jakie macie szczęście.

– Ja doceniam.

– Ja z całą pewnością też – zgodziła się Zuzana szybko i nieco bardziej entuzjastycznie, niż miała w zwyczaju.

Cały czas czuła się taka... obok. Była głodna, brudna i zmęczona, to przede wszystkim – wystarczy spojrzeć na jej trzy życzenia – ale to było coś więcej. W jaskini wejściowej czuła przez chwilę, że jest świadkiem końca świata.

Co to miało być?

Jak była mała, miała ulubioną lalkę. No dobrze, tak naprawdę to była kaczką. Traktowała ją dość okrutnie, z miłością właściwą małemu dziecku, a jej ulubionym zajęciem, jak lubił jej wypominać brat, Tomáš, było wysysanie kaczych oczu. Ale co mogła poradzić, że uspokajał ją dotyk twardej, gładkiej powierzchni pod ząbkami?

Rodzice natomiast nie uspokajali się w ogóle i prowadzili zacieklą kampanię, mającą jej uświadomić, że to ją może zabić.

– Możesz się udławić, skarbie. Przestaniesz oddychać.

Ale co to mogło znaczyć dla dziecka? To Tomáš uświadomił jej, w czym rzecz. Po prostu ją poddusił. Tylko trochę. Bracia są niezastąpieni w kwestii demonstrowania potencjalnych sposobów zgonu na żywym organizmie.

– Możesz umrzeć – oznajmił radośnie, zaplatając dłonie na jej gardle. – O tak.

Poskutkowało. Zrozumiała. Rzeczy mogą człowieka zabić. Różne rzeczy, na przykład zabawki i starsi bracia. A im była starsza, tym bardziej się ta lista wydłużała.

Ale nigdy wcześniej nie odczuła tego tak dosłownie. Jak szedł ten cytat z Nietzschego, który tak uwielbiali samozwańczy poeci z zacięciem gockim? „Kiedy patrzysz w otchłań, otchłań patrzy na ciebie”? No to otchłań na nią spojrziała. Nie. Łypnęła. Wpatrzyła się w nią. Zuzana była pewna, że zostawiła wypalone ślady na jej duszy i prawie nie mogła sobie wyobrazić, że jeszcze kiedykolwiek będzie się czuła zwyczajnie.

Ale nie zamierzała marudzić Karou w sprawie każdego lęku i każdej schizy. Przecież chciała tu przylecieć. Karou ostrzegała, że będzie niebezpiecznie – chociaż, umówmy się, miało to wymiar tak samo abstrakcyjny jak przemawianie do dziecka w kwestii udławienia się okiem kaczką – ale przybyła tu i nie zamierzała być w tym towarzystwie naczelną marudą.

A co do szczęścia?

– Mam szczęście, że w ogóle żyję! – ogłosiła. – Jak byłam mała, wysysałam kacze oczy.

Mik i Karou tylko na nią spojrzeli, ale Zuzana z ulgą zanotowała, że zaduma Karou ustępuje na rzecz rozbawionej troski.

– To... bardzo ciekawe – zaryzykowała.

– Wiem. A przecież nie robiłam tego specjalnie. Niektórzy ludzie po prostu rodzą się fascynujący. Ale na przykład ty. Z tym swoim nudnym, pospolitym życiem... Powinnaś się jakoś otworzyć na zmiany. Próbować nowych rzeczy!

– No tak – zgodziła się Karou, a Zuzana została nagrodzona przebłyskiem ulotnego, ale jednak, rozbawienia. – Masz rację. Sama nuda. Zacznę zbierać znaczki. To jest ciekawe, co nie?

– Nie. Chyba że zaczniesz je sobie naklejać na gołe ciało i nosić jako ubranie.

– Ktoś mógłby z tego zrobić projekt semestralny u nas w szkole.

– Tak! – wykrzyknęła Zuzana. – Helen by mogła. Tylko że u niej to by był performance. Wyszłaby goła z pudłem znaczków, a inni by je lizali i naklejali na nią.

Karou w końcu roześmiała się na głos, a Zuzana poczuła dumę zdobywcy. Śmiech zaliczony. Może nie mogła sprawić, żeby życie – i miłość – Karou były mniej skomplikowane i nie miała żadnych

cudownych porad w kwestii inwazji aniołów, niebezpiecznych mistyfikacji ani dwóch armii, które wyraźnie chcą się pozabijać, ale mogła przynajmniej tyle. Mogła ją rozśmieszyć.

– Więc co teraz? – spytała? – Anioły wydadzą przyjęcie na naszą cześć?

Karou znów się roześmiała, ale teraz bardziej ponuro.

– Nie do końca. Dzisiaj będzie narada wojenna.

– Narada wojenna – powtórzył Mik, trochę oszołomiony.

Zuzana też była. Oszołomiona i kompletnie nie na swoim miejscu. Wyobraziła sobie, że wszystkie włoski na jej ciele wciąż stały dęba po przerażeniu, jakiego doznała w ostatniej godzinie. Śmierć Uthema. Od tego się zaczęło. Potem musiała iść po jego krwi i chociaż na żołnierzach wyraźnie nie robiło to żadnego wrażenia (byli tak wyluzowani, jakby codziennie brnęli na śniadanie w morzu posoki), na niej robiło, ale i tak nie miała czasu na przeżywanie tego. Była zakręcona paralizującą paniką i tym, co teraz jawiło się jej jako łypiąca otchłani.

Karou ciężko westchnęła.

– Po to tu jesteśmy. – Mówiąc „tu”, szybko się rozejrzała po pomieszczeniu i dodała: – Jakkolwiek dziwne może się to wydawać.

Zuzana jeszcze głębiej pogрузzyła się w swojej otchłani, kiedy spróbowała sobie wyobrazić, co powrót tutaj oznacza dla Karou. Ale oczywiście nie miała szans. To była scena masakry. Może przez to echo z otchłani, ale wyobraziła sobie, że wchodzi do swojego domu i nikogo tam nie ma, łóżka gniją, nikt jej nie wita – i nigdy nie przywita – i aż się zapowietrzyła.

– Coś się stało? – spytała Karou.

– Nie. Mów lepiej, co u ciebie.

Karou pokiwała głową i lekko się uśmiechnęła.

– Właściwie wszystko w porządku. – Uniosła pochodnię i się rozejrzała. – To dziwne. Kiedy tu mieszkałam, to był świat. Nie wiedziałam, że wszyscy inni nie mieszkają we wnętrzach gór.

– Strasznie dziwne – powiedziała Zuzana.

– Tak. Ale jeszcze nie widzieliście najlepszego.

Karou spojrzała na nich psotnie.

– Czego, czego? Powiedz, powiedz, że w którejś jaskini na ścianach babeczki rosną jak grzyby!

Kolejny punkt dla Zuzany za śmiech.

– Nie – przyznała Karou. – I nie mam żadnego innego ciasta. Obawiam

się, że sytuacja łózkowa też jest beznadziejna, ale... – Zamilkła i czekała, aż Zuzana się domyśli.

I domyśliła się. Niemożliwe!

– Nie żartuj!

Karou szczerze się uśmiechnęła. Lubiła dzielić się szczęściem.

– Chodźcie. Chyba możemy na parę minut zniknąć.

## O co w tym wszystkim chodzi

Gorące źródła były takie, jak Karou zapamiętała, ale z drugiej strony zupełnie inne. We wspomnieniach byli tu Kirini. Całe rodziny, kąpiące się wspólnie. Plotkujące starsze kobiety. Chlapiące wodą dzieci. Czuła dłonie matki, wcierające w pianę na jej głowie selen. Pamiętała nawet jego ziołowy zapach, mieszający się z siarkowym aromatem źródła.

– Piękne – powiedział Mik. I takie były. Woda miała odcień jasnej zieleni podbarwionej kredą, a skały wyglądały jak pastelowe rysunki w kolorach róż i morskiej piany. Było intymnie, ale wcale nie ciasno, basenów było kilka, połączonych z sobą i zasilanych łagodnym wodospadem. Wydawało się, że sufit faluje, tyle na nim było kryształów, a do tego zastłony z jasnorożowego czarnego mchu, nazwanego tak nie ze względu na kolor, tylko warunki, w jakich rósł.

– Popatrzcie tu. – Karou wyciągnęła pochodnię i poprowadziła ich do miejsca, gdzie ściana jaskini składała się z czystego, wypolerowanego hematytu. Tworzyła lustro.

– Rany! – wyspała Zuzana i wszyscy troje przyglądali się swoim odbiciom, stojąc jedno obok drugiego. Byli brudni i przejęci. Półokrągła powierzchnia wykrzywiała ich wizerunki, więc Karou musiała się trochę przesunąć, żeby stwierdzić, czy to faktycznie jej twarz i pozostałości po tym, że oberwała, czy efekt krzywego zwierciadła. Wydawało jej się, że atak wydarzył się sto lat temu, ale ciało wiedziało swoje. Minęły dopiero

dwa dni i rany jeszcze się nie zagoiły. Psychika zresztą też nie. Tak naprawdę lustrzany efekt świetnie wyrażał to skrzywienie, które skwapliwie starała się ukryć.

Zdjęli ubrania i wślizgnęli się do wody. Bardzo gorącej i bardzo miękkiej, tak że po kilku sekundach od zanurzenia ręce i nogi mieli gładkie jak u lalek z porcelany, a włosy jak z łabędziego puchu. Włosy Karou i Zuzany unosiły się na falach jak ogony syren.

Karou zamknęła oczy i zanurkowała pod powierzchnię. Czekwała, aż woda zmyje z niej napięcie. Gdyby naprawdę miała się bawić w trzy życzenia, chciałyby zasnąć, tak jakby pływała w Lete, rzece zapomnienia, i zrobić sobie długą, rozkoszną przerwę od dwóch armii i masakry. Zamiast tego po prostu się umyła, wyszła z wody i się wysuszyła. Mik dyskretnie się odwrócił, kiedy się przebierała w czyste ubrania. „Czyste”, jasne. Jeśli za czystość liczy się przepłukanie w marokańskiej rzece i suszenie na zakurzonej dachu.

– Pochodnia starczy na jakąś godzinę – poinformowała przyjaciół, zostawiając im jedną i zabierając drugą. – Znajdziecie drogę powrotną?

Powiedzieli, że tak, więc Karou zostawiła ich w doskonałej, nieskomplikowanej radości z siebie nawzajem i starała się nie być zbyt zazdrosna, kiedy nogi niosły ją z powrotem w stronę rozbuchanej wrogości dwóch armii.

– Tutaj jesteś.

Wyszła z zakrętu, zbliżyła się do przypominającego ul centrum wioski i zastała tam Thiaga. Ziriego. Na jej widok coś się w jego twarzy zmieniło. Szybko to ukrył, ale zdążyła zobaczyć i wiedziała, co to. Miłość nierozłącznie związana ze smutkiem. Serce ścisnęło jej się z żalu. „Jestem z tobą”, powiedziała mu wtedy w kasbie, żeby nie czuł się samotny w tym kradzionym ciele. Ale i tak był sam. Nie była z nim, nawet kiedy była obok. I on to wiedział.

Zmusił się do uśmiechu.

– Właśnie miałam cię szukać. – To była prawda. – Postanowiliście coś?

Westchnął i pokręcił głową. Wyglądał niechlujnie, co Wilkowi się nie zdarzało. Może czasem, zaraz po bitwie. Włosy miał rozczochrane, czoło ciemne od zaschniętej krwi po ostrym lądowaniu, a kolana i dłonie, podrapane i zakrwawione, wyglądały jak surowe mięso. Rozejrzał się i gestem zaprosił Karou do jednego z pomieszczeń.

Zesztywniała tylko przelotnie i jedynie przez moment chciała się



wycofać. To nie Wilk, przypomniała sobie i weszła przed nim do małej salki. Była ciemna i wilgotna. Zamknęła drzwi i zatoczyła krąg pulsującą światłem pochodnią, żeby się upewnić, że są sami.

Nie było nikogo. Czy na to liczył Ziri tamtego wieczoru? Na mały, smutny ułamek czasu, w którym mógł odpuścić sobie odgrywanie Wilka? Oparł się o ścianę całkiem wyczerpany.

– Lisseth zaproponowała, żebyśmy wybrali kozła ofiarnego do pokazowej egzekucji.

– Co?! – wykrzyknęła Karou. – To straszne!

– Powiedziałem, że nie, chyba że się zgłosi na ochotnika.

– Byłoby super.

– Ale się nie zgłosiła. – Uśmiechnął się złośliwie, ale z wyraźnym zmęczeniem, a potem ściszył głos. – Oni czekają, aż wszystko nabierze sensu. Aż zdradzę prawdziwy plan, który będzie oczywiście zmierzał do rzezi.

– Myślisz, że coś podejrzewają? – spytała z niepokojem.

Mówiła cicho jak on. Żałowała, że nie może z nim rozmawiać po czesku jak z Zuzaną i Mikiem i nie przejmować się, że ktoś ich podsłucha.

– Coś na pewno. Ale myślę, że niczego się nie domyślają.

– I niech tak zostanie.

– Zachowuję się, jakbym miał ostateczny plan, którego po prostu jeszcze im nie zdradziłem, ale nie wiem, jak długo to jeszcze będzie działało. Nigdy też nie byłem w jego najbliższym kręgu. A co, jeśli on ich informował o swoich planach i moja tajemniczość jest podejrzana? I skoro już o tym mowa... – Złapał się za głowę i aż syknął, kiedy natrafił na ranę. – Co by zrobił Wilk? Nie zrobiłby nic. Nie dałby serafinom nikogo, a za samą propozycję zgromiłby ich wzrokiem.

– Masz rację. – Bez trudu wyobraziła sobie zadowolenie w oczach Wilka, stojącego naprzeciwko wrogów. – Jasne, on by dążył do rzezi.

– Tak. Ale to jest nasza taktyka: zacząć wiarygodnie, tak jak on by to zrobił, ale nie kontynuować w kierunku, w którym szedłby dalej. Nie dam aniołom nikogo i nie będę przepraszał. To sprawa chimer, koniec rozmowy.

– A jeśli to się powtórzy? – spytała Karou.

– Nie podejrzewam. – Prosta, znacząca odpowiedź, pełna groźby i żalu.

Karou wiedziała, że Ziri nie chciał ponosić takiej odpowiedzialności, ale pamiętała jego słowa wiszące w powietrzu: „Będziemy walczyć o nasz

świat do ostatniego echa naszych dusz”, pamiętała, jak stał pomiędzy dwiema zakrwawionymi armiami i trzymał je z dala od siebie. Nie miała już wątpliwości, że jeśli to będzie konieczne, zareaguje.

– Dobra – powiedziała tylko i skończyła temat.

Zapadła między nimi cisza, a kiedy kwestie merytoryczne były już załatwione, znaczenie bycia sam na sam się zmieniło. Dwie zmęczone istoty, stojące w rozmigotanej ciemności i plątanina uczuć i lęków: miłość, zaufanie, wahanie, żal.

– Lepiej wracajmy – odezwała się, chociaż chciałyby dać Ziriemu więcej czasu dla siebie. – Serafini czekają.

Skinął głową i poszedł za nią do drzwi.

– Masz mokre włosy – zauważył.

– Tu są źródła – wyjaśniła, bo przypomniała sobie, że on tego nie wie.

– Brzmi dobrze, nie powiem. – Wskazał na pozlepiane od krwi futro na stopach i starte do mięsa dłonie. Miał też ranę na głowie po uderzeniu w kamienną posadzkę. Zbliżyła się do niego, a kiedy dotknęła rany, aż się wzdrygnął. Pod skorupą zakrzepłej krwi urósł guz wielkości gęsiego jaja.

– Au – skrzywiła się. – Nie kręci ci się w głowie?

– Nie, czuję tylko pulsowanie. Poza tym w porządku. – Teraz on przyglądał się jej twarzy. – Ale ty wyglądasz znacznie lepiej.

Dotknęła policzka i zdała sobie sprawę, że ból zniknął. Opuchlizna też. Pomacała rozdarty płatek ucha i okazało się, że on też się zrosł. Jakim cudem?

A potem sobie przypomniała.

– Woda – oznajmiła. Wróciło to do niej jak fragment snu. – Ma właściwości lecznicze.

– Naprawdę? – Ziri znów popatrzył na swoje zmasakrowane dłonie. – Możesz mi wskazać drogę?

– Hm. – Karou się zaniepokoiła i zamilkła. – Pokazałabym ci, ale są tam Zuzana i Mik.

Zarumieniła się. Możliwe, że byli zbyt zmęczeni, żeby zachowywać się jak Zuzana i Mik, ale biorąc pod uwagę uzdrawiającą moc wody, bardzo możliwe, że wykorzystali swoją godzinę samotności w stylu, hm, Zuzany i Mika.

Ziri zrozumiał, o co jej chodzi. On też się zarumienił i człowieczeństwo, które wypłynęło na jego doskonałe, lodowate rysy, dało niesamowity efekt. Nosił to ciało znacznie piękniej niż Thiago.

– Zaczekam – powiedział i zaśmiał się wstydliwie.

Unikał wzroku Karou, ale ona też się zaśmiała.

Stali tak w progu, zarumienieni, skrępowani i chichoczący. Ona zabrała już rękę z jego czoła, ale była wciąż ku niemu nachylona. I właśnie wtedy ktoś wyszedł zza zakrętu i stanął jak wryty.

Bogowie i gwiazdne bóstwa, litości!, miała ochotę zawołać.

Bo oczywiście, oczywiście tym kimś był Akiva. Wietrzna muzyka stłumiła jego kroki. Stał jakieś trzy metry od nich i chociaż był mistrzem w ukrywaniu gwałtownych emocji, teraz mu się nie udało.

Stanął w pół kroku i się zaczerwienił. Karou była też pewna, że ostro wciągnął powietrze. W przypadku stoickiego Akivy te ledwie dostrzegalne sygnały oznaczały to samo, co u kogoś innego obrót całego ciała po mocnym policzku.

Karou się odsunęła, ale to nie zatuszowało obrazu, który już zobaczył. Jego widok wywołał w niej falę wielkich emocji, ale wątpiła, żeby zdołał je wyodrębnić spośród chichotów, rumieńców i – co najgorsze – jej poczucia winy, że to zobaczył. Czuła się, jakby ją przyłapał na zdradzie.

Śmianie się i rumienienie w towarzystwie Białego Wilka? Jej zdaniem to była zdrada.

Akiva. Odruchem zbliżenia się do niego sterowała alternatywna grawitacja, ale poruszyło się tylko jej serce. Ciężkie i pełne wstydu.

Odezwał się szybko i lodowato:

– Wybraliśmy reprezentantów na radę. Możecie zrobić to samo. – Zamilkł, a na jego twarzy odbył się proces odwrotny niż u Wilka. Gdy tak stał i na nich patrzył, jego człowieczeństwo zanikało i wyglądał jak wtedy, kiedy go pierwszy raz zobaczyła w Marrakeszu: jakby jego dusza umarła.  
– Przyjdźcie, gdy będziecie gotowi.

Kiedy skończysz się rumienić z Białym Wilkiem w świetle pochodni.

Odwrócił się i zanim zdążyli odpowiedzieć, zniknął.

– Czekaj – odezwała się Karou, ale bardzo cicho.

Jeśli ją usłyszał poprzez muzykę wiatru, to i tak się nie odwrócił. Moglibyśmy mu powiedzieć, pomyślała. Mógłby poznać prawdę. Ale szansa minęła, a jej się wydawało, że Akiva zabrał z sobą powietrze. Przez długą sekundę nie mogła oddychać, a kiedy już odzyskała tę moc, zrobiła wszystko, żeby jej oddech brzmiał normalnie i stabilnie.

– Przepraszam – powiedział Ziri.

– Za co? – spytała z fałszywą i nieudaną lekkością, tak jakby nie widział

i nie rozumiał wszystkiego. A przecież rozumiał.

– Przykro mi, że nie może być inaczej. Dla ciebie.

Czyli dla niej i Akivy, Karou rozumiała, co miał na myśli, i widziała, że – kochany Ziri – mówił szczerze. Twarz Wilka była pełna współczucia.

– Może być – zaprzeczyła i ku własnemu zdziwieniu w miejscu poczucia winy i milczącej rozpacz pojawiła się wiara. Brimstone w to wierzył, Akiva też, a ona... Najszczęśliwsze chwile w jej obydwu życiach przydarzały się, gdy i ona wierzyła. – Może być inaczej – zapewniła Ziriego. I to nie tylko dla niej i Akivy. – Dla nas wszystkich. – Postarała się o uśmiech. – O to w tym wszystkim chodzi.

## Sygnal do apokalipsy

**K**ilka godzin później Karou już nie pamiętała, jak to jest się uśmiechać.

Może być inaczej, jasne. Ale najpierw trzeba zabić całą masę aniołów i prawdopodobnie wstrząsnąć całą ludzką cywilizacją. Aha, no a przy tym i tak można przegrać. Wszyscy mogą zginąć. Ale co tam...

Nie zaskoczyło jej to, skąd. Przecież nikt nie mówił, że to będzie narada pokojowa.

Nadawała się do podręczników historii, niewątpliwe. Wysoko w górach Adelphas, które od zawsze stanowiły największy bastion między Imperium a wolnymi ziemiami, stanęli oko w oko reprezentanci dwóch wrogich armii. Serafini i chimery, Bastardzi i zjawy, Pomór Dzikich i Biały Wilk, dziś nie wrogowie, ale sprzymierzeńcy. Poszło tak, jak można się było spodziewać.

– Jestem za najprostszym rozwiązaniem – odezwał się Elyon, brat, który zajął miejsce Hazaela przy boku Akivy.

On i dwoje innych – Briathos i Orit – reprezentowali Bastardów ramię w ramię z Akivą i Liraz. Naprzeciwko byli Thiago, Karou, Ten i Lisseth.

– Czyli jakim? – spytał Wilk.

Elyon odpowiedział tak, jakby to było oczywiste:

– Zamykamy przejścia. Niech ludzie sobie radzą z Jaelem.

Co?!

Nie tego się spodziewała Karou.

– Nie! – wypaliła, chociaż nie ona tu miała reagować.

Liraz odpowiedziała w tej samej chwili i ich słowa zderzyły się w powietrzu. Nie. Stały naprzeciwko siebie po dwóch stronach stołu. Spotkały się ich oczy. Zmrużone Liraz i ostrożnie neutralne Karou.

Nie, nie zamkną przejścia między światami, uniemożliwiając odwrót Jaelowi i żołnierzom Dominium, żeby ludzie sobie z nimi radzili. Co do tego się zgadzały, choć z różnych powodów.

– Jael jest mój – zapowiedziała Liraz. Cicho, beznamiętnie. Działo to na nerwy i brzmiało jak niepodważalny fakt, już dawno ustalony. – Cokolwiek się stanie, to musi być pewne.

Chciała się zemścić i Karou jej za to nie winiła. Widziała ciało Hazaela i Liraz rozdartą rozpaczą i tęsknotą, a przy jej boku Akivę, pogrążonego w takim samym cierpieniu. Mimo czarnej rozpacz, którą odczuwała tamtej nocy, ten widok ją zmroził. Ona też chciała, żeby Jael zginął, ale to nie był jej jedyny cel.

– Nie możemy tego zostawić ludziom – postawiła się. – Jael to nasz problem.

Elyon miał gotową odpowiedź.

– Jeśli to prawda, co mówiłaś o ludziach i ich broni, nie powinni mieć problemu.

– Nie mieliby, gdyby ich traktowali jak wrogów – wyjaśniła. Widowisko Jaela było sprytnie przemyślane.

„Ludzie będą nas czcić jak bogów”, oznajmił Jael Akivie i Karou nie wątpiła, że miał rację.

– Wyobraź sobie – mówiła dalej do Elyona – że wasze gwiazdne bóstwa schodzą z nieba i stają przed wami, żywe i namacalne. Jak zamierzałyście sobie z nimi „radzić”?

– Prawdopodobnie dałbym im to, czego by chcieli – odparł, ale zaraz dodał z przekłętą, nienaganną logiką: – Dlatego musimy zamknąć przejścia. Eretz jest najważniejsze. Mamy tu dość zmartwień, żeby jeszcze wdawać się w walkę ze światem, który nie jest nasz.

Karou pokręciła głową, ale jego słowa tak na nią podziały, że przez chwilę nie mogła znaleźć odpowiedzi. Miał rację. Najważniejsze, żeby nie

udało mu się zabrać do Eretz ludzkiej broni, a najprostszym sposobem byłoby zamknięcie przejść.

Ale to nie do pomyślenia. Karou nie mogła tak po prostu umyć rąk od losu ludzkości i odwrócić się plecami do świata. Tym bardziej, że Jael zawdzięczał nowe możliwości jej. To ona zabrała tego koszmarnego Razguta do Eretz i zwróciła mu wolność razem z całą jego niebezpieczną wiedzą na temat broni, religii i geografii, którą on ofiarował Jaelowi. To ona sprowadziła to nieszczęście na świat ludzi, tak jakby z rozmysłem zetknęła z sobą tych dwóch obrzydliwych aniołów.

Kiedy szukała odpowiednich słów, rozejrzała się w poszukiwaniu wsparcia i natrafiła na oczy Akivy. Od jego ognistego spojrzenia jej serce jakby dostało turbodoładowania. Był spokojny. Cokolwiek do niej czuł – obrzydzenie? rozczarowanie? głęboki aż do kości, pełen niedowierzania ból? – ukrywał to.

– Zamknięcie przejść jest jednym ze sposobów na rozwiązanie problemu – powiedział. Patrzył prosto na Thiaga. – Ale nie najlepszym. Nasi wrogowie nie zawsze zostają tam, gdzie ich umieszczamy, i wracają do nas w najmniej odpowiednim momencie. Jeszcze bardziej niebezpieczni niż wcześniej.

Niewątpliwie odnosił się do swojej ucieczki i jej konsekwencji. Wilk nie przegapił tej aluzji.

– W rzeczy samej – przyznał. – Niech przeszłość będzie dla nas nauczycielem. Jedynym pewnym zakończeniem jest zadanie śmierci. – Tu zwrócił się do Karou z lekko dostrzegalnym uśmiechem: – Choć czasem i to nie wystarcza.

Pozostałym zajęło kilka sekund zorientowanie się, że Pomór Dzikich i Wilk zgodzili się, jakkolwiek lodowata była to zgoda.

– Nie mielibyśmy pewności – powiedziała do Elyona Liraz. – Ani satysfakcji. – To były proste i przesywające chłodem słowa. Miała wuja do zabicia i zamierzała się dobrze przy tym bawić.

– Więc co proponujesz? – spytał Elyon.

– Zrobimy to, co zwykle – odparła Liraz. – Będziemy walczyć. Akiva zniszczy przejście Jaela, żeby nie mógł wezwać posiłków. Zabieramy cały tysiąc stamtąd, wracamy do domu przez drugi portal, zamykamy go za sobą i razem z całą resztą rozprawiamy się z nimi w Eretz.

Elyon zatrzymał się na tym.

– Nawet jeśli na chwilę odłożymy kwestię „całej reszty” i nierównych

szans, zauważ, że jego tysiąc oznacza ich przewagę trzy do jednego.

– Trzech z Dominium na jednego Bastarda? – Liraz się uśmiechnęła, jakby była dzieckiem rekina i szabli. – Wchodzę w to. I nie zapominaj, że mamy coś, czego oni nie mają.

– Czyli?

Liraz zerknęła na Akivę, a potem na chimery. Nic nie mówiła, patrzyła z niechęcią i urazą, ale jej przekaz był oczywisty. Równie dobrze mogłaby z lekkim grymasem ust powiedzieć: „Mamy potwory”.

– Nie – odparł natychmiast Elyon. Popatrzył na Briathosa i Orit, szukając wsparcia. – Zgodziliśmy się, że nie będziemy ich zabijać, ale to wszystko. Chociaż mielibyśmy pełne prawo po tym, jak złamali założenia przymierza...

– My złamaliśmy, tak? – odezwała się Ten. A raczej Haxaya, która dobrze się bawiła w swojej nowej skórze, tak jak tylko ona potrafiła. Karou znała jej prawdziwą twarz. Dawno temu była jej przyjaciółką. Nie reprezentowała aspektu wilczego, tylko lisi, ale dość podobny do obecnego, tyle że ostrzejszy i dzikszy. Przyznała kiedyś, że jest tylko parą szczęk, za którymi idzie ciało. Uśmiechała się teraz drwiąco szczękami Ten. Wydawało się, że przez cały czas myśli: „Mogę cię zjeść”. Nawet teraz. – Więc dlaczego to *nasza* krew płami dno jaskini?

– Bo jesteśmy od was szybsi – odparła z pogardą Orit. – Jeśli jeszcze się nie przekonaliście.

Tyle wystarczyło, żeby Ten była gotowa rzucić się na nią przez stół i zerwać przymierze.

– To wasi łucznicy powinni za to odpowiedzieć, nie my.

– Zrobiliśmy to w samoobronie. Jak tylko pokazaliście hamsy, wolno nam było złamać dane słowo.

Serio?, miała ochotę wrzasnąć Karou. Niczego się nie nauczyli? Byli jak dzieci. Śmiertelnie groźne dzieci.

– Dość. – To nie był krzyk i nie głos Karou. Thiago warknął lodowato, kategorycznie i wdarł się pomiędzy żołnierzy, którzy wrócili na swoje miejsca. Ten skinęła głową.

Orit wpadła w furję. Nie była piękna jak Liraz i wiele innych anielic. Rysy miała dziwne, twarz okrągłą, a dawno temu złamany nos przylegał płasko do twarzy.

– Ty będziesz decydował, kiedy dość? – spytała Thiaga. – Nie sądzę. – Odwróciła się do swoich braci: – Zdawało mi się, że coś ustaliliśmy:

żadnych rozmów, aż dowiodą dobrych intencji. A ja tu nie widzę żadnych. Widzę potwory śmiejące nam się w twarz.

– Nie – zareagował Thiago. – Nie widzisz.

– I módl się, żebyś nie zobaczyła – dodała zawsze skora do pomocy Lisseth.

Thiago mówił dalej, jakby się nigdy nie odezwała:

– Zapowiedziałem, że ukarzę każdego żołnierza czy żołnierzy, którzy nie wykonali mojego rozkazu, i zrobię to. Nie są to czcze obietnice, ale nie będziecie tego świadkami.

– Więc skąd będziemy wiedzieli? – dopytywała Orit.

– Będziecie – odrzekł Wilk, głosem tak przepełnionym groźbą jak wcześniej, kiedy zapowiedział to Karou. Tym razem nie było w nim cienia żalu.

Elyona to nie zaspokoilo. Zwrócił się do pozostałych:

– Nie możemy im ufać w bitwie. Możemy walczyć z Jaelem, ale bez przemieszania batalionów. Oni będą słuchać swoich rozkazów, a my swoich. Będziemy się trzymać z dala od siebie.

Liraz, zerknąwszy wcześniej z namysłem na chimery, zaprotestowała:

– W bitwie nawet jedna para hams osłabi Dominium i da nam przewagę.

– Albo osłabi nas – podsunęła Orit – i odbierze nam szansę na przewagę.

Karou zerknęła na Akivę i zobaczyła w jego oczach iskrę, dowód pomysłu, który niespodziewanie wpada do głowy. Kiedy się nagle wtrącił do tej przepychanki, liczyła, że się z nimi podzieli. Ale on przyznał tylko:

– Liraz ma rację, ale Orit także. Możliwe, że jeszcze za wcześnie, żeby mówić o mieszanu batalionów. Na razie to zostawmy.

Potem rozmowa polegała w coraz większym stopniu na planowaniu ataku, a Karou mogła się tylko zastanawiać, co oznaczała ta iskra? Na jaki wpadł pomysł?

Patrzyła na niego i wciąż nad tym myślała. Przyznawała sama przed sobą, że miała nadzieję na jakieś rozwiązanie sytuacji, bo z każdą chwilą stawało się dla niej coraz bardziej oczywiste, że serafini i chimery jednoczą się przynajmniej pod jednym względem. Było nim zbiorowe wyparcie faktu, że ich szczegółowo zaplanowany atak odbije się na ludziach.

Usiłowała podnieść ten temat, ale nie zdołała do nikogo przemówić. Wydawało jej się, że Liraz ją specjalnie za każdym razem przekrzykuje i o



ile zgodziły się w tym wcześniejszym wspólnym „Nie!”, teraz ich poglądy dramatycznie się rozbiegały. Liraz łaknęła krwi Jaela i nie obchodziło jej, kogo nią obryzga.

– Posłuchajcie – odezwała się w końcu stanowczo, bo czuła, że zgoda między nimi staje się kwestią oczywistą. Co zresztą i tak było cudem, że ta rada zdołała osiągnąć jakikolwiek kompromis, nawet jeśli zły. – Jeżeli zaatakujemy od razu, staniemy się częścią przedstawienia Jaela. Białe anioły zaatakowane przez anioły w czerni? Już nieważne, co ludzie pomyślą o chimerach. W każdym razie uznają, że diabeł jest...

– Nie musimy się przejmować tym, co pomyślą ludzie – wtrąciła Liraz. – To nie jest przedstawienie. To zasadzka. Polecimy i odlecimy. Szybko. Jeśli będą próbowali mu pomóc, też staną się naszym wrogiem. – Oparła dłonie na kamiennym stole. Była gotowa odepchnąć się i ruszyć do walki. O tak, była gotowa na przelew krwi.

– Ten potencjalny wróg, o którym mówisz tak lekceważąco – zaczęła Karou – ma... – Chciała powiedzieć, że ma karabiny automatyczne, wyrzutnie rakiet i samoloty wojskowe. Tyle tylko, że w żadnym z języków Eretz nie istniały takie słowa. – ...broń masowego rażenia – dokończyła. Wierzyła, że to wystarczy.

– My też ją mamy – oznajmiła Liraz. – Mamy ogień. – Mówiła tak lodowatym głosem, że Karou aż zatkało.

– Co masz na myśli? – spytała głosem aż piskliwym ze złości. Dobrze wiedziała, co ma na myśli Liraz, i zszokowało ją to. Stała na prochach Loramendi. Wiedziała, co może serafiński ogień. I mówiła to ta sama Liraz, która ogrzewała ciepłem skrzydeł śpiących Zuzanę i Mika? Groziła, że spali tamten świat?

Wtrącił się Akiva:

– Nie będzie takiej potrzeby. Ludzie nie są naszymi wrogami. Naszym celem jest ograniczenie ofiar cywilnych do koniecznego minimum. Jeśli ludzie są marionetkami Jaela, to tylko przez swoją ignorancję.

Marne pocieszenie. „Ograniczenie ofiar cywilnych do koniecznego minimum”. Karou starała się, żeby jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć, ale jej umysł szalał. Świat ludzi był tylko rozpałką dla tego ognia. Apokalipsa, pomyślała. Nawet dla jej wyobrażenia katastrofy, które w ostatnich miesiącach znacznie się rozwinęło, to było coś. Naprawdę mam szczęście, że muszę się martwić tylko o dwa światy. Tylko że prawdopodobnie było ich więcej. Bo niby czemu nie? Jeden z nich, można

to nazwać ślepym trafem, był wynikiem cudownego przypadku pośród kosmicznego pyłu. Ale jeśli istniały dwa, to niby czemu na tym miałyby się skończyć?

Dalej, świąty!, zawołała w myślach, dawajcie mi tu swoje katastrofy! Znow rozejrzała się wokół, ale otaczali ją wojownicy pogrążeni w strategicznych ustaleniach i wszystko, co zostało powiedziane, można było skwitować słowami: „No chyba, kretynko. A myślałaś, że co się tu będzie działo?” Ale mimo wszystko spróbowała:

– Nie ma czegoś takiego jak konieczne minimum ofiar.

Wydawało jej się, że spojrzenie Akivy zmiękło, ale to nie on się odezwał. Zza jej pleców przemówiła Lisseth:

– Tak się przejmujesz – zasyczała wstrętne. – Kim w końcu jesteś? Chimerą czy człowiekiem?

Lisseth... Albo, jak Karou lubiła o niej ostatnio myśleć, „przyszła pasjonatka przeżuwania wstępnie strawionej i cofniętej z żołądka paszy”. Naprawdę musiała się wszystkimi siłami powstrzymać od odwrócenia się, spojrzenia Lisseth w twarz i powiedzenia: „Muuuu”. Odpowiedziała za to zupełnie swobodnie, z ledwie słyszalną nutką wyższości:

– Jestem chimerą w ludzkim ciele. Myślałam, że już się zorientowałaś.

– Jest doskonale zorientowana. Prawda, żołnierzu? – Thiago odwrócił się do Lisseth i popatrzył na nią ostrzegawczo.

Karou pomyślała, że później jej się za to dostanie. Wilk mówił przed tą radą wprost, że chodzi o zaprezentowanie wspólnego frontu, bez względu na wszystko. Okazało się, że Lisseth nie była w stanie wykonać rozkazu.

– Tak jest – odparła, starając się zachować ton pełen szacunku.

– Pomijając ludzi – mówiła dalej Karou – co z nami? Ilu z nas zginie?

– Ilu będzie trzeba – odparła Liraz z drugiej strony stołu.

Karou miała ochotę potrząsnąć zjawiskową królową lodu i aniołem śmierci w jednym.

– A jeśli nie trzeba, żeby ginął ktokolwiek? – dopytywała. – A jeśli jest inny sposób?

– No tak – zareagowała Liraz znużonym głosem. – Może po prostu pójdziemy do Jaela i spytamy, czy nie mógłby tu wrócić. Na pewno to zrobi, jeśli go ładnie poprosimy...

– Nie o to mi chodziło! – warknęła Karou.

– Więc o co? Masz inny pomysł?

Karou oczywiście nie miała. Gorzko jej się mówiło, że „jeszcze nie”.

– Więc na pewno dasz nam znać, jeśli coś wymyślisz.

Och, to ostre spojrzenie, ten prześmiewczy, odprawiający ton. Nienawiść anielicy była dla Karou jak policzek. Czym sobie na to zasłużyła? Zaryzykowała rzut oka na Akivę, ale on na nią nie patrzył.

– Na tym poprzestańmy – ogłosił Thiago. – Moi żołnierze muszą odpocząć. Mamy jeszcze przed sobą kilka wskrzeszeń.

– Wyruszamy o świcie – przypomniała Liraz.

Nikt nie zaprotestował.

I na tym koniec.

Gdy uczestnicy narady wojennej się rozeszli, Karou pomyślała, że dali sygnał do apokalipsy.

Ale... może jednak nie. Akiva odszedł bez choćby jednego spojrzenia w jej stronę, a ona wciąż nie wiedziała, co oznaczała ta iskra w jego oczach. Ale nie mogła liczyć, że on lub ktokolwiek inny stanie w obronie świata ludzi. Nie zamierzała jednak odpuścić. Miała jeszcze czas.

Niewiele, ale miała. Powinno wystarczyć. W końcu musiała tylko wymyślić, jak uniknąć apokalipsy, a potem przekonać tych ponurych, zatwardziałych żołnierzy, żeby się na to zgodzili. W ciągu jakichś... dwunastu godzin. A w tym czasie pogrążyć się w głębokim transie i wskrzesić tylu żołnierzy, ile się da.

Czyli luzik.

## Przybycie + 24 godziny

### Ty, w liczbie mnogiej

Prosto ze zgromadzenia Akiva wrócił do pokoju, który dla siebie wybrał, i zamknął drzwi.

Liraz zatrzymała się przed nimi i nasłuchiwała. Podniosła rękę, żeby zapukać, ale zaraz ją opuściła. Stała tak przez minutę, a jej mina wyrażała to tęsknotę, to wściekłość. Tęsknotę za czasami, gdy stała między braćmi. A wściekłość na to, że ich nie było oraz że ich potrzebowała.

Czuła się... obnażona.

Hazael po jednej stronie, Akiva po drugiej, zawsze ją osłaniali. Oczywiście w walce. Ćwiczyli razem od piątego roku życia. W najlepszych chwilach walczyli jak jedno ciało z sześcioma rękami i jednym umysłem. Żadne nie stało plecami do wroga. Teraz zrozumiała, że nie chodziło tylko o bitwę, że chroniła się między nimi jak między dwiema ścianami. W takich chwilach jak ta też. Hazaela nie było, Akiva tkwił w swoim świecie, a ona czuła szalejący wokół niej wiatr i bała się, że rozerwie ją na strzępy.

Nie poprosi go, żeby jej towarzyszył. Nie powinna musieć prosić i bolało ją, że Akiva nie potrzebował tego samego, co ona. Zamknął się w swojej rozpacz i żałobie, a ją zostawił tutaj.

Nie zapukała. Skrzyżowała ramiona i odeszła. Nie wiedziała, dokąd

idzie, i nie bardzo ją to obchodziło. Przecież i tak to wszystko było tylko grą na czas, sekundą za sekundą upływającymi aż do chwili, gdy przytknie koniec miecza do serca swojego wuja i powoli, powoli go pchnie.

Nic jej przed tym nie powstrzyma: ani ludzie i ich broń, ani paniczne obawy Karou, ani błagania o pokój.

Po prostu nic.

Ale Akiva nie przeżywał żałoby. Obrazy, które go prześladowały – ciało brata, Karou chichocząca w towarzystwie Wilka – zdołał odsunąć. Zamknął oczy, a twarz miał spokojną, jakby zapadł w sen bez snów, ale nie spał. Jednak nie trwał też do końca na jawie. Znajdował się w miejscu, które odkrył wiele lat wcześniej, po Bullfinch, kiedy dochodził do siebie po urazie, który powinien był go zabić. Nie umarł i nawet odzyskał pełną sprawność w ręce, ale zranione ramię nigdy nie przestało boleć, nawet na moment. Oto, gdzie się teraz znajdował.

Wewnątrz bólu, w tym miejscu, w którym pracował nad magią.

To nie *sirithar*. To coś zupełnie innego. Wszystkie świadome czary odprawił – a może znalazł – tutaj. Na początku wyglądało to jak schodzenie przez klapę do ciemniejszych sfer umysłu, ale z czasem był coraz silniejszy i wchodził głębiej, przestrzeń się rozciągała, a on po fakcie budził się rozchwiany i roztrzęsiony, jakby wrócił z bardzo, bardzo daleka.

Czy on czynił magię, czy tylko ją odnajdywał? Przebywał w sobie czy poza sobą? Nie wiedział. Nic nie wiedział. Nie skończył żadnej szkoły, więc zdawał się na instynkt i nadzieję, ale dzisiejszego wieczoru z każdą chwilą coraz bardziej kwestionował jedno i drugie.

W trakcie narady wojennej coś mu przyszło do głowy: nagły błysk, który potraktował jak objawienie. Chodziło o hamsy.

Nie łudził się, że ich armie wkrótce się pogodzą. Wiedział, że nie unikną napięcia, ale również, że najlepiej spożytkują wspólną siłę w prawdziwym przymierzu, a nie tylko chwilowym zawieszeniu broni. Chodziło o wspólnotę. Jakkolwiek uderzą w Dominium – jako jedna armia czy dwa oddzielne bataliony – poniosą straty. Ale Liraz miała rację: w każdym wypadku hamsy osłabiają wroga i wyrównują szanse. To może oznaczać różnicę między zwycięstwem a przegraną.

Nie mógł jednak oczekiwać, że jego bracia i siostry zaufają chimerom,

zwłaszcza w świetle tego nieszczęsnego początku. Hamsy były bronią, przeciw której nie mieli tarczy.

Ale gdyby mieli?

Na tym polegał pomysł Akivy. A gdyby opracował zakłęcie chroniące Bastardów przed znakami? Nie wiedział, czy będzie umiał, ani w ogóle czy powinien. Gdyby się udało, czy nie przyniosłoby więcej szkody niż pożytku? Chimery nie będą zadowolone z utraconej przewagi.

A... Karou?

Tutaj właśnie Akiva tracił zdolność osądu. Skąd można wiedzieć, czy intuicja nie jest tylko zakamuflowaną nadzieją, a nadzieja desperacją podającą się za szansę? Bo gdyby mu się udało, razem z opcją prawdziwego przymierza między ich armiami pojawiłaby się jeszcze jedna, osobista opcja.

Karou mogłaby go dotykać. Jej dłonie na jego ciele nie wywoływałyby już agonii. Nie wiedział, czy chciałaby go dotknąć albo czy kiedykolwiek jeszcze zechce, ale jakby co, będzie taka możliwość.

Serafini i chimery wystawili strażę przy wylotach korytarzy, które wiodły z wielkiej jaskini do wiosek, żeby trzymać jedną armię daleko od drugiej. Wszyscy na siebie łypali i czaili się, a zza każdego rogu mógł wyskoczyć wróg. Nie można się było odprężyć. Żołnierze obu stron czuli się uwięzieni przez kamienne sufity, ściany bez okien i świadomość, że ucieczka jest niemożliwa. Dotkliwie było to zwłaszcza dla chimer, które wiedziały, że między ich siedzibami a wyjściem rezydują Bastardzi.

Odпочywali, jedli i ratowali broń, która została z arsenałów, dawno temu splądrowanych przez handlarzy niewolników. Aegir stopił garnki i narzędzia, żeby wykuć ostrza, a łomot jego młota dołączył do odgłosów góry. Część żołnierzy została zatrudniona do zmiany pierzyska przy starych strzałach, ale dla większości nie było zajęcia, a ich bezczynność mogła się źle skończyć. Nie odnotowano przypadków otwartej agresji, ale anioły były wściekłe, że żadna chimera nie została ukarana za załamanie przysięgi, i zaklinały się, że czują efekt hams nawet przez skały.

Chociaż chimery przestrzegały zakazu generała, znajdowały więcej niż trzeba okazji do leniwego opierania się o ściany, a przy tym, żeby utrzymać równowagę, musiały przytknąć do nich dłonie. Mało prawdopodobne, żeby magia znaków działała przez skałę, ale próbować

zawsze warto. „Rzeźnicy o czarnych dłoniach”, nazywali Bastardów i szeptali między sobą o odcięciu im rąk i spaleniu.

A na domiar złego zbiorowe oszołomienie potęgowała jeszcze tamta rozpacz, która każde z nich wydrążyła jak pień i odbijała się w nich echem jak zanikający odgłos bębnow; w potworach i w aniołach. Nikt o tym nie mówił, każdy uważał to za swoją prywatną słabość. Ci żołnierze może nigdy jeszcze nie poczuli rozpaczony tak wielkiej, ale z całą pewnością ją znali.

Tak jak i strach, to zawsze przeżywa się w ciszy.

– I jak? – spytała Issa, kiedy Karou wróciła sama do wioski. Przyszła za Thiagiem, Ten i Lisseth, bo miała dość ich towarzystwa, a Issa wyszła jej na spotkanie aż do zakrętu. – Jak poszło?

– Tak jak się można było spodziewać – odparła Karou. – Rozlew krwi i brawura.

– Wszyscy?

– W zasadzie tak. – Unikała spojrzenia Issy. Bo to nie była prawda. Ani Akiva, ani Thiago nie optowali za takim rozwiązaniem, ale wyszło tak, jak gdyby byli za tym. Potarła oczy. Boże, jaka była zmęczona. – Przygotuj się na rzeź.

– Czyli atak? No cóż. Lepiej bierzmy się do pracy.

Karou ciężko odetchnęła. Miały czas do świtu. Ilu wskrzeszeń uda im się dokonać?

– Co zmieni garstka żołnierzy w obliczu takiej bitwy?

– Robimy, co możemy – odpowiedziała Issa.

– A tylko tyle możemy? Wojownicy planują za nas.

Na chwilę zapadła cisza. Wciąż stały na obrzeżach wioski, tuż przy wąskim zakręcie, za którym zaczynały się mieszkania, a korytarz prowadził aż do „placu”.

– A co by zaplanowali artyści? – spytała łagodnie Issa.

Karou zazgrzytała zębami. Przecież nie podsunęła radzie innego rozwiązania. Pamiętała, jak z niej zakpiła Liraz: „Może po prostu pójdziemy do Jaela i spytamy, czy nie mógłby tu wrócić”. Gdyby tak było można... „Anioły spokojnie wróciły do domu i nikt nie zginął. Koniec”.

Ale to było zupełnie nieprawdopodobne.

– Nie wiem – przyznała gorzko i ruszyła przez korytarz, stawiając

ciężkie kroki. – Pamiętasz rysunek, który zrobiłam kiedyś na zaliczenie? Miałam narysować ideę wojny.

Issa pokiwała głową.

– Bardzo dobrze go pamiętam. Rozmawialiśmy o nim jeszcze długo po tym, jak już poszłaś.

Karou narysowała dwóch ogromnych mężczyzn, stojących po dwóch stronach stołu. Przed każdym stała gigantyczna misa z... ludźmi. Machali cieniutkimi kończynami, wykrzywiali drobniutkie twarze. Mężczyźni mieli widelce i nabijali na nie kęsy jeden z miski drugiego, trawieni szaleńczym głodem. Ładowali do otwartych ust porcję za porcją. Porcję ludzi.

– Chodziło o to, że kto pierwszy opróżni miskę drugiego, wygra wojnę. Narysowałam to, zanim się dowiedziałam o Eretz, o wojnie tutaj, o udziale Brimstone'a.

– Twoja dusza wiedziała – wyjaśniła Issa. – Nawet jeśli rozum nie.

– Może – zgodziła się Karou. – Myślałam o tym w czasie narady wojennej. O naszym udziale. My oszukujemy swoją misę. Wciąż do niej wracamy i bestie wbijają w nas widelce, zawsze znajdując coś do jedzenia. Nigdy nie przegrywamy, ale i nie wygrywamy. Tylko umieramy bez końca. Taka jest nasza rola?

– Taka była – poprawiła Issa i położyła zimną dłoń na ramieniu Karou. – Moja słodka... – Była taka śliczna. Jej twarz przypominała renesansowe Madonny. – Wiesz, że Brimstone wiązał większe nadzieje z tobą?

W języku chimer zaimek „ty” miał formę pojedynczą i mnogą. Issa użyła go tym razem w liczbie mnogiej. „Brimstone wiązał większe nadzieje z tobą, w liczbie mnogiej”.

Tobą i Akivą. Karou pamiętała, jak mówił jej jako Madrygal w celi więziennej tuż przed egzekucją, że zdołał robić to, co robił, stulecie po stuleciu, tylko dzięki wierze, że zachowa chimery przy życiu.

– „Aż świat będzie mógł się odnowić” – Karou cicho powtórzyła słowa, które wtedy do niej skierował.

– Nie mógł tego zrobić – odparła Issa z taką samą łagodnością. – I Wielki Wojownik też nie. A już na pewno nie Thiago. Ale ty możesz. – Znów ty w liczbie mnogiej.

– Ale nie wiem, jak – powiedziała Karou, jakby zdradzała jej jakiś potworny sekret. – Jesteśmy tu, chimery i serafini, niby razem, ale nie naprawdę. I tak wszyscy chcą się pozabijać i pewnie w końcu się pozabijają. To nie jest ten odnowiony świat.



– Zdaj się na instynkt, moja słodka.

Karou roześmiała się zmęczonym śmiechem.

– A jeśli mój instynkt nakazuje mi pójść spać i obudzić się, jak już będzie po wszystkim? Jak światy będą uratowane, przejścia zamknięte, wszyscy znajdą się po tej stronie, po której powinni, a Jael zostanie pokonany i wojna się skończy?

Issa tylko się uśmiechnęła. Potem powiedziała:

– Nie chciałybyś tego przespać, najmilsza. To niezwykły czas. – Uśmiechała się błogo, ale po chwili jej uśmiech zrobił się psotny. – Albo będzie niezwykły, kiedy uda ci się wymyślić, jak to zrobić.

Karou lekko pacnęła ją w rękę.

– Aha, dzięki. Czyli bez napinki?

Issa przytuliła ją tak, jak tysiąc razy wcześniej. Jej objęcia miały moc, dodawały siły. Wszyscy w to wierzyli. Brimstone też...

A Akiva?

Wyprostowała się. Dotarły już prawie do „kwatery wskrzesicielki”, którą wybrali Zuzana i Mik. Przez otwarte drzwi widziała zielone płomyki palonego skohlu. Z dalszej części korytarza docierały głosy i zapachy. Bulwy, kuskus, cienkie chlebki pita i ostatnie z przywiezionych z Maroka kurczaków. Pachniało ładnie, i to wcale nie dlatego, jak obstawiała Karou, że umierała z głodu. Co podsunęło jej pewną myśl.

Słuchaj instynktu? A może żołądka? To nie był plan ani rozwiązanie, tylko pomysł, i to nieduży. Mały kroczek.

– Powiedz Zuze i Mikowi, że zaraz przyjdę – poprosiła Issę i ruszyła na poszukiwanie Wilka.

## Krew i kwiaty

Okolo siódmej rano, ponad dobę od chwili, gdy Eliza obudziła się z wrzaskiem, poddała się zmęczeniu i sen od razu ją pochłoniął.

Zaczął się, jak zwykle, od nieba. Od patrzenia na niebo, na zwyczajne niebieskie przestworza, tu i tam upstrzone chmurami. Nic takiego. Ale we śnie Eliza wiedziała. Czuła i wiedziała, jak to się wie w snach, bez wahania czy wątpliwości. To nie był wymysł czy wybryk wyobraźni, nie wtedy, kiedy ona była w środku. Czuła się tak, jakby minęła swój dobrze znany umysł i weszła gdzieś głębiej, w miejsce obce, ale nie mniej prawdziwe.

Pierwsze, co sobie uświadamiała, to że niebo było wyjątkowe i znajdowało się bardzo, bardzo daleko. Nie w takim sensie daleko, że na Haiti. Albo w Chinach. Tak daleko, że wypaczało to wszystko, co wiedziała o wszechświecie.

Patrzyła z zapartym tchem i czekała, aż coś się stanie.

Z nadzieją, że się nie stanie.

Z przerażeniem, że jednak.

Tak samo, jak „poczucie winy”, słowa „nadzieja” i „przerażenie” nijak się miały do intensywności uczuć, jakich doznawała we śnie. Zwykła nadzieja i strach były jak cienie. Jak łatwiej przyswajalne wersje uczuć tak czystych i potwornych, że w zwykłym życiu by nas unicestwiły, otworzyły nasze umysły i doprowadziły do szaleństwa. Nawet we śnie Eliza czuła, że to ją rozerwie na strzępy. To dzikie, nieznośne napięcie, ta niewiadoma.

„Patrz na niebo”.

„Stanie się?”

„Nie może. Nie wolno”.

„Nie wolno, nie wolno, nie wolno”.

W gardle wzbierał jej dławiący szloch. Przecięła nadziejo-rozpaczą modlitwą, melancholijną jak gra skrzypiec, jednym wyrwanym z kontekstu słowem „proszę”, tak nieskończonym i czystym, że mogłoby trwać aż do końca czasu...

...co może nie być wcale aż tak odległe.

Bo świat miał się skończyć.

Eliza, jako ofiara snu, musiała patrzeć, jak to się dzieje. Za pierwszym razem miała siedem lat i od tamtej pory śniła o tym nie wiadomo ile razy. Nieważne, że wiedziała, co się stanie, skoro zawsze trafiała na tę chwilę, gdy nadzieja była jeszcze w zasięgu ręki...

...a potem umykała.

Pączek kwiatu, niebieski. Zaczynało się spokojnie, od ledwie widocznego znaku na niebie, tak jakby kropla wody wpadła do atramentu. Szybko się jednak rozrastała, a zaraz dołączały następne.

Niebo krwawiło i kwitło. Kolorowe wiatraczki rozprzestrzeniały się od horyzontu do horyzontu, zderzające się, mieszające i rozlewające jak kalejdoskop plam. Niebo... upadało. Widok piękny, ale świadomość potworna. Potworna i potworna, i potworna, amen.

Tak miał się skończyć świat. Przeze mnie. Przeze mnie. Nikt nigdy nie zrobił nic gorszego. Nigdy, od początku czasu i nigdzie w przestrzeni. Nie zasługuję, żeby żyć...

Niebo upadnie i ich wpuści. Ich. Ścigających, burzących, pożerających.

„Potwory... Idą po was”.

„Potwory”.

Eliza przed nimi uciekała we śnie. Ruszyła i uciekała, a panika i poczucie winy, jakie odczuwała, były równie ogromne jak groza, która ją goniła. Jakimś cudem to była jej wina. To ona to zrobi. To ona ich wpuści.

Nigdy. Ja nigdy...

– Zwariowałaś? Ty tu śpisz?

Eliza poderwała się, nieprzytomna, i ujrzała przed sobą Morgana. Stał w drzwiach. Miał świeżo umyte włosy, a grzywka opadała mu na czoło jak u członka boysbandu. Wydęte usta skrzywił z odrazą. Dobry Boże, Morgan Toth i jego miny mogły się wydać czarujące tylko w porównaniu z tym snem. Patrzył na nią, jakby ją przyłapał na czymś sprośnym, a nie na drzemce na kanapie, i to w ubraniu.

Eliza usiadła. Ekran laptopa był czarny. Jak długo spała? Zamknęła komputer i otarła wierzchem dłoni usta. Z ulgą stwierdziła, że się nie zaplula.

Ani śliny, ani wrzasków. Czuła jednak w piersi ucisk, który zinterpretowała jako kształtujący się krzyk. Gdyby Morgan jej nie obudził, zaczęłaby wrzeszczeć tutaj, w laboratorium. Była wdzięczna jego paskudnej, malutkiej postaci.

– Która godzina? – spytała i się podniosła.

– Nie jestem twoją zegarynką – odparł, a potem ją minął i poszedł do swojego ulubionego stanowiska.

W laboratorium były dwa sekwenatory DNA. Eliza nie widziała między nimi żadnej różnicy, ale wiedziała, że Morgan woli ten z lewej, więc kiedy tylko mogła, przychodziła wcześniej i zajmowała go przed nim. Małe zwycięstwa nadawały dniu słodczy. Ale nie dzisiejszemu.

Zaczął się od snu, przeszedł w poczucie zmęczenia; świat się rozpadał, rodzina ją wyśledziła i gdzieś była, gdzieś tam, a na dodatek ona miała na

sobie wczorajsze ubranie. Nie wydawało jej się, żeby ten dzień niósł z sobą choć odrobinę słodyczy.

Ale się myliła. Niósł. Poza tym niósł też wiele innych rzeczy i wkrótce gwałtownie zmienił kierunek z tego najbardziej prawdopodobnego.

Gwałtownie.

Zaczęło się kilka godzin później od pukania do drzwi, które sprawiło, że Eliza podniosła wzrok znad pracy. I tak trudno się jej było dzisiaj skupić, a dane wirowały jej przed oczami, więc nawet się ucieszyła. Doktor Chaudhary otworzył drzwi. Przyszedł wkrótce po Morganie i zachował dla siebie komentarze dotyczące wydarzeń na świecie.

– Dziwne rzeczy – powiedział tylko, uniósł brwi, a potem przeszedł do gabinetu. Nie był gadułą, trzeba mu przyznać. Anuj Chaudhary, wysoki Hindus koło pięćdziesiątki, z wydatnym, haczykowatym nosem i gęstymi włosami, siwiejącymi nieco na skroniach. Miał dystyngowany angielski akcent i manieri dżentelmena z epoki wiktoriańskiej.

– W czym mogę pomóc? – zapytał dwóch mężczyzn, którzy stali za drzwiami.

Wystarczył rzut oka, żeby Eliza poczuła się jak w serialu. Ciemne garnitury, przepisowe fryzury, nijakie twarze, co podkreślał jeszcze bardziej wyćwiczony brak wyrazu. Agenci rządowi.

– Doktor Anuj Chaudhary? – spytał wyższy, machając odznaką. Doktor Chaudhary pokiwał głową. – Prosimy z nami.

– W tej chwili? – spytał Chaudhary tak spokojnie, jakby kolega z uczelni wpadł zaprosić go na herbatę.

– Tak.

Żadnego wyjaśnienia, ani jednego zbędnego słowa, które mogłoby trochę złagodzić agresywne zaproszenie. Eliza zaczęła się zastanawiać, czy agentów rządowych szkolono w enigmatyczności. O co chodziło? Czyżby doktor Chaudhary miał kłopoty? Nie. Oczywiście, że nie. Kiedy agenci rządowi pojawiali się w laboratorium i mówili: „Prosimy z nami”, chodziło im o jakąś ekspertyzę naukową.

Specjalizacją doktora Chaudhary’ego była filogenetyka molekularna. Pytanie brzmiało: jakie DNA chcą przeanalizować?

Eliza odwróciła się do Morgana i przyłapała go na wpatrywaniu się w tę scenę z obleśną, płomienną pazernością. Schematy postępowania na wypadek inwazji obcych, przypomniała sobie. Jak tylko poczuł na sobie jej wzrok, odwrócił się z grymasem na twarzy i powiedział:

– Może jednak ktoś poza mną na tej planecie nie jest idiotą. – Dał wyraźnie do zrozumienia, że w jego mniemaniu ona jest wodzem reszty idiotów.

To tylko dodało niebywałej rozkoszy tej chwili – proszę bardzo, a jednak, kropla słodyczy w ponurym dniu, który miał się stać jeszcze bardziej ponury – kiedy doktor Chaudhary spytał agentów:

– Czy mogę zabrać asystenta?

A kiedy skinęli głowami, odwrócił się i spojrzał... na nią.

Na nią. Zjawiskowa, pełna triumfu słodycz, prawie zbyt cudowna, żeby mogła być prawdziwa.

– Elizo, miałabyś ochotę mi towarzyszyć?

Morgan wydał dziwny dźwięk i Eliza była pewna, że powietrze uszło z niego wszystkimi otworami, jakie miał w głowie, nie tylko ustami i nosem. Uszy i oczy też w tym brały udział, jak w kreskówce. Wydał zjadliwy syk wyrażający niedowierzanie, poczucie krzywdy i kpinę.

– Ale, doktorze Chaudhary... – zaczął, ale ten uciszył go szorstko i oficjalnie.

– Nie teraz, panie Toth.

Eliza odsunęła krzesło od biurka i zatrzymała się na moment, żeby wycedzić z myśli o jego ustach:

– Miłego wydymania, panie Toth.

– Chyba ja powinienem tego życzyć tobie – odparł gorzko i wściekle, rzucając oskarżycielskie spojrzenie w stronę doktora Chaudhary’ego. Eliza zamarła i poczuła, jak jej dłoń rozgrzewa się do czerwoności, spragniona uderzenia go w twarz. Pamiętała jednak o agentach oraz o tym, że jej promotor patrzy, więc opanowała pragnienie, choć dłoń jej ciążyła od niewykorzystanego policzka.

Trochę ją pocieszyło kompletowanie sprzętu na prośbę doktora Chaudhary’ego, a potem wyjście na korytarz za jednym z agentów i pozostawienie Morgana z jego śmieszną zazdrością małego chłopca.

Czekał na nich samochód. Opływowy, czarny, rządowy. Eliza zastanawiała się, z jakiej agencji są mężczyźni. Nie zdołała odczytać z legitymacji. FBI? CIA? NASA? Kto powinien się zajmować... aniołami?

Doktor Chaudhary zaprosił Elizę do auta, a potem usiadł obok niej. Drzwi się zamknęły, agenci wsiedli na przednie siedzenia i samochód włączył się do ruchu. Odległość między nią a muzeum stale się zwiększała, a entuzjazm Elizy malał. Chwileczkę, pomyślała. Zastanówmy

się.

– Przepraszam... Dokąd my właściwie jedziemy? – spytała.

– Dowiedzą się państwo po przyjeździe – padła odpowiedź z przedniego siedzenia.

No dobra.

Po przyjeździe dokąd?

Na pewno do Rzymu.

Bo jak inaczej?

Eliza zerknęła na doktora Chaudhary'ego, który lekko wzruszył ramionami i uniósł brwi.

– To może być objawienie – powiedział.

Objawienie? Czy to możliwe? Naprawdę dostaną dostęp do Przybyszy?

Doznała przelotnej wizji siebie, przystępującej z wacikiem na patyczku do któregoś z aniołów, i poczuła, że zaraz wpadnie w histerię. Kto by pomyślał, że po tym wszystkim, od czego uciekła, to nauka sprawi, że stanie twarzą w twarz z aniołami? Zachciało jej się śmiać. Hej, mam, patrz, gdzie jestem! Boże. Śmieszne to dlatego, że kompletnie absurdalne. Wybrała drogę tak inną, jak to tylko możliwe, od tej, którą szła w przeszłości i oto, gdzie ją zawiodła!

Jeden z przełomów w historii ludzkości, a ona będzie na miejscu, wtykająca patyczek z wacikiem do ust anioła? Proszę otworzyć szerzej! Kolejna fala histerii, zamaskowana chrzążnięciem. Eliza dokona analizy anielskiego DNA. Jeśli oni w ogóle mieli coś takiego. Muszą mieć. Mieli ciała, a ciało musi się z czegoś składać. W jakim stopniu będzie podobne do ludzkiego? Nawet nie zamierzała sobie tego wyobrażać, ale uważała, że to dobry sposób rozwiązania tajemnicy. Na poziomie molekularnym.

Dowie się, czym są.

Kręciło jej się w głowie, była wyczerpana, zestresowana, a do tego wciąż czuła na ramieniu ciężar snu – jak ptaka padlinożercy, który czekał na swój moment – i myśli zataczały wokół niej kręgi, żeby wreszcie stanąć z nią twarzą w twarz. Tak jakby kogoś goniła i już, już miała wyciągnąć rękę i go pochwycić, kiedy on odwracał się na pięcie i wściekle łapał ją za gardło.

Dowie się, czym są anioły. Tak uważała Eliza, która panowała nad tokiem swoich myśli. Dowie się w taki sposób, jak ją uczono. Sekwencja nukleotydów, a potem świat, kosmos i przyszłość ułożą się grzecznie w sensowną całość. Filogeneza. Porządek. Poczytalność.

A kiedy myśl odwracała się i atakowała, zmuszając ją do spojrzenia sobie prosto w oczy, okazywało się, że to wcale nie ta, którą spodziewała się zobaczyć.

Nie brzmiała: „Dowiem się, czym są anioły”.

Tak naprawdę Eliza myślała: „Dowiem się, czym ja jestem”.

## Istoty zamieszkujące ten sam świat

Karou dołączyła do Zuzany, Mika i Issy i okazało się, że w czasie, kiedy ona była na naradzie wojennej, oni nie próżnowali: przygotowali pokój, wypakowali tace oraz oczyścili i posortowali zęby. Zuzana próbowała nawet robić naszyjniki. Nie były jeszcze nawleczone, bo czekały na ocenę Karou.

– Świetne! – orzekła po starannym przyjrzeniu się.

– Będą działać? – dopytywała Zuzana.

Karou nadal się wpatrywała.

– To Uthem? – Wskazała na pierwszy.

Rząd zębów końskich i iguany, rureczki kości nietoperza – podwójne, ze względu na dwie pary skrzydeł – a do tego żelazo i jadeit dla rozmiaru i wdzięku.

– Pomyślałam, że on jest pewniakiem.

Karou skinęła głową. Thiago będzie potrzebował Uthema, żeby dolecieć na pole walki.

– Masz do tego dryg – oznajmiła przyjaciółce.

Naszyjnik nie był idealny, ale niewiele mu brakowało do doskonałości. Co było niebywałe, biorąc pod uwagę, jak niewielkie doświadczenie miała Zuzana.

– Wiem! – Zuzana nie zawracała sobie głowy sztuczną skromnością. – Teraz musisz mnie tylko nauczyć tej magii, która zamieni to w ciała.

– Nie kuś mnie. – Karou roześmiała się ponuro.

– Bo co?

– Jest taka przypowieść o człowieku, który miał być na wieczność przewoźnikiem przez rzekę umarłych. Był jednak ratunek, a on o tym nie wiedział. Wystarczyło, żeby przekazał wiosło komu innemu i równocześnie przekazałby swój los.

– I ty przekazesz mi swoje wiosło? – spytała Zuzana.

– Nie. Właśnie ci go nie przekażę.

– To może się nim podzielimy?

Karou pokręciła głową, trochę zirytowana, trochę zdziwiona.

– Nie. Ty masz przed sobą życie...

– Zdaje się, że jak będę ci pomagać, to nadal będę żywa.

– Tak, ale...

– Więc zastanówmy się. Mogę robić zdumiewające, zadziwiające, niewiarygodne i magiczne rzeczy, o jakich nikt nigdy nie słyszał. Nigdy! A jak ta cała akcja z wojną się skończy, mogę ci pomóc wskrzesić całą populację kobiet i dzieci, odbudować rasę i zwrócić im życie na początku nowej ery w świecie, o którego istnieniu nikt nie wie. Albo... Wrócić do domu i odgrywać kukielkowe przedstawienia dla turystów.

Karou poczuła, że się uśmiecha.

– No tak, jak tak się na to spojrzy... – Potem zwróciła się do Mika. – A ty masz coś do powiedzenia na ten temat?

– Mam – odparł bardzo serio. – Powiedziałbym, że czas na rozmowy o przyszłości jeszcze przyjdzie. Po tym, jak skończy się „ta cała akcja z wojną”, jak to ujęła Zuze. I jak się już dowiemy, czy w ogóle będzie jakaś przyszłość.

– Słusznie – powiedziała Karou i zwróciła się w stronę kadzielnic.

W najlepszym razie czasu starczy na dwanaście wskrzeszeń, i to przy optymistycznym założeniu. Pytanie jeszcze: kto? Kto dziś będzie szczęśliwą duszą? Karou się zadumała, przeglądając kadzielnice i wyznaczyła trzy kupki: „tak”, „może” i „o Chryste, ty na pewno zostajesz martwy”. Na pewno żadnej Lisseth więcej ani Razorów z zostawiającym plamy workiem. Chciała żołnierzy honorowych, którzy pojmą nowe cele i nie będą się im przy każdej okazji sprzeciwiać. Było kilkoro idealnych kandydatów, ale zastanawiała się, jak zostaną przyjęci.

Baleros, Ixander, Minas, Viya i Azay. Oddział Ziriego, który nie wykonał rozkazu prawdziwego Wilka i zamiast wyrzynać serafińskich cywilów, poleciał do Hintermost ratować swoich. Wszyscy silni,



kompetentni i darzeni szacunkiem, ale sprzeciwili się Wilkowi. Czy ich wskreszenie nie wyda się podejrzanе? Kolejny punkt do listy Rzeczy, Których Thiago Nigdy By Nie Zrobił?

Trudno, Karou chciała ich mieć. Chciała też Amzallaga i Żywe Cienie, ale nie mogła przesadzać. Odłoży ich na później i będą dla niej nagrodą jakiegoś miłszego dnia. Zwróci im życie najszybciej, jak się uda.

Oddział Balierosa odłożyła na kupkę „tak”. Była z nimi też szósta dusza. Gdy opływała zmysły Karou, skojarzyła się jej ze strzałą światła między gałęziami drzew. Nie znała jej, ale pamiętała, jak Ziri opowiadał o młodym chłopcu, Dashnagu, który do nich dołączył i razem z nimi zginął.

Nie miało wielkiego sensu wybieranie niewyszkolonego chłopca, skoro wskreszeń miało być tak niewiele, i to przed bitwą taką jak ta, ale Karou i tak to zrobiła, w ramach buntu. „Decyzja wskresziciela”, już słyszała, jak mówi to Lisseth, czy też, jak teraz myślała o jadowitej kobiecie z plemienia Naja, „przyszłej krowie”. „Masz z tym jakiś problem?” Zresztą Dashnag nie będzie już chłopcem. Karou nie miała odpowiednich zębów, a nawet gdyby miała, to i tak nie było czasu na młodość. Ocknie się zatem żywy, dorosły i uskrzydłony, w jaskini w towarzystwie zjaw i serafinów.

To będzie dla niego ciekawy dzień. Coś podpowiadało Karou, że pomysł jest fatalny, ale mimo wszystko czuła, że tak będzie dobrze. Dashnagowie byli imponującymi chimerami, jedynymi z bardziej przerażających, ale nie to ją motywowało, a raczej czystość jego duszy. Strzała światła. Honor i nowe cele.

– Dobra – oznajmiła asystentom. – Zaczynamy.

Godziny mknęły jak kadry przyśpieszonego filmu. Thiago przyszedł jakoś w połowie, żeby złożyć ofiarę z bólu. Karou zauważyła, że się kąpał. Zmył zaschniętą krew, a jego rany zaczęły się goić. Dodali nowe sińce do tych już przybladłych na ich ramionach i rękach. Nie udało się wskreszyć dwunastu ciał. W ciągu sześciu godzin powołali do życia dziewięć i na tym musieli poprzestać. Nie starczyło miejsca, bo te dziewięć i tak wypełniło cały pokój. Poza tym Karou była tak zmęczona, że nie odpowiadała za siebie. Stała się niezdarna. Bezużyteczna. Wypluta.

Zuzana czuła chyba to samo.

– Królestwo za kofeinę – wymamrotała w stronę sufitu i złożyła ręce jak do modlitwy.

Ale kiedy jakieś dziesięć sekund później drzwi się otworzyły i Issa wniosła herbatę, Zuzana nie okazała wdzięczności.

– Kawa, miałam na myśli kawę! – warknęła do sufitu, tak jakby wszechświat był kelnerem, który pomylił jej zamówienie.

Wypili jednak, w milczeniu podziwiając efekty pracy. Dziewięć ciał. Trzeba jeszcze tylko umieścić w nich dusze. Karou pozwoliła to zrobić Mikowi i Zuzanie, bo ręce jej się trzęsły, a każdy ruch wywoływał falę bólu i drżenia. Oparła się o ścianę obok Thiaga i patrzyła, jak Zuzana idzie wzdłuż szeregu nowych ciał i każdemu usypuje na czole kupkę kadzidła.

– Zaprosiłeś ich? – spytała Wilka.

Skinął głową.

– Dyskutowali, ale w końcu się zgodzili. Ale uprzedzam, że wyglądało to tak, jakby robili łaskę. „Ostatecznie możemy zjeść to wasze jedzenie, ale nie oczekujcie, że się z tego ucieszymy”.

– Tak powiedzieli?!

– Nie użyli tylu słów.

– No tak – odrzekła Karou. – Duma im nie pozwala. Mogą udawać, że tak nie jest, ale będzie im smakować.

To ten jej pomysł, ten mały kroczek: nakarmić serafinów. Ktoś, Elyon albo Briathos, wspomniał na naradzie wojennej, że Bastardzi, zlatujący się tu w pośpiechu z najróżniejszych posterunków w całym Imperium, zużyli już zapasy pożywienia, które wzięli z sobą. Nakarmienie ich, blisko trzystu, wyczerpie też zapasy chimer, ale to gest solidarności dla dobra przymierza. Jemy razem i głodujemy razem. Jesteśmy w tym razem.

Może któregoś dnia będziemy też razem żyć. Zwyczajnie, jak istoty zamieszkujące ten sam świat. Bo niby czemu nie?

Trzask czerwonej plastikowej zapalniczki z twarzą jakiejś postaci z kreskówki, kompletnie niepasującej do poważnego zadania, jakie miała wykonać, nie mówiąc już o pasowaniu do tego świata, i Zuzana zapalała stosiki kadzidła, jeden za drugim, w linii prostej. Zapach mieszanki stworzonej przez Brimstone’a powoli wypełnił skalne sklepienia i najpierw Uthem, a potem pozostali ożyli.

W Karou mieszały się różne uczucia. Duma z siebie i Zuzany. Ciała były porządnie wykonane, silne i piękne, nie tak potworne i wynaturzone jak te, które wskrzesiła w kasbie. Bardziej w stylu Brimstone’a. Brakowało jej go, więc przy pracy kierowały nią tęsknota i nostalgia.

Oraz gorycz.

Kolejna dokładka do misy. Więcej mięsa dla mielących wojennych

szczęk.

Istoty zamieszkujące ten sam świat... tak pomyślała przed chwilą, ale teraz patrzyła, jak budzą się do życia i zastanawiała się, czy to w ogóle możliwe.

## Kochanica anioła, kochanek potwora

Wcześniej Karou i Thiago poprowadzili swoich ludzi tym krętym korytarzem do ich wioski, a teraz nim wracali. Bastardzi czekali już w komplecie w ogromnej sali pełnej ech, która służyła jako miejsce spotkań. Dość ostentacyjnie jednak zebrali się po jednej stronie, drugą zostawiając chimerom. Razem, ale osobno, tak jakby na środku ktoś narysował linię.

Wniesiono jedzenie, wielkie misy kuskusu z warzywami, morelami i migdałami. Na kęs kurczaka natrafiało się rzadko, ale mięso rozdzielono sprawiedliwie i czuć było jego smak. Poza tym podano bochny chleba pieczone na gorących kamieniach, więcej niż Karou kiedykolwiek widziała. I chociaż na oko wydawało się, że potraw jest mnóstwo, zjedzono je szybciej, niż się pojawiły.

– Wiecie, co by się teraz przydało? – spytała Zuzana, kiedy niemal ucichł już brzęk łyżek i talerzy. – Czekolada. Nigdy nie zawiązujcie przymierza bez czekolady.

Karou nie sądziła, żeby Bastardzi, ostro traktowani przez całe życie, wiedzieli, co to jest deser.

– Czekolady nie ma – stwierdził Mik – ale może chociaż muzyka?

Karou się uśmiechnęła.

– Myślę, że to świetny pomysł.

Wyjął skrzypce i zaczął je stroić. Odkąd tu przyszli, Karou wypatrywała Akivy, chociaż oczywiście starannie to ukrywała. Ale nie było go i nie wiedziała, co o tym myśleć. Nie widziała też Liraz. Tylko kilkaset obcych twarzy, a każda ponura i bez wyrazu. W sumie nic dziwnego, w końcu byli

w przededniu apokalipsy, ale i tak nie było to fajne. Czuła, że ten ich sojusz jest równie niestabilny jak na początku i że żołnierze z taką samą łatwością, z jaką dzielili się chlebem, popodrzynaliby sobie gardła.

Mik zaczął grać i serafini usłyszeli muzykę. Karou ich obserwowała, przyglądała się tym dzikim, pięknym twarzom i zastanawiała się, jaką każdy z nich ma duszę. Stwierdziła, że muzyka wpływa na każdego. Ponure miny może nie do końca zniknęły, ale atmosfera się zmieniła. Niemal czuło się długi, powolny wydech, który rozluźniał zastępy setek żołnierzy.

O świecie polecą z powrotem do świata ludzi. Co się tam dzieje? Jak Jael się przedstawił, jak świat go przyjął? Czy już mu przekazali broń? A może już go uczyli, jak jej używać? Czy też okazali sceptycyzm? Część na pewno tak, ale kto będzie krzyczał głośniej? Kto zawsze był najgłośniejszy? Ci moralni.

Przestraszeni.

– Karou – szepnęła Zuzana. – Przetłumacz! – Karou odwróciła się do przyjaciółki, która kontynuowała lekcje chimeryjskiego z Virkiem, zapoczątkowane w kasbie w czasie posiłków. – Co on mówi? – dopytywała. – Za nic nie mogę zrozumieć.

Karou przetłumaczyła:

– Magia.

– Ach! – Zuzanę olśniło. Ale potem dodała ze zmarszczonym czołem: – Serio? Zapytaj, skąd wie.

Karou posłusznie spytała.

– Wszyscy to czuliśmy – odpowiedział Virko. – Powiedz jej. W tej samej chwili.

Karou aż zamrugnęła. Zamiast tłumaczyć, dopytywała:

– Co wszyscy czuliście w tej samej chwili?

Spojrzał jej w oczy.

– Koniec – odparł. Po prostu.

Poczuła na plecach dreszcz. Doskonale wiedziała, o czym on mówi, ale i tak spytała:

– Jak to? Jaki koniec?

– Co on mówi? – niepokoiliła się Zuzana, ale Karou wpatrywała się w Virka.

Nagle zaczęła wszystko rozumieć, tak jakby to, co wcześniej jej umykało i nie dawało się chwycić, okazało się już zbyt zmęczone, żeby

uciekać dalej.

Virko rozejrzył się wkoło, po mniejszych i większych grupkach. Jedni z zamkniętymi oczami słuchali muzyki, inni gapili się w ogień.

– Jak to się stało, pomyślałem: „Anioły mają szczęście, ja chyba tracę rozum”. Zapomniałem, co się robi z mieczem. Tylko stałem z otwartą gębą i czułem, jakby mi ktoś wydarł serce. Jakbym dotarł do końca długiego życia. Właśnie tak. – Dał jej czas na przetrwanie, a ona czuła, że zalewają ją to zimne, to ciepłe fale. – Ale to samo czuli wszyscy – mówił. – Nie tylko ja, więc trochę mi z tego powodu ulżyło. Coś się z nami stało. Coś zostało dokonane. – Zamilkł. – Nie wiem co, ale to chyba dlatego jeszcze żyjemy.

Karou była w takim szoku, że aż się cofnęła. Jak mogła nie odgadnąć od razu? Nigdy jeszcze nie czuła takiej rozpacz, nawet gdy stała po kostki w prochach Loramendi. Ale ta rozpacz przyszła i zniknęła, jakby wpadła przelotem. Jak fala dźwięku albo cząsteczki światła. Albo... magia.

Magia spychająca kataklizm z toru. Zawracająca ich znad przepaści. A kiedy Biały Wilk podniósł się z kolan i przemówił, mówił w ciszy, która pozostała po tym uderzeniu. Pomógł im wrócić do siebie, gdy ich dusze leciały na łeb, na szyję. Ale nie on to zrobił, nie on ich powstrzymał przed pozabijaniem się.

To Akiva.

Ta świadomość przemknęła przez Karou jak fala gorąca i zanim zdołała spytać siebie, czy ma rację, była już pewna.

Gdy Akiva wreszcie wszedł do jaskini, Karou o tym wiedziała, choć oczy miała spuszczone. Jej serce zadrżało. Zerknęła, żeby się upewnić, ale on na nią nie patrzył.

Kompania wokół niej jakby zawrzała, a zaledwie w chwilę potem dobiegł gwar słów:

– To był on – usłyszała. – To on nas uratował.

Czyżby ktoś jeszcze odkrył to co ona?

Odwróciła się, żeby sprawdzić, kto to mówi. Ku jej zaskoczeniu był to chłopiec z Dashnagów, który rzecz jasna, nie był już chłopcem. Miał na imię Rath i nie mógł nic wiedzieć o fali rozpacz, bo wtedy jeszcze jego dusza spoczywała w kadzielnicy. O co mu w takim razie chodziło? Karou nasłuchiwała.

– Nie dożyłbym, żeby dotrzeć do Hintermost – opowiadał Balierosowi i pozostałym towarzyszom wskrzeszenia. – Szedłem z innymi na północ.

Anioły podpaliły las za nami. Razem ze mną uciekła handlarzom niewolników cała wioska Caprinów i dziewczyny z plemienia Dama. Dopadli nas, gdy ukryliśmy się w wąwozie. Dwóch bęk... – zamilkł i się poprawił: – Bastardów... Byli tuż przed nami, ale anioły tylko na nas spojrzały i udawały, że nie widzą. Puścili nas.

– Może jednak nie widzieli? – zasugerował Balieros.

Rath odparł z szacunkiem, ale stanowczo:

– Widzieli. A jednym z nich był on. – Ruchem głowy wskazał na Akivę.

– Miał pomarańczowe oczy, jak my. Nie pomyliłbym go z nikim.

Karou słuchała i nie opuszczała jej wrażenie, że wyjaśnienie było na wyciągnięcie ręki, krążyło wokół i tylko czekało na moment, kiedy przestanie je przepędzać. No jasne, Akiva ocalił w Hintermost nie tylko Ziriego, ale także niewolników i mieszkańców wioski, tych uciekających, których Wilk skazał na śmierć, bo wolał zabijać wroga niż ratować swoich.

– Pomór Dzikich ratujący potwory? – Balieros się zamyślił i rzucił długie, pytające spojrzenie na drugą stronę jaskini, a potem uśmiechnął się przelotnie. – A czas dziwnie się skłania, gdy koniec jest już blisko.

„Czas dziwnie się skłania”. To był wers piosenki. Znali ją wszyscy żołnierze. Nie niosła może wielkiej nadziei, ale pasowała do tego krzyku magii. „Gdy koniec jest już blisko”. Koniec.

Karou nie mogła się powstrzymać. Jeszcze raz spojrzała na Akivę. On w ogóle nie patrzył na nią, i to jej wystarczyło, miała już pewność, że nie spojrzy nigdy więcej.

Byli w jaskiniach Kirinów. Wieczór przed bitwą. Złączyli armie, co już samo w sobie mogło być traktowane jako niewyobrażalny triumf, ale nic nie wydawało się takie, jak sobie wyśnili. Nie stali ramię w ramię. Nie mogli nawet na siebie patrzeć.

Serce Karou się nią bawiło, to ożywało, jak jakieś stworzonko uwięzione w jej wnętrzu, to się zatrzymywało. Wokół Akivy zebrali się jego ludzie, a ona była tutaj, wśród swoich, i wydawało się, że nie łączy ich nic więcej, tylko wspólny wróg i słodkie dźwięki krystalicznej muzyki.

Mik siedział na kamieniu, z głową nachyloną nad skrzypcami, a jego piosenka brzmiała inaczej niż w kasbie. Tam ulatywała w niebo. Tutaj odbijała się od ścian.

Była uwięziona, tak jak jej bicie serca.

Zuzana położyła jej głowę na ramieniu. Issa siedziała przy jej drugim

boku, spokojna, ale czujna, a Wilk leżał przed nią oparty na łokciu, rozciągnięty przy ognisku. Rozluźnił się. Wciąż był elegancki, wyjątkowy, ale pozbawiony okrucieństwa i agresji, tak jakby domyślne odruchy jego pożyczonego ciała powoli zmieniały się od środka. Karou dostrzegła pierwsze oznaki niezwykłego piękna, które zaczynały się przebijać na wierzch. Pomyślała, że oto maestia Brimstone'a trafiła na duszę Ziriego. W tej chwili nie miał nic wspólnego z Thiagiem. Tamten potwór odszedł na zawsze, a jeśli ktokolwiek mógł pozbyć się jego skazy, tym kimś był Ziri.

Ale lepiej niech uważa i nie rozluźnia się za bardzo. Karou szybko się rozejrzała wśród siedzącej wokół nich ciżby, wypatrując czujnych i niemrugających oczu Lisseth. Ale nie dostrzegła jej. Nisk za to był, choć jego partnerki brakowało, ale on po prostu gapił się w ogień.

Karou poczuła, że Wilk na nią patrzy, ale nie odwzajemniła spojrzenia. Jej wzrok poddał się magnesowi i skierował na drugą stronę jaskini, na Akivę. Akiva, Akiva. Pozwoli sobie spojrzeć jeszcze raz. Wstrzymała oddech i zdaje się, że także bicie serca. Bawiła się jak w dzieciństwie w grę we wróżby. Wtedy, wypuszczając powietrze z płuc, myślała: „Jeśli teraz nie spojrzysz, straciłam go”.

Ta możliwość przywołała echo wcześniejszej rozpacz. „Płomień świecy ugaszony przez krzyk”.

Podniosła wzrok i spojrzała na drugą stronę jaskini. I...

...żywy płomień. Takie były jego oczy, kiedy na nią patrzyły: ogień, który wypalał szlak pomiędzy nimi. Patrzył na nią! I chociaż był daleko, chociaż pomiędzy nimi były chimery i serafini, żywi i martwi, spojrzenie było jak dotyk.

Jak promienie słońca.

Patrzyli na siebie. Patrzyli i wszyscy mogli to zobaczyć. Każdy mógł widzieć. Kochanica anioła. Kochanek potwora.

Niech patrzą.

To było szaleństwo i nieostrożność, ale po tym wszystkim, co się stało, Karou nie potrafiła się zdobyć na czujność i odwrócić wzroku. Oczy Akivy były gorące i jasne, a ona chciała w nie patrzeć do końca. Jutro będzie apokalipsa. Dziś wieczorem jest słońce.

To Akiva przerwał kontakt wzrokowy. Wstał i powiedział coś cicho do zebranych wokół niego aniołów, a potem wyszedł z jaskini. Zatrzymał się na moment w wysokim, łukowym przejściu i chociaż już na nią nie

spojrzał, Karou zrozumiała. Chciał, żeby poszła za nim.

Ale oczywiście nie mogła. Zobaczyliby. Pierwsze jaskinie należały do Bastardów i chociaż Lisseth nie było – właśnie, gdzie ona jest? – mnóstwo innych miało na nią oko.

A jednak musiała spróbować. Nie mogła znieść myśli, że Akiva czeka na nią nadaremnie. Wydawało jej się, że to może być ostatnia szansa.

– Pójdę się trochę przespać – uprzedziła, a potem wstała i ziewnęła.

Najpierw ziewnięcie było udawane, ale bardzo szybko stało się prawdziwe. Wyszła innym korytarzem niż Akiva. Tym, który prowadził do ich wioski.

Ale jak tylko zniknęła wszystkim z oczu, stała się niewidzialna i zawróciła. Niezauważona przez nikogo przeleciała cicho i powoli nad głowami dwóch armii, a serce jej waliło, bo leciała do Akivy.

## Spełnienie snów

„Może być inaczej”, zapewniła Karou Ziriego tuż przed naradą wojenną. „O to w tym wszystkim chodzi”.

O to chodziło? O świat, w którym będzie mogła mieć swojego kochanka? Obserwował to ich spojrzenie, mknące przez jaskinię, i zastanawiał się, czy po to oddał życie.

„Dla nas wszystkich”, mówiła.

Dla niego też? A co się może zmienić dla niego? Pewnego dnia uwolni się od tego ciała albo dzięki wskrzeszeniu, albo dlatego, że jego dusza się ulotni. Tak, na to warto było czekać.

Patrzył, jak Akiva wychodzi, i nie zaskoczyło go, że chwilę później wyszła także Karou. Osobno, różnymi korytarzami, ale nie miał wątpliwości, że i tak się odnajdą. Pomyślał o balu u Wielkiego Wojownika, wiele lat temu, i o tym, co tam widział. Był tylko chłopcem, ale i tak było to dla niego jasne jak słońce, że Madrigal w tańcu odsuwała



się od Wilka i skłaniała ku nieznanemu. I chociaż złożoność intryg wypełniających świat dorosłych była dla niego jeszcze wtedy niewiadomą, intuicyjnie poczuł, o co chodzi. Po raz pierwszy, jak nutę zapachu, egzotycznego, odurzającego... przerażającego.

Intrygi dorosłych już nie były dla niego tajemnicą, ale kiedy patrzył, jak Karou i Akiva wychodzą, poczuł się znów jak chłopiec. Wykluczony. Odrzucony.

Może już zawsze będzie się tak przy niej czuł, bez względu na wiek, jaki miały ich ciała.

W wylocie tego korytarza, w którym zniknęła Karou, pojawiła się postać i przez ułamek sekundy myślał, że to ona wraca, ale nie. To Lisseth.

Ziri nawet nie zauważył, że jej nie ma, i w pierwszym odruchu przeleciała mu przez głowę nieukształtowana do końca myśl, że zawiódł. Prawdziwy Wilk od razu wiedziałby, że kogoś brakuje. Ale myśl rozmyła się, kiedy zobaczył jej minę. W najlepszym razie miała twarz nieprzyjemną, grubiańską i rozlaną, dysponującą ograniczonym repertuarem paskudnych grymasów, od chytryści po bezwzględność, ale teraz wydawała się... dotknięta.

Skrzydółka nosa miała białe, usta zaciśnięte w pozbawioną krwi kreskę. Oczy okazały się niespodziewanie bezbronne, słabe. Ramiona unosiła w wyrazie zranionej dumy, prezentowała płaski policzek. Skinęła krótko w jego stronę, a on się podniósł i podszedł do niej, bo był ciekawy.

Nisk, drugi przedstawiciel plemienia Naja, zauważył to i dołączył do nich w progu korytarza.

– Co się stało? – spytał Ziri.

Odpowiedziała... uszczypliwie. Wydawała się urażona.

– Czy jakoś zawiódłam, panie? Zrobiłam coś złego?

Ziri miał ochotę odpowiedzieć, że tak. Wszystko! Podejrzewał, że to ona zerwała porozumienie i podniosła hamsy na Bastardów, ale zaprzeczyła, a on nie miał dowodów.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł. – O co chodzi?

– To ja powinnam dostać ten rozkaz. Czekałam, bo mam większe doświadczenie. Jestem silniejsza, a jeśli chodzi o przebiegłość, nie mam sobie równych. Nawet nie wiedziałam, jaki jest plan...

– Plan...? Żołnierzu, o co chodzi?

Lisseth mrugnęła, spojrzała na Niska, a potem znów na niego.

– O atak na serafina. Właśnie się odbywa.

Zbladł. Czy to zauważyli? Źle zareagował. Powinien okazać wściekłą furie i odsłonić zęby, gdy tylko się zorientował, że jego żołnierze właśnie w tej chwili przygotowują atak wbrew jego rozkazom.

– To nie jest mój plan – powiedział i zobaczył, jak jej twarz znów się zmienia. Oburzenie zniknęło. Kiedy zrozumiała, że jej nie dyskryminował, była znów okrutną sobą. – Zabierz mnie tam – polecił.

– Tak jest.

Odwróciła się bezszelestnym ruchem żmii i wysunęła się na czoło. Ziri ruszył za nią, a za nimi Nisk.

Kto zaczął?, zastanawiał się Ziri. Gdyby miał wskazywać buntownika, to właśnie Lisseth ze swoją żądzą władzy byłaby jego pierwszym strzałem. Czyżby nim była? To pułapka?

Możliwe. Ale nie miał innego wyjścia, jak tylko iść za nią. Z opóźnieniem stwierdził, że powinien był przywołać Ten, ale i tak go zdziwiło, że wilczyca sama nie dołączyła.

Szli jednym z wielu korytarzy prowadzących w dół. Mijali te, które zdołali poznać, i szli wciąż głębiej i głębiej. Kiedy wychodzili zza rogu, przyświecając sobie pochodniami, wielkie bezbarwne owady czmychały, wciskając się w pęknięcia w ścianach. W powietrzu unosił się ciężki zapach wilgoci i mokrego kamienia, równie wrogi dla zmysłów jak wietrzna muzyka. Ale im dalej szli, tym więcej zapachów się przesączało, znajdowało swoją ścieżkę w ciemności. Zapachy zwierzęce, piżmowe i ostre. Chimery, całe stado. I odór smażonego mięsa, a do tego ostry smród palonej sierści, od którego wnętrzości Ziriego aż się wywróciły. Miał złe przeczucia. Każda chimera, która szła na wojnę z serafinami, wiedziała, jak pachnie palące się ciało.

Ziri miał teraz znacznie bardziej wyostrzony zmysł węchu niż we własnym ciele, ale wciąż się uczył rozszyfrowywać informacje, jakie przynosił zapach, i identyfikować smrody, jakie niósł ze sobą świat. Aromaty również. Więcej było zapachów nieprzyjemnych, w każdym razie tak stwierdził w ciągu tych kilku dni, ale miłe okazały się o wiele bardziej fascynujące, niż się spodziewał.

Tutaj też był taki, wybijał się spośród reszty jak złota nić w tkaninie, cienka jak włos, ale jasna. Przyprawy, pomyślał. Takie, które wypalają język, ale zostawiają po sobie czystość.

Ktokolwiek to jest – że serafin, tego był pewien – jego zapach został niemal zagłuszony wszechobecnymi odorami chimer. Coś ścisnęło

Ziriego u podstawy czaszki. Strach. To był strach.

Co – i kogo – zastanie?

Karou frunęła korytarzami swojego pierwszego domu. Przeleciała z części chimer do serafinów. Nie wiedziała, gdzie jest Akiva, ale uznała, że go odnajdzie. W każdym razie, jeśli zechce, żeby go znalazła.

Zadrżała. Miała nadzieję, że się nie myli.

Im bardziej się oddalała od głównego wejścia, tym robiło się zimniej i wkrótce widziała już przed sobą chmurki pary. Ostatnim serafinem, którego musiała minąć, był Elyon. Kiedy myślał, że nikt go nie obserwuje, wyglądał na zmęczonego i niespokojnego. Wstrzymała oddech, aż zniknęła wszystkim z oczu, żeby jej nie zdradził.

Nie spotkała już więcej serafinów. Zebrani w sali zostali za nią. Był już tylko Akiva.

Stał w otwartych drzwiach. Czekał.

Karou na chwilę znieruchomiała. Nie była bliżej niego – i do tego sam na sam – odkąd... odkąd... Od kiedy? Od dnia, kiedy on do niej przyleciał, skryty czarem niewidzialności, tam, nad brzegiem marokańskiej rzeki, i dał jej kadzielnicę z duszą Issy. Powiedziała mu wtedy straszne rzeczy, na przykład, że nigdy mu nie ufała – co za bzdura! – i jeszcze nie zdążyła ich odszczekać.

Wciąż niewidzialna, wleciała do jaskini i zauważyła, że podniósł głowę; poznał ją. Poczowała na szyi gorący rumieniec, kiedy na nią spojrział, chociaż była wciąż niewidoczna. Taki piękny i skupiony. Czowała ogień, kiedy go mijała.

Buchając od niego tęsknotę.

– Karou? – spytał bardzo miękko.

Popchnęła drzwi, żeby je zamknąć, i zrzuciła z siebie czar.

Niemal jej ulżyło, gdy powrócił do niej gniew. Chociaż klęczała i wariowała od bliskiej obecności wrogich hams, Liraz myślała, choć bez triumfu czy radości, że oto świat znów nabrał sensu. To dlatego potwory zostawiły ją w spokoju tamtej nocy w otwartym obozie, gdy została z nimi z własnej woli. Bo wiedziały, że ich czas jeszcze przyjdzie.

Było ich tu czworo. Troje stało z wyciągniętymi w jej stronę rękami, torturując ją magią, a czwarty trzymał wielki topór o dwóch ostrzach.

Nie liczyła oczywiście tej trójki, która leżała martwa pomiędzy nimi. Zginęli tak niedawno, że ich serca nie zdołały się jeszcze zorientować i krew wciąż wytryskiwała w regularnych odstępach, jak woda z ręcznej pompy.

– Nie powinnaś była – oznajmiła liderka tej niewielkiej bandy skrytobójców, przestępując nad ciałami towarzyszy. Jej wilczy grymas nawet nie zadrżał.

Ten.

Liraz nie wiedziała, czemu miałyby się dziwić, że zaatakowała ją przyboczna Thiaga, ale jednak dziwiło ją to. Naprawdę uwierzyła, że Biały Wilk będzie od teraz honorowy? Idiotka! Zastanawiała się, gdzie on jest i czemu traci całą zabawę.

– Uwierz albo nie – przedłużała jej męki Ten – ale nie zamierzaliśmy cię zabić.

– Skorzystam z wariantu „albo nie”.

Zaczaili się na nią w ciemności i Liraz nie wątpiła, że jej życie jest w niebezpieczeństwie.

– A jednak to prawda. Chcieliśmy tylko zagrać w twoją grę.

Przez sekundę Liraz nie rozumiała, o czym ona mówi. Trudno było myśleć pod wpływem pulsowania i dudnienia magii, ale w końcu sobie przypomniała. Jej gra w bycie kolegami. „Usiłujemy rozpoznać, kogo z was zabiliśmy w poprzednim wcieleniu”. Mdłości szarpiące jej żołądkiem nasiliły się, i to nie tylko z powodu bliskości hams. Oczywiście, pomyślała. Przecież właśnie tak przewidywała. O to jej chodziło w wizji gry, która jej nie bawiła w najmniejszym nawet stopniu.

– Nie podpowiadaj – odezwała się. – Zabiłam cię raz? Czy więcej niż raz?

– Raz wystarczy – odparła Ten.

– I co teraz? Mam przeprosić?

Ten się roześmiała. Zęby zalśniły w uśmiechu.

– Powinnaś. Naprawdę. Ale ponieważ jakoś sobie nie wyobrażam, żebyś umiała przeproszać, w zamian wezmę sobie twoje trofea. Będiesz mogła bez nich wieść długie i szczęśliwe życie. Chociaż prawdopodobnie nic z tego, ale to już twoja sprawa.

Miała na myśli jej ręce. Utną jej ręce. A w każdym razie spróbują.

– No to zaczynaj – zachęciła Liraz szyderczo.

– Nie śpieszy nam się – odparła Ten.

Wam nie. Ale Liraz była z każdą sekundą kontaktu z ich hamsami coraz słabsza i na tym polegał problem. Przeklęte oczy diabła. Ich tchórzowski plan zakładał osłabienie jej, a dopiero potem zabicie.

Tak naprawdę mieli inne plany, ale trzy śmierci zadane w ciągu minuty skłoniły ich do zmiany zamiarów.

Trzy ciała. Bezsensowna utrata krwi. Liraz na nich patrzyła i miała ochotę wrzeszczeć. Czemu mnie do tego zmusiliście?

Ten się zbliżyła w obstawie dwojga Dracandów, chimera o aspekcie jaszczurzym, z wielkimi kołnierzami twardej skóry wystrzeliwującymi z ich szyj, jak jakieś groteskowe kryzy dworzan. Podnieśli ręce, a hamsy wywoływały pulsującą agonię w okolicach podstawy czaszki Liraz. Z całych sił starała się nie dopuścić, żeby drzenie zawładnęło nią całą, ale wiedziała, że dłużej nie wytrzyma. Wkrótce ich magia sprawi, że będzie się trzęsła jak paralytyk.

Potworna bezsilność rozwścieczała ją i upokarzała. Teraz, powiedziała sobie. Jeśli ma jakiegokolwiek szanse wyjścia z tego cało, musi działać. Magia trzech par znaków szturmowała jak uderzenia młotów.

Przez ból przebiła się jedna rozsądna myśl: Moje ręce też są bronią.

Zaatakowała.

Ten zareagowała i złapała ją za nadgarstek, a magia przeszła Liraz jak nigdy wcześniej. Paraliżująca słabość w ścięgnach, ciele, kościach i umyśle. Nieustająca. Mordercze fale drgawek. Rozgrzane do czerwoności. Słabość jak ataki wiatru. I gwiazdne bóstwa. Liraz była pewna, że pożrą ją żywcem. Zmieniają w proch albo w ogóle unicestwiają.

Ten trzymała ją za jedną rękę, ale Liraz miała jeszcze drugą. Przycisnęła otwartą dłoń do piersi wilczycy i wrzasnęła; ryk bez słów prosto w twarz chimery, gdy poczuła, że powstaje ogień. Pali.

I zwęgła.

Rzadkie szare futro na piersi Ten zajęło się ogniem. Smród był natychmiastowy, duszący i przeniósł Liraz do płonących zwłok w Loramendi. Niemal straciła koncentrację, ale udało jej się wytrwać i jej dłoń wtapiała się już w ciało wilczycy.

Ten się skrzywiła, a potem zaczęła krzyczeć, tak jak Liraz. Stały oko w oko, ciało w ciało i wyrzaskiwały furie i agonie prosto w twarz tej drugiej, aż inne ręce złapały Liraz i odciągnęły, a potem cisnęły nią o ścianę z taką siłą, że musiała zamrugać, żeby się wydostać z pochłaniającego ją mroku. Leżała płasko na plecach i dyszała.

Na tym się skończyła jej szansa.

Wciąż co chwila pogrążała się w ciemności i czuła ręce zaciskające się na jej ramionach, a potem zauważyła pochylające się nad nią twarze Dracandów. Mieli otwarte i syczące usta, czerwone i cuchnące. Podciągnęli ją do pozycji siedzącej, a długie rękawy stanowiły marną barierę między ich dłońmi a jej ciałem.

Jej wytatuowane ciało, tajny potworny rejestr.

Raz jeszcze stanęła oko w oko z Ten. Grymas wilczycy zniknął. Teraz cała była nienawiścią, a jej wilczy pysk marszczył się z takim okrucieństwem, że ani człowiek, ani serafin nie potrafiłby mu dorównać.

– Gra się jeszcze nie skończyła. Na razie ja wygrywam, ale jeśli ty nie masz ruchu, to żadna gra, nie sądzisz? Ja cię pamiętam, anielico. Ale czy ty pamiętasz mnie?

Liraz nie pamiętała. Wszystkie śmierci, które zadała, upamiętniane rozgrzanym nożem i sadzą przy obozowych ogniskach, były w najlepszym razie rozmazaną smugą. Ile chimier o wilczym aspekcie mogła w całym życiu zabić? Wiedzą tylko gwiazdne bóstwa.

– Nigdy nie mówiłam, że będę dobra w tej grze – wystękała.

– Podpowiem ci. – Podpowiedzią było jedno słowo, wywarczone we wściekłej nienawiści. Miejsce. – Savvath.

To słowo rozcięło pamięć Liraz i polała się krew. Savvath. Dawno temu, ale nie zapomniała. Ani wioski, ani tego, co się tam stało. Ukryła to przed sobą jak wyrwaną kartkę. Gdyby to była kartka, toby ją spaliła.

Wspomnień nie da się spalić.

Pamięć o tym, co dawno temu zrobiła konającemu wrogowi, oraz o spojrzeniach braci, o tym, jak potem na nią patrzyli. Jeszcze długo potem.

– To byłaś ty? – usłyszała swój schrypnięty głos.

Nie zamierzała się odzywać. To przez tę słabość. Nie miała jak się bronić. Poza tym... chodziło o Savvath. O ile ta gigantyczna, upokarzająca masa chimier, jakie zabiła w życiu, była rozmazaną smugą, Savvath nie. Proste słowo, Savvath, i wszystko wróciło.

Ale coś jej nie pasowało.

– To nie ty – powiedziała Liraz i machnęła ręką. – Tamten żołnierz był... – Miała zamiar powiedzieć, że aspektu lisiego, ale Ten jej przerwał.

– Ten żołnierz to byłam ja. Moja pierwsza śmierć. Wiedziałaś o tym? Zniszczyłaś moje prawdziwe ciało. To jest tylko naczyniem. Twoja gra

daje nam fory. Skąd niby miałybyś wiedzieć, jak teraz wyglądamy? Nie masz szans.

– Masz rację – zgodziła się Liraz, a zawartość jej głowy stała się kalejdoskopem z potłuczonego szkła, wszystko się kręciło i wirowało.

– No to nowa gra – zagaiła Ten kusząco. – Jeśli wygrasz, zatrzymasz ręce. Musisz tylko powiedzieć, kto kryje się pod każdym ze znaków.

Liraz wyobraziła sobie, jak mówi Hazaelowi, że rozwiązała zagadkę swojego nawracającego snu. „Jak sobie jednocześnie odciąć obie ręce?”.

„Łatwizna. Po prostu daj chimerze topór”.

Nie było szansy, żeby wygrała.

Ten spojrzała na wielkiego potwora z toporem i przywołała go, a Dracandom rzuciła:

– Podciągnijcie jej rękawy.

Posłuchali, a Liraz widziała tylko ich spojrzenia wykręcające wnętrzości. Na widok jej pełnego rejestru Ten naprawdę się skrzywiła. Złapali ją za gołe ręce i reszta skryła się w miażdżącej ciemności, jakby w lawinie popiołów. Cztery hamsy na gołym ciele. To był prawie odruch litości. Liraz ujrzała nicość, którą miała się stać. Zmierzała ku niej. Żaden serafin by tego nie zniósł. Przegapi własną śmierć, ale w gruncie rzeczy nie było to takie straszne...

Ciemność się rozjaśniła.

Czyli nie będzie litości. Ten musiała rozkazać Dracandom, że anielica ma być przytomna, bo lawina ustąpiła i Liraz patrzyła z bliska na odcisk dłoni, który wypaliła pośrodku piersi wilczycy. Powstawały czarne bąble, z których coś się sączyło, a zwęglona skóra zaczęła się łuszczyć i odsłaniać czerwone mięso. Obrzydliwe.

– No, dalej – rozkazała Ten, aż kipiąc z nienawiści. – Albo ułatwię ci. Możesz zacząć od końca. Te ostatnie na pewno pamiętasz?

Wyszeptana odpowiedź Liraz była żałosna:

– Nie chcę grać w twoją grę. – Coś w niej zaczynało się poddawać. Bicie jej serca przypominało bezradne uderzenia piąstek dziecka. Chciała być uratowana. Bezpieczna.

– Nie obchodzi mnie, czego chcesz. A zasady właśnie się zmieniły. Jeśli wygrasz, każę Rarkowi zrobić to jednym ciosem. Jeśli przegrasz... – Obnażyła zęby i kłapnęła żółtymi kłami z miną tak ostentacyjną, że nie było wątpliwości, co ma na myśli. – Więcej krwi, więcej zabawy. – Złapała Liraz za ręce i wyciągnęła je do przodu. – Zacznijmy ode mnie.

Który znak jest mój?

– Żaden – wysapała Liraz.

– Kłamiesz!

Ale to była prawda. Gdyby miała odznaczyć Savvath, kreska znalazłaby się na jej palcach, tak dawno temu to było. Ale tamtego wieczoru Hazael zbyt długo ważył w dłoniach zestaw do tatuowania i patrzył na nią zbyt przeciągle i beznamiętnie. Jakby tym, co zrobiła, zmieniła nie tylko siebie, ale i jego. A potem wepchnął zestaw z powrotem do torby i się odwrócił.

Liraz słyszała kiedyś, że jest tylko jedno uczucie, które potrafi z całą intensywnością przywołać minioną chwilę. Które nie blaknie pod wpływem czasu i nawet po wielu latach zabierze cię wprost do tamtego pierwotnego, niezmienionego, tak jakby się je przeżywało na nowo. Nie była to miłość – nie, żeby miała w tej kwestii jakieś doświadczenia – ani nienawiść, ani gniew, ani szczęście, ani nawet żałoba. Ich wspomnienia były tylko echem tamtego pierwszego uczucia.

Chodzi o wstyd. Wstyd nie słabnie, a Liraz dopiero teraz zdała sobie sprawę, że to była podstawa jej uczuciowości, tej gorzkiej, ściętej „normalności”, a jej dusza była jak zatruta gleba, z której nic dobrego nie wzejdzie.

„Jakoś sobie nie wyobrażam, żebyś umiała przeproszać”, powiedziała Ten i miała rację, ale Liraz pomyślała, że teraz by mogła. Przeprosiłaby za Savvath. Gdyby odzyskała głos. Gdyby nie wypływał z niej, wznosząc się i opadając, dźwięk, który mógł być śmiechem albo – w przypadku Liraz było to nie do pomyślenia – łkaniem.

A tak naprawdę był i jednym, i drugim. Straci rękę. Zostaną albo równo odcięte jednym ciosem, albo sposób będzie mniej przyjemny i stąd ten śmiech. To potworne i okrutne, tak, ale w zupełnie dosłownym znaczeniu było też spełnieniem jej snu.

## **Blżej to dotyk**



Na początku nikogo nie było.

Potem pojawiło się doznanie, ale nic, co Akiva mógłby nazwać. Po prostu wiedział, że już nie jest sam.

Później drzwi się zamknęły i powietrze ją wypuściło. Blask i Karou stała przed nim, jak spełnienie życzenia.

Tylko nie miej nadziei!, ostrzegł się. Nie wiesz, po co przysłała. Ale już od samego bycia w pobliżu jego skóra ożyła, a dłonie... Dłonie miały własne wspomnienia – jedwab, puls, trzepot – i własną wolę. Splótł je za plecami, żeby do niej nie sięgnąć, co nie wchodziło w grę. To, że na niego patrzyła w jaskini – jak patrzyła, przekonywał sam siebie, tak jakby już przestała się starać nie patrzeć – nie znaczyło, że chciała czegokolwiek więcej ponad tymczasowe przymierze.

– Cześć – powiedziała.

Spojrzała w podłogę, a rumieniec wypełził jej na policzki. Akiva wiedział, że oto przegrał walkę z nadzieją.

Rumieniła się. A skoro się rumieniła...

O gwiazdne bóstwa, jest piękna.

– Witaj – powiedziała cicho, trochę zachrypniętym głosem, i jego nadzieja przeszła sama siebie. Powiedz to jeszcze raz, namawiał ją w myślach. Jeśli powie, to będzie znaczyło, że pamięta świątynię Ellai i to, jak zdjęli maski balowe i zobaczyli swoje twarze po raz pierwszy od czasu bitwy w Bullfinch.

„Witaj”, powiedzieli sobie wtedy, jakby to było wyszeptane zaklęcie. „Witaj” jak obietnica. „Witaj”, oddech w oddech.

Ostatni oddech przed pierwszym pocałunkiem.

– Hm... – zaczęła i zaryzykowała spojrzenie w oczy, a potem znów spuściła głowę i zarumieniła się jeszcze bardziej. – Cześć.

Może być, uznał Akiva i poczuł, jak wszystko w nim wzbiera, gdy wchodziła krok za krokiem w głąb pomieszczenia, które dla siebie wybrał. W końcu byli sami. Mogli rozmawiać bez nadzoru towarzyszy. Jej przyjście tutaj też coś znaczyło. A to palące spojrzenie w jaskini... Nie mógł powstrzymać złudzenia, że mogło znaczyć wszystko.

Czuł się, jakby wisiał nad przepaścią i oddał linę w jej ręce. Mogła go zabić, jeśli chciała.

Rozglądała się, chociaż niewiele mogła zobaczyć. Jaskinia była mała i pusta, jeśli nie liczyć długiego kamienia pośrodku i kilku starych świec. Akiva podejrzewał, że ten kamień był niezwykły. Obrobiony precyzyjnie

niż większość kamiennych powierzchni tutaj. Gładki z ostrymi rogami, niezwykłymi w tym świecie obłości.

– Pamiętam to miejsce – odezwała się Karou nieswoim głosem. – Tutaj przygotowaliśmy zmarłych do pogrzebu.

Zrobiło mu się trochę dziwnie. Spędził tu całe godziny targany bólem. Leżał jak nieżywy, tu, gdzie tylu umarłych leżało przed nim.

– Nie wiedziałem.

Miał nadzieję, że jego obecność nie jest świętokradztwem.

Dotknęła kamienia. Stała tyłem do Akivy, a on obserwował, jak przy kolejnych wdechach jej ramiona unoszą i opadają. Niebieskie jak serce płomienia włosy splotła w warkocz. Nieporządny. Miękkie kosmyki na karku wysmyknęły się z niego i rozsypały. Dłuższe pasma niebieskości włożyła za uszy, wszystkie, z wyjątkiem jednego, które zostało na policzku.

Czuł, że jego palce chcą go odgarnąć. Włożyć jej za ucho i poczuć przy okazji ciepło jej szyi.

– Podpuszczaliśmy się, żeby tu przyjść i się położyć – dodała. – Jak byliśmy dziećmi. – Powoli okrążyła kamień i stanęła na drugim końcu, twarzą do Akivy. Stanowił barierę między nimi. Spojrzała na sufit. Był wysoko, zmierzał jakby do czubka góry, a w środku miał szyb, jak komin. – To dla dusz – wyjaśniła. – Żeby góra ich nie więziła. Tędy ulatywały w niebo. Mówiliśmy, że jak się tu zaśnie, dusza pomyśli, że się umarło i odleci. – Usłyszał śmiech w jej głosie, tuż zanim zobaczył promień na twarzy, przelotny, ale czuły. – Raz udawałam, że zasnęłam i straciłam duszę. Kazałam wszystkim jej szukać. Przez cały dzień, na wszystkich szczytach. – Teraz się uśmiechnęła, powoli, niezwykle. – Potem złapałam żywiołaka powietrza i udawałam, że to moja dusza. Biedactwo. Byłam strasznym dzikusem.

Jej twarz, ta twarz, zdał sobie sprawę Akiva, wciąż była dla niego lądem nieznanym, a uśmiech sprawiał, że wydawała się niemal obca.

Jeśli Madrigal znał przez miesiąc, noc w noc, to Karou... przez dwie noce? A może jedną, którą w większości przespał, a poza tym przez dwa postrzępione dni? Od tamtej pory były tylko spotkania pełne napięcia, gdy widział w niej wściekłość, rozpacz, strach.

Teraz była kimś zupełnie innym. Kiedy się uśmiechała, lśniła jak kamień księżycowy.

Uderzyło go z całą siłą, że przecież wcale jej nie zna. Nie chodziło

tylko o twarz. Myślał o niej jak o Madrigal w innym ciele, ale przecież była kimś więcej. Żyła zupełnie innym życiem, w innym świecie. Jak ją to mogło zmienić? Nawet nie wiedział.

Ale mógł się dowiedzieć.

Tęsknota bolała tak, jakby pośrodku piersi miał dziurę. Niczego we wszystkich dostępnych światach nie pragnął tak bardzo, jak zacząć od nowa i znów się zakochać w Karou.

– To był dobry dzień – powiedziała, wciąż pogrążona we wspomnieniach z dawnych czasów.

– Jak się udaje, że się straciło duszę? – spytał.

Zadał to pytanie beztrzesko, bo chodziło mu o dziecięcą zabawę, ale kiedy usłyszał wypowiedziane przez siebie słowa, pomyślał: Kto to wie lepiej niż ja?

Zdradzasz wszystko, w co wierzysz. Rozpacz topisz w zemście. Zabijasz i zabijasz, aż nikt już nie zostaje.

Mina musiała zdradzać jego myśli, bo uśmiech Karou znikł. Przez długą chwilę milczała, tylko patrzyła mu w oczy. Madrigal miała oczy brązowe, ciepłe. Lato i ziemia. Oczy Karou były czarne. Czarne jak nocne niebo i lśniące jak gwiazdy, a kiedy patrzyła na niego przeszywająco jak teraz, wydawały się jedną wielką źrenicą. Nocne. Niepokojące.

– Mogę ci powiedzieć, jak to jest, kiedy się ją odzyskuje – odparła. Wiedział, że już nie mówi o zabawie. – Ratujesz życia. Pozwalasz sobie marzyć. – Jej głos ucichł aż do szeptu: – Przebaczasz.

Cisza. Wstrzymany oddech. Bijące serca. Czy... czy mówiła o nim? Akiva czuł, jak świat się przechylił i popycha go naprzód, żeby znalazł się bliżej niej – bliżej to dotyk – tak jakby to było aktem docelowym, a wszystkie inne zdarzenia miały do tego tylko doprowadzić.

Spojrzała w dół, znów zawstydzona.

– Ale ty wiesz lepiej niż ja. Ja dopiero zaczynam.

– Ty? Przecież ty nigdy nie straciłaś duszy.

– Ale coś straciłam. Kiedy ratowałeś chimery, ja produkowałam dla Thiaga potwory. Nie rozumiałam, co robi. Okazało się, że to samo, za co znienawidziłam ciebie, ale ja tego nie widziałam.

– To rozpacz – odrzekł. – Gniew. Przez to robimy rzeczy, przez które sobą gardzimy. – Pomyślał jeszcze: „I mną też gardziłaś. Nadal gardzisz?” – To napęd dla wszystkiego, co nasi ludzie robili sobie nawzajem od samego początku. Przez to pokój wydaje się niemożliwy. Jak można

kogoś winić, że chce zabić mordercę swoich ukochanych? Jak można winić za to, co ktoś robi z rozpaczy?

Kiedy to powiedział, zdał sobie sprawę, jak to zabrzmiało: jakby tłumaczył swoją zabójczą spiralę rozpaczy i potworne żniwo, jakie zebrał. Wstyd aż go zmroził.

– Nie chodziło mi o mnie. Nigdy nie odpokutuję tego, co zrobiłem.

– Naprawdę w to wierzysz? – spytała. Patrzyła ostro, jakby pod wstydem szukała prawdy.

Naprawdę w to wierzył? A może miał po prostu zbyt wielkie poczucie winy, by przyznać się do nadziei, że kiedyś, jakimś cudem, będzie mógł odpokutować? Pewnego dnia poczuje, że zrobił więcej dobrego niż złego i swoim życiem nie upodlił świata bardziej, niż gdyby go nie było. Czy to była pokuta? Szale, które przechylają się pod koniec życia?

Jeśli tak, może to będzie możliwe. Jeśli będzie żył wiele lat i nigdy nie przestanie próbować, może ocali więcej istnień niż zniszczył.

A jednak w to wątpił. Uświadomił to sobie, kiedy Karou spytała.

– Tak – odparł. – Naprawdę w to wierzę. Ocaleniem jednego życia nie odpokutuje się za odebranie innego. Co będzie miał z tego zmarły?

– Zmarły – powtórzyła. – Wiele jest między nami śmierci, ale zachowujemy się tak, jakbyśmy mieli zwłoki przyczepione do kostek. A to są dusze wolne w świecie żywych. – Spojrzała na komin nad głową, jakby wyobrażała sobie te, które w swoim czasie wyprowadzał na wolność. – Już ich nie ma, nie można ich zranić, ale my ciągniemy za sobą wspomnienie o nich i robimy wszystko, co najgorsze, tak jakby wymagały, żeby je pomścić. Nie mogę mówić za wszystkich, ale wiem, że kiedy ja umarłam, nie tego od ciebie chciałam. I wiem, że nie tego chciał Brimstone ode mnie i od Eretz. – Wciąż patrzyła ostro, przenikliwie, czarno. Brzmiała oskarżycielsko, bo przecież chciała, żeby poniósł ich marzenie dalej, a nie wyniszczył jej ludzi. Ale potem dodała: – Nie podziękowałam ci za duszę Issy. I... przepraszam za to, co wtedy mówiłam... – To nim wstrząsnęło. To, że ona go przeprosza.

– Nie. – Z trudem przełknął ślinę. – Zasłużyłem na wszystko, co powiedziałaś. A nawet na więcej.

Miała w oczach litość? Irytację?

– Nie chcesz przebaczenia?

Pokręcił głową.

– Nie robię tego wszystkiego dla siebie ani z powodu nadziei na

przebaczenie.

Jednak pod spojrzeniem tych czarnych oczu musiał sam siebie spytać, czy to prawda.

Prawda i nieprawda. Bo chociaż bardzo się starał nie mieć nadziei, nadzieja trwała, niezmienna. Mógł nad nią panować w takim samym stopniu jak nad wiatrem. Ale czy dlatego działał? Bo liczył na nagrodę? Nie. Choćby miał pewność, że Karou nigdy mu nie wybaczy i nigdy go znów nie pokocha, nadal robiłby co w jego mocy – a nawet poza mocą, co umożliwiało światło *siritharu*, zakrzywiające możliwości umysłu – żeby odbudować dla niej ten świat.

Nawet gdyby musiał się wycofać i patrzeć, jak odchodzi u boku Białego Wilka?

Nawet wtedy.

Ale wówczas jeszcze nie wiedział, że nie ma żadnej nadziei. Jeszcze nie.

Wybaczam ci. Kocham cię. Chcę cię, kiedy to wszystko już się skończy. Naszego snu, pokoju i ciebie.

To Karou chciała powiedzieć i to samo usłyszeć. Nie chciała wiedzieć, że Akiva stracił nadzieję i że jego motywacją nie było już spełnienie snu, który nie polegał tylko na osiągnięciu pokoju, ale także na życiu razem. Porąbał ich sen na podpałkę? A może ona? Czy został już dawno dorzucony do ognia?

– Wierzę ci – powiedziała. Że nie liczy na nic dla siebie.

To było szlachetne, ale puste i nie zachęcało jej niewypowiedzianych słów, które jej ciążyły i trzymały się kurczowo. Jak można powiedzieć „kocham cię” tak w powietrze? Te słowa potrzebowały otwartych ramion, które na nie czekały. Przynajmniej jej nieprzećwiczone „kocham cię” ich potrzebowało. Całe miesiące spędziło wciśnięte w ciemną dziurę w jej furii i straciło naturalny kształt, a ona nie mogła tego teraz powiedzieć, tak jak nie mogła dotknąć twarzy Akivy i go pocałować.

Pocałować. Wydawało jej się to zupełnie niemożliwe.

Jej oczy wykonały kolejny taniec wstydliwych zerknięć i rejestrowały Akivę tylko w urywkach. Jego nieruchoma twarz i spojrzenie na kamienne łóżko albo na swoje dłonie. Ale każdy obraz zapisywała w pamięci. Złota skóra, pełne usta, napięta, udęczona twarz i... odwrócony wzrok. Tam, w jaskini, jego spojrzenie docierało do niej jak promienie słońca. Teraz się

odwracało, powściągliwe i chłodne. Karou chciała znów poczuć słońce. Ale kiedy podniosła oczy znad niespokojnych dłoni, Akiva patrzył w kamienny blat.

Wydawało się, że jedyną ciekawą sprawą między nimi był ten gład.

No cóż. Nie przyszła tu tylko po to, żeby powiedzieć „kocham cię”. Miała też inne rzeczy do załatwienia. Wzięła głęboki wdech i zaczęła:

– Muszę ci coś powiedzieć.

Znów podniósł wzrok. Jakaś nowa nuta w jej głosie postawiła go na baczność. Wahanie, ton zaczepki. Już nie musiał się starać panować nad nadzieją. Nadzieja zniknęła.

Co powie?

Teraz jest z Białym Wilkiem. Przymierze było pomyłką. Chimery odlatują. Już nigdy jej nie zobaczy.

Chciał wypalić, że on też ma coś do powiedzenia, i powstrzymać ją od wygłoszenia tych słów, jakkolwiek miały zabrzmieć. Chciał jej opowiedzieć o nowej magii, jeszcze niesprawdzonej, i poprosić o pomoc. Na to liczył, jeśliby zechciała przyjść. Chciał pokazać, co może dać ich armiom, nawet jeśli nie im dwojgu.

„Wszystko się zmienia. Wszystko można zmienić, jeśli się chce”.

„Nawet światy. Może”.

– Chodzi o Thiaga – zaczęła, a on poczuł lodowaty dotyk końca.

Oczywiście, że chodziło Wilka. Wiedział już, kiedy zobaczył ich roześmianych, nachylających się ku sobie, ale jakaś część jego umysłu to wypierała, to było nie do pomyślenia. A potem na niego patrzyła, przez całą jaskinię, na niego!, i miał nadzieję...

– On nie jest tym, za kogo go masz – dodała, a Akiva już wiedział, co będzie dalej.

Był gotowy.

– Ja go zabiłam – szepnęła.

Zaraz.

– Co?!

– Zabiłam Thiaga. To nie on. To znaczy: to nie jego dusza. – Odetchnęła głęboko, niepewnie i mówiła dalej: – Jego duszy już nie ma. Nie ma go. Nie chciałam, żebyś myślał, że ja... że on... że mogłabym mu kiedykolwiek przebaczyć albo... – Błyskawiczne spojrzenie i jakby

przeczytała jego myśli: – ...albo się z nim śmiać. – Stanowczo pokręciła głową. – Nigdy. On by zabił ciebie i Liraz tam w kasbie.

– Zaczekaj – przerwał jej Akiva, który próbował nadażyć. – Czeka. – Co ona mówi?. Jej słowa nie miały sensu. Wilk nie żyje?. Wilk nie żyje, a ktokolwiek chodzi w jego skórze, podając się za niego, to nie on? Akiva wpatrywał się w Karou. Od tej myśli kręciło mu się w głowie. Nawet nie wiedział, o co pytać.

– Chciałam ci powiedzieć wcześniej, ale muszę być ostrożna. To wszystko jest takie chwiejne. Nikt nie wie. Tylko Issa i Ten. Bo Ten też nie jest naprawdę Ten. Ale gdyby reszta się dowiedziała, stracilibyśmy ich o, tak – oznajmiła i pstryknęła palcami.

Akiva wciąż próbował pojąć podstawowe kwestie.

– Nie posłuchają nikogo, poza Thiagiem. W każdym razie jeszcze nie. To było jasne, że go potrzebujemy. I armia, i nasi ludzie, ale... Potrzebowaliśmy lepszej wersji jego.

Lepszej.

Akiva przypomniał sobie Wilka, z którym negocjował przymierze. Inteligentny, władczy i racjonalny, tak wtedy myślał, nie mając pojęcia, dlaczego tak jest.

Wreszcie wszystkie elementy układanki trafiły na swoje miejsca i zrozumiał. Jakimś cudem Karou wlała do ciała Wilka inną duszę.

– Ale kto? – spytał. – Kto to jest?

Zobaczył na jej twarzy cień żalu.

– To Ziri – odparła, a kiedy nie zareagował na imię, dodała: – Ten Kirin, któremu ocaliłeś życie.

Młody Kirin, ostatni z plemienia. A więc nie umarł. Nie do końca.

– Ale... jak? – dopytywał.

Nie był w stanie wyobrazić sobie łańcucha wydarzeń, które mogły doprowadzić do takiego końca.

Karou przez chwilę milczała, była gdzieś daleko.

– Thiago mnie zaatakował – wyznała i podniosła rękę do policzka.

Był spuchnięty i otarty, już kiedy przylecieli z Liraz do Maroka, niosąc między sobą ciało Hazaela. Teraz prawie całkiem się zagoił. Przez chwilę wydawało się, że powie coś więcej, ale nie. Zacisnęła usta, żeby zamaskować drzenie, a Akiva przypomniał sobie furję, jaką odczuł, gdy zobaczył ją w takim stanie. Pamiętały jego pięści, serce i wnetrzności. I to nieuchwytnie czułe spojrzenie, jakie wymieniła z Wilkiem tamtego

wieczoru w kasbie. Teraz wszystko nabrało sensu.

Ale wcale go nie uspokoiło.

– On mnie zaatakował, więc go zabiłam – kontynuowała. – I nie wiedziałam, co dalej. Byłam pewna, że jeśli pozostali nas znajdą, zmuszą mnie do wskrzeszenia go, a ja bym nie dała rady. Jeśli już wcześniej było źle, to jak by było potem? Nie wiem, co bym zrobiła... – Przerwała.

Po chwili podniosła wzrok, znów jasny i skupiony na nim. Niemożliwe, ale się uśmiechnęła. To nie był jasny, pełny uśmiech jak ten ostatni. Znów inny rodzaj; uśmiech niewielki, nagły i zaskoczony.

– Chociaż tyle o tobie myślałam, aż do teraz nie rozumiałam, że wszystko się sprowadza do ciebie.

– Do mnie? – spytał z niedowierzaniem.

– Ty mi przyniosłeś Issę i Ziriego – wyjaśniła. – Gdyby nie ty, nie miałabym nikogo po swojej stronie i żadnej szansy.

Znów ciężar jej słów i wdzięczności wywołał w Akivie najgłębszy wstyd.

– Gdyby nie ja, Karou, miałabyś po swojej stronie znacznie więcej osób. – Znacznie więcej. Ile dusz kryło się w tych słowach? Całe Loramendi. Tysiące, a po nich kolejne.

– Przestań – powiedziała wściekła. – Mówiłam poważnie o przebaczeniu. To jedyny sposób, żebyśmy ruszyli naprzód. Kiedy Wilk był jeszcze Wilkiem, próbowałam mu wytłumaczyć, że jego droga prowadzi do śmierci. Nie słuchał. Nie mógł. Był zbyt zaślepiiony. A kiedy go przekonywałam, w swoich ustach znajdowałam twoje słowa i wiedziałam, że jakkolwiek daleko byś odszedł, to byś wrócił. I... to mi pomogło wrócić do siebie.

Jego słowa? Teraz mu zabrakło słów. To, co usłyszał, nijak nie przypominało tego, czego się bał. Nie miał pojęcia, co myśleć.

– Powiedziałaś, że od nas zależy, czy chimery będą istniały – przypomniała mu. – I to nie było tylko gadanie. Ocaliłeś życie Ziriemu. Gdybyś tego nie zrobił, nie byłoby nas tu. Ty byłbyś martwy, a ja... – Nie dokończyła. Jej twarzą znów zawładnął cień, a Akiva zaczął sobie wyobrazać, co kryło się w określeniu, że Thiago ją zaatakował.

Wściekłość prawie go oślepiła. Musiał się z nią uporać, oddychać spokojnie i przypomnieć sobie, że obiektu wściekłości już nie ma. Thiaga nie można ukarać. Ale jeśli odniosło to jakikolwiek skutek, to tylko taki, że furia rozgorzała w nim żywiej.



– Nie było mnie, nie mogłem cię bronić. Nie powinienem był cię z nim zostawić...

– Sama się obroniłam – wtrąciła. – Pomocy potrzebowałam dopiero potem, a wtedy miałam Ziriego. W rezultacie jesteśmy tutaj, wszyscy. To ci chcę powiedzieć.

Cień już zniknął; w jej oczach jaśniały łzy i uśmiechała się z wdzięcznością. Akiva wściekł się na siebie, bo przyłapał się na rozważaniu, do kogo ta jasność i wdzięczność jest skierowana.

Przypomniał sobie bliskość między nią a „Wilkiem” wtedy w kasbie, i to, jak się śmiali dzień wcześniej.

O, gwiazdne bóstwa! Przecież gdyby Wilk był Wilkiem, on już by nie żył, a tak może tu być i zastanawiać się, czy ten „inteligentny, władczy, racjonalny” Thiago, czyli odważny Kirin, najbliższy sprzymierzeniec Karou, nie jest większym zagrożeniem dla jego nadziei niż tamten morderca i sadysta. Armie szykowały się do odlotu, a on się martwił, kogo kocha Karou?

– Ale i to jeszcze nie koniec – mówiła dalej. – Przyniosłeś mi Issę. I nawet nie wiesz, jak wiele razem z nią. To naprawdę było coś wielkiego. – Oczy miała świetliste i jak w czarnych lustrach odbijały się w nich płomienie jego skrzydeł. – Wciąż jest Loramendi. To... może nie odkupienie, nie całkiem, ale na pewno początek. Albo to będzie początek, jeśli tam dotrzemy.

I opowiedziała mu o katedrze.

Ta wieść była tak niezwykła... Akiva nie wiedział, jak zareagować, a po jego przyziemnych zmartwieniach nie zostało nawet śladu.

Brimstone miał ukrytą pod miastem katedrę. Akiva jej nie znalazł, gdy w oszołomieniu krążył wśród ruin, bo została spalona. Wejścia zapadły się i zniknęły, ale w środku przetrwały zahibernowane dusze. Niezliczone. Kobiety, dzieci... Dusze tysięcy chimery, które dawały nadzieję na odrodzenie.

Wtedy, w Maroku, powiedział Karou, że zrobiłby wszystko, umarłby za każdą zgłodzoną chimere, gdyby to mogło przywrócić je do życia. Mówił to jednak z przeszywającym przekonaniem, że to puste słowa, bo nie może zrobić nic, żeby tego dowieść. Ale teraz... już mógł.

– Pomogę ci – oznajmił natychmiast. – Proszę cię. Tyle dusz, nie dasz rady sama.

Mówiła, że to nie będzie odkupienie? Nigdy by nie pomyślał, że może

znaleźć się tak blisko odkupienia. A do tego było cudowne, przewiązane kokardą jak prezent, zawierający, czego najbardziej w życiu pragnął. Ten jeden raz wstyd nie wkroczył do akcji. Akiva chciał tego, co zawsze, i postanowił to oznajmić, nie zważając na strach i obawy. Dowie się, kogo ona kocha, jego, Wilka czy nikogo.

– Chcę tylko tego ...być obok ciebie, pomagać ci. Jeśli to zajmie wieczność, tym lepiej, bo to będzie wieczność z tobą.

Kamienny stół wciąż ich rozdzielał, ale dla uśmiechu, który mu posłała, nie było przeszkód. To znów jakiś nowy gatunek i Akiva pomyślał, że mógłby z nią spędzić tysiąc lat – tak, proszę! – i wciąż odkrywać nowe typy uśmiechów. Ten był aż nieznośny, słodki jak muzyka i ciężki jak łyż. Jej napięcie, nieufność i niepewność przetapiały się w światło.

W tym uśmiechu było serce, całe dla niego.

– Dobra – odparła. Cicho, ale to słowo było jasne i namacalne jak coś, po co można sięgnąć i zamknąć w dłoni.

Dobra. Ale dobra co? Że może jej pomóc? Czy dobra, że zawsze?

Dobra.

Gdyby to mógł być koniec. Albo początek. Gdyby mogli teraz polecieć we dwoje do Loramendi. I żeby zawsze zaczęło się teraz. Ale oczywiście nie mogło tak być. Karou znów się odezwała, nadal cicho, jasno i namacalnie, ale o ile „dobra” było szczere, ciepłe od słońca i gładkie jak kamień wypolerowany przez wodę, te słowa miały kolce:

– Jeśli dożyjemy.

## Przeciwieństwo przetrwania

Ziri stanął w progu. Wystarczył rzut oka i już wiedział, co się dzieje.

Trzech jego żołnierzy leżało martwych. Oora, Sihid i Ves. Zmarnowane ciała, zmarnowany ból i kolejna krew, przez którą trzeba przejść. Byli też żywi: choćby Rark, największy, z wielkim toporem lśniącem w mroku, ale

Ziri spojrział od razu na Liraz. Jej skrzydła ledwie się tliły. Konała, a jednak wciąż była najjaśniejsza w pomieszczeniu. Trzęsa się i była biała jak kreda, miała pusty wzrok i umęczone oczy. A jednak... śmiała się? Płakała? Co za straszny dźwięk. Pokonały ją chimery. Podtrzymywały ją w pozycji siedzącej i tylko ich uścisk mógł ją utrzymać w pionie, zabijając.

Czy dotyk hams mógł zabić serafina? Wystarczyło jedno spojrzenie na Liraz, żeby się przekonał, że tak. Ale nie tak zamierzali ją zabić. Siłą naprężali jej ręce i Ziri od razu zrozumiał.

Rark. Topór. Chcą jej odciąć dłonie.

Ale na razie topór spoczywał na potężnym ramieniu, a... Wszystko składało się w całość. Dźwięk, widok, smród. Charczenie. Ślina spływająca z żółtych kłów, triumfalny warkot. Ten.

Poczuł się, jakby oberwał w żołądek. Stracił oddech. To była Ten. O Nitid, Ellai, tylko nie to! Ze wszystkich żołnierzy, których miał pod sobą, akurat jego towarzyszka w oszustwie, w konspiracji! Ta, która znała jego tajemnicę.

Szykowała się do skoku. Chociaż ciało miała bardziej ludzkie niż wilcze, jak wilk wygięła plecy w łuk i spuściła głowę. Futro zjeżyło się jej na ramionach i warczała z głębi gardła jak zwierzę. Warkot było w równym stopniu czuć, co słyszeć. Pokój cuchnął krwią, wilgocią i spalenizną. Było gorąco, ciasno i śmiertelnie. Ciało, zemsta i brak odwrotu. Ziri wiedział, co Ten – Haxaya – zamierza zrobić.

– Dość. – Przemówił głosem Wilka, gładkim i lodowatym jak żelazo, ale podszytym przerażeniem, które należało do Ziriego.

Na Wilku ta scena nie zrobiłaby wrażenia. On przecież ostrymi kłami rozrywał anioły na strzępy. Kiedy bezpośrednie zagrożenie minęło i Ten się odwróciła, Ziri nie rozumiał, dlaczego aż tak się przestraszył. On nie zabijał zębami, ale walczył u boku chimer, które raziły dziobami, szponami, rogami, ostrymi ogonami i całym arsenałem, jakim dysponowały. Kiedy się stało naprzeciwko wszechmocnych serafinów, walka była konieczna, żeby przetrwać. Ale tu nie chodziło o przetrwanie. Tylko o jego przeciwiństwo.

Na szali leżało przymierze, oczywiście, ale mistyfikacja także. Bo to była Ten.

Ten, a więc Ziri stał w miejscu i milczał. Rark i Dracandowie błyskawicznie się do niego odwrócili, a Nisk i Lisseth tłoczyli się za nim.

To była Ten, więc nie wiedział, co powiedzieć. Czuł, że Haxaya patrzy na niego żółtymi wilczymi ślepiami i nie było w niej strachu, tylko przebiegłość i okrutne zadowolenie.

No, dalej, mogła równie dobrze powiedzieć. Ukarz mnie, a ja ukarzę ciebie. Kłamco.

Serce mu waliło. Próbował je uspokoić. Członkowie plemienia Naja odpowiednio zinterpretują ciepło wydzielane przez jego ciało, jak to żmije. Nisk i Lisseth wyczują jego wzburzenie, a Thiago z całą pewnością nie padał ofiarą wzburzenia. Zmusił się do przybrania zasadniczej miny Wilka: cynicznej i znużonej.

– Co to ma znaczyć, poruczniku? – spytał cicho i ze śmiertelnym spokojem.

Rark wzdrygnął się, zaskoczony, a Dracandowie, Wiwul i Agwilal, odwrócili zakapturzone głowy w stronę Ten. Oczywiście, powiedziała im, że to rozkaz generała, a oni nie mieli powodu, żeby nie wierzyć. Była jego zastępczynią, najbardziej zaufanym porucznikiem.

Już nie.

– To zemsta – odparła, nie dodając obowiązkowego „panie”. Wyrażało to skrajny brak szacunku i, jak wiedział, ostrzeżenie. – Na okrutnym aniele. Spójrz na jej ręce.

Spojrzał i aż go zemdliło od tego, co zobaczył. Jej wstrząsający rejestr. Ale i jej męka. Nie znał Liraz. Była piękna, ale co z tego? Większość serafinów odznaczała się urodą. Była też porywczym wojownikiem, a w pełni sił niczym nie ustępowała Ten pod względem okrucieństwa. Widział ją też zdruzgotaną i zrozpaczoną, gdy trzymała w ramionach ciało brata. Wtedy okrucieństwo gdzieś się rozmyło i odsłoniło skrywającą się pod nim dziewczynę. Zobaczył w niej coś więcej.

Ku jego zaskoczeniu zapytała o niego, wtedy w kasbie. O Ziriego. Zauważyła jego nieobecność. Zdumiało go, że w ogóle wiedziała o jego istnieniu. A potem, kiedy powiedział, że kiriński żołnierz nie żyje, zobaczył – i to na pewno – błysk smutku w jej oczach. Przelotny i unicestwiony, jak coś, co niechcący wyrwało się na wolność i zostało natychmiast schwytane.

Ale oczywiście nie dlatego nie mógł pozwolić swoim żołnierzom na zabicie jej albo okaleczenie w tej ustronnej jaskini. Były inne, znacznie donioślejsze powody niż prywatne. Chyba właśnie wzbierała w nim furia, lodowata jak wściekłość Wilka – przynajmniej tak ją sobie wyobrażał –

maskująca wzburzenie pod warstwą niepodlegającej dyskusji konieczności. Bicie jego serca przypominało teraz miarowe uderzenia ciężkiego młota.

– Puśćcie ją – rzucił i zerknął w jej stronę zupełnie obojętnie. Pod trzepoczącymi powiekami widać było już tylko białka. Balansowała na krawędzi przytomności. Albo życia. – Inaczej będzie martwa, zanim zdążycie się wytłumaczyć.

Wiwul i Agwilal puścili ją natychmiast i byłaby upadła na ścianę, gdyby Ten cały czas nie trzymała jej za nadgarstki. W obecności innych zignorowała jego bezpośredni rozkaz. Rzuciła mu wyzwanie.

– Wytłumaczyć się? – spytała z szyderczą niewinnością podszytą jadem.  
– A co z tobą, panie? – To było gorsze niż brak tytułu, afront, którego prawdziwy Wilk by nie zniósł. – Może ty też się wytłumaczysz?

Słyszał, jak Nisk albo Lisseth za jego plecami głośno wciągnęli powietrze, zszokowani jej bezczelnością. Rark gapił się z otwartą gębą, a Ziri nie musiał się nawet zastanawiać, co by zrobił Thiago. Wiedział i przypominało to ślizganie się w krwi. Jeden ślizg i już. Jesteś w niej cały. Krew jest twoim życiem. Ale jaki miał wybór?

Był bardziej świadomy wszystkiego. Nienaturalnej siły tego pożyczonego ciała, groźby i zła w oczach Ten oraz ciężaru przyszłości, która zwali się na nich wszystkich, jeśli ona go wyda.

Jak mogła być taka głupia?

Mgnienie, ułamek błyskawicy i już był przy niej. Położył ręce na jej głowie, jedną z tyłu, a drugą na pysku.

I skręcił jej kark.

Nawet nie zdążyła się zdziwić. Rozległ się dźwięk – nie trzask, tylko odgłos kruszenia i seria wystrzałów jak z petardy – i oczy jej zgasły. Już nie było zła, groźby, ryzyka, a chociaż jej ciało zwiotczało pewnie w ciągu sekundy, jemu się wydawało, że trwało to całe wieki. Upadała i upadała. Puściła wreszcie ręce Liraz, która też się przewróciła. Uderzyła policzkiem w kamień, jakby dawno już straciła poczucie pionu i poziomu. Ziri zdusił grymas wywołany jej upadkiem i zmusił się do zignorowania jej. Skrzydła ledwie się już żarzyły i tylko drżenie świadczyło o tym, że wciąż żyje.

Staął twarzą do żołnierzy i mówił tak, jakby nic się w tym czasie nie stało:

– Nie, ja się nie będę tłumaczył.

Spojrzał na nich wyzywająco, jakby czekał na następnego śmiałka. Pierwszy odezwał się Rark:

– Panie, my... Ten powiedziała, że to pana rozkaz. My byśmy nigdy...

– Wierzę, żołnierzu – wtrącił.

Rarkowi wyraźnie ulżyło. Ale za wcześnie było na ulgę.

– Wierzę, że sądziłeś, że ja byłbym tak głupi. – Ostatnie słowa wycedził przez zaciśnięte zęby. – Za kilka godzin wyruszamy garstką wojowników na bitwę, a ty uważasz, że pozbawiłbym moją armię siły, kiedy najbardziej jej potrzebuje? – Wskazał ręką na zwłoki, przez które przestąpił w progę. – Że zmarnowałbym ciała, za które inni zapłacili bólem? Że zaryzykowałbym plany? I po co? Dla jednego anioła? Myślałeś, że jestem tak głupi i zaryzykuję wszystko, zamiast poczekać ledwie kilka godzin i zaatakować tysiąc aniołów, będących prawdziwym zagrożeniem? Czy mam się z tą myślą poczuć lepiej?

Nikt mu nie odpowiedział, a on pokręcił głową powoli i z obrzydzeniem.

– Rozkaz, który wykonaliście, stał w sprzeczności z każdym innym rozkazem, który usłyszeliście z moich ust. Gdybyś był w stanie myśleć o czymkolwiek więcej niż o własnym żołądku, zakwestionowałbyś go. Zrobiłeś to, bo chciałeś. Może wszyscy tego chcemy, ale niektórzy z nas są panami swoich pragnień, a inni ich niewolnikami. Spodziewałem się po tobie więcej.

Żeby Lisseth nie poczuła się oczyszczona z zarzutów, zwrócił się też do niej:

– To niewielka pociecha, że Ten nie zaprosiła cię do swojej krucjaty, do której, jak mi wyraźnie dałaś do zrozumienia, z radością byś przystąpiła. Unikniesz wyroku swoich towarzyszy, ale oboje wiemy, że ocalił cię przypadek, nie rozważa.

Na wspomnienie o wyroku Rark, Wiwul i Agwilal zeszywnieli, a Ziri przez dłuższą, potworną chwilę milczał, zanim wyjawiał im ich los:

– Straciłem do was zaufanie i pozbawiam was wszystkich stopni wojskowych. Weźmiecie udział w bitwie, ale jeśli przeżyjecie, będziecie składać ofiarę z bólu przy wskrzeszaniu waszych towarzyszy, tak długo, aż uznam, że odpokutowaliście. Rozumiemy się?

– Tak jest! – odparli, Nisk i Lisseth też, pięć głosów zlewających się w jeden.

– Więc zejdźcie mi z oczu i zabierzcie tych troje ze sobą. – Oorę, Sihd,

Ves. – Zabezpieczcie ich dusze, pozbądźcie się ciał i czekajcie na mnie w jaskini wskrzesiciela. Nie mówcie nikomu, co się tu stało. Czy wyraziłem się jasno?

Znów odpowiedział chór, że tak.

Ziri przywołał na twarz wyraz znudzenia, a subtelne skrzywienie ust świadczyło o niesmaku.

– Tymi dwiema ja się zajmę.

Czyli Ten i Liraz. Jedną żywą, drugą martwą. Powiedział to ponuro i zostawił im pole do wyobrażenia sobie, co z nimi zrobi. Złapał Ten za porośniętą futrem szyję, a Liraz za rękę, ostro, ale tak, żeby między jego a jej skórą znajdował się podciągnięty rękaw. Chciał, żeby pomyśleli, że będzie je ciągnął korytarzem jak nic nieznaczące śmieci. Nie miał już jak trzymać pochodni, ale dzięki gasnącemu blaskowi skrzydeł Liraz nie potrzebował więcej światła.

Jeśli ona umrze, zapadnie ciemność.

Ale to i tak będzie najmniejszym z jego zmartwień.

– Jazda! – warknął i żołnierze schylili się po ciała, złapali je i pociągnęli za sobą, zostawiając na kamiennej podłodze ślady krwi.

Dopiero, kiedy zniknęli, poprawił uchwyt i bez trudu, delikatnie podniósł Liraz jedną ręką. Czuł, że to złe i stanowczo zbyt intymne, przyciskać jej ciało do swojego. Nie swojego, wzdrygnął się. Dbał o przestrzeń między nimi, chociaż było to niewygodne, zwłaszcza że kiedy ruszył do drzwi, starał się nie skrzywdzić jej jeszcze bardziej swoimi hamsami.

Poprawiał właśnie chwyt na ciele Ten, bo wchodzili w zakręt, kiedy głowa Liraz opadła i osunęła się na jego głowę, na bok twarzy od brwi do szczęki, i Ziri po raz pierwszy poczuł gorączkowe ciepło serafińskiej skóry. Zaraz potem się odsunął i wciągnął w nozdrza zapach, który czuł dotychczas z daleka. Korzenna nuta była jasna i jak wybuch płomienia prowadziła do aromatów znacznie subtelniejszych, nieoczekiwanych, tajemniczych, ale naturalnych – nie miał co do tego wątpliwości. Do perfum tak delikatnych, że Kirin nie byłby w stanie ich wychwycić nawet z bliska. Prawie ich właściwie nie było, a iluzja obecności podsuwała myśl o nocnych kwiatach – nie za słodkich, takich akurat, jak rosa na pączkach mrocznych drzew w najciemniejszej godzinie świtu.

Ziri patrzył prosto przed siebie, nie nachylił się, żeby poczuć więcej, ale mimo to, kiedy szedł w ciemności, ciągnąc za sobą zwłoki i niosąc

anioła, który prawdopodobnie przywali mu za to, jak tylko dojdzie do siebie – jeśli dojdzie do siebie – ten sekretny zapach przypomniał mu o pazurach na końcach jego palców, o kłach i o całej reszcie, która sprawiała, że nie był sobą. Nosił skórę potwora i wydawało mu się świętokradztwem nawet wdychanie zapachu kobiety, nie mówiąc już o dotykaniu jej.

Ale niósł ją i oddychał – bo przecież nie mógł przestać – i dziękował Nitid, bogini życia, oraz Lisseth, której intencje nie były ani trochę czyste, ale jednak doprowadziły go tutaj na czas. Żałował tylko, że nie stało się to wcześniej i nie ocalił jej przed obrażeniami wewnętrznymi, których mogła doznać pod wpływem hams. Czy da radę polecieć razem z resztą za te kilka godzin? Wątpliwe. Gdyby tylko mógł coś dla niej zrobić...

Jak tylko ta myśl sformułowała się w jego głowie, doszedł do rozstaju korytarzy i uświadomił sobie, gdzie jest. Mógł dokończyć myśl. Gdyby tylko mógł coś dla niej zrobić, zrobiłby.

Było coś takiego. Więc to zrobił.

Odwrócił się i skręcił w węższy korytarz, a ciało wilczycy porzucił u wejścia do jaskini ze źródłami. Uzdrowiające wody. Może działały tylko na zadrapania i rany? Nie wiedział. Musiał ją unieść obiema rękami, żeby wejść z nią do basenu, a kiedy włożył ją do wody, zapanowała ciemność i na moment wpadł w panikę, że jej skrzydła się wypaliły.

Ale nie. Ledwo dostrzegalny blask rozświetlił wodę. Jej ogień wciąż płonął jak rozżarzone węgielki. Rozluźnił ręce i prawie jej nie dotykał, trzymał tylko ramię pod jej głową, żeby nie zanurzyła twarzy. Wpatrując się w jej wargi i powieki, czekał na najmniejszy choćby ruch. I... tak powoli, że początkowo wcale nie zauważył, podwodny blask pojaśniał, a gdy Liraz w końcu się poruszyła, widział już nie tylko kredowo-zieloną powierzchnię wody i kosmyki różowego mchu zwisające z sufitu, ale także rumieniec na anielskich policzkach i ciemnozłoty odcień jej rzęs, które zatrzepotały. Później otworzyła oczy. I spojrzała na niego.

Przypomniał sobie ich rozmowę w kasbie. „My się chyba nie znamy?“, zaczął, na co ona, jak zawsze wściekła, odpaliła: „Dobrze wiesz, kim jestem, a ja znam ciebie. Na tym poprzestaniemy”.

Ale nie wiedziała. A on chciał to zmienić.

– My się chyba nie znamy – powiedział jeszcze raz, kiedy stanęła na dnie basenu. – Nie do końca.



# Ciastko będzie później

Jeśli dożyjemy.

Nie to chciała powiedzieć. Zupełnie nie to. Tak naprawdę nie chciała nic mówić. Akiva stał naprzeciw niej za kamiennym blatem, oczy miał pełne wieczności, a ona chciała tylko wleźć na ten kamień i spotkać się z nim w połowie drogi. Ale niby czemu miałyby dostawać to, czego chciała? Akiva chciał z nią spędzić wieczność? W jej wnętrzu to brzmiało... jak wybuchy na słońcu i grzmoty. Ale przypominało też ciastko, które w zasięgu wzroku czeka na później. Kpina.

Zjedz obiad, a będziesz mogła zjeść ciastko. Jeśli nie umrzesz.

– Dożyjemy – zapewnił uroczyście i z przekonaniem. – Przeżyjemy to. Wygramy.

– Chciałabym być równie pewna – odparła, a w głowie miała tylko pojedyncze słowa: armie, anioły, portale, broń, wojna.

– Bądź. Nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego. Po tym wszystkim i... Teraz już nie spuszczę z ciebie oka. – Po chwili, w obliczu jej słodkiego i wstydliwego rumieńca, tak jakby wciąż nie dowierzał, że dobrze interpretuje jej sygnały ani że to jest tym, na co liczył, dodał: – Jeśli tylko chcesz mnie przy tobie.

– Chcę mnie przy tobie – odparła natychmiast. Usłyszała, jak niegramatycznie to wyszło, to „mnie przy tobie”, ale nie poprawiła się. Bo tego właśnie chciała. – Ale nie mogę być z tobą. Jeszcze nie. To już postanowione. Oddzielne bataliony, pamiętasz?

– Pamiętam. Ale ja też chciałbym ci coś powiedzieć. A jeszcze lepiej pokazać. Myślę, że to może pomóc.

A potem usiadł na kamieniu i przesunął się do środka. Skinął na nią, żeby dołączyła.

Podeszła i czuła, jak robi się cieplej. Już nie było między nimi żadnej bariery. Usiadła, podkuliła pod siebie nogi – kamień był zimny – i zaczęła się zastanawiać, o co mu chodzi. Na pewno nie o echo jej pragnień. Nie dotknął jej, tylko się przyglądał z niezdecydowaną zapalczewością.

– Myślisz, że chimery zgodziłyby się na mieszane bataliony? – spytał.

Co?

– Gdyby Thiago im kazał, to tak. Ale co za różnica? Twoi bracia i

siostry się nie zgodzą. Dali to wyraźnie do zrozumienia.

– Wiem – odparł. – Z powodu hams. Bo macie broń, wobec której jesteśmy bezradni.

Skinęła głową. Ona swoje hamsy przycisnęła do blatu. Wchodziło jej już w krew skrywanie ich w obecności aniołów, żeby nie doszło do choćby przypadkowego ataku, ale to i tak niewiele.

– Nasze dłonie są wrogami, nawet jeśli my nimi nie jesteśmy – stwierdziła lekko, choć jej serce było ciężkie. Nie chciała, żeby jakakolwiek jej część była wrogiem Akivy.

– A gdyby nie były? – dociekał. – Myślę, że mógłbym przekonać Bastardów do połączenia. To ma sens. W walce jeden na jednego członkowie Dominium nie mieliby z nami szans, ale to nie będzie pojedynek. I nawet jeśli nie zdobyli jeszcze żadnej nieznannej broni, i tak jest nas za mało. Chimery w naszych szeregach nie tylko wzmocniłyby nas, ale i osłabiły wroga. Mielibyśmy też przewagę psychologiczną. Jak zobaczą nas razem, będą dezorientowani. – Zamilkł na chwilę. – Nie da się lepiej wykorzystać naszych dwóch armii.

O co mu chodziło?

– Może lepiej porozmawiaj o tym z Elyonem albo Orit – zasugerowała.

– Porozmawiam. Jeśli ty się zgodzisz i jeśli to zadziała.

– Ale co?

Wciąż wpatrywał się w nią z tą samą niezdecydowaną zapalczywością i bardzo powoli wyciągnął rękę. Jednym palcem, ledwie muskając skórę jej policzka, zahaczył kosmyk włosów i schował za ucho. Ten delikatny dotyk zaiskrzył, a potem zapłonął, a iskra i płomień zmieniły się w wyrazistszy, pełniejszy ogień, kiedy dotknął jej policzka całą dłonią. Oczy miał żywe, pełne nadziei, czujne, a dotyk był subtelny i smakował jak... ciastko, którego Karou nie mogła zjeść. To było coś więcej niż kpina. To tortura. Chciała odwrócić twarz i pocałować wewnątrz jego dłoni, a potem nadgarstek i iść szlakiem jego pulsu aż do źródła.

Do serca.

Do jego potężnej piersi. Jego ramiona zamykające się wokół niej, tego chciała i... jeszcze ruchu, który odpowiada na ruch, skóry na skórze i potu, ognia, oddechu, westchnień. Boże. Zgłupiała od tego dotyku. Wyjął ją z prawdziwego życia, oderwał jej myśli od armii, aniołów, portali, broni, wojny i zabrał do rajy, wymyślonego dawno temu, który jak szkatułka z biżuterią czekał, aż go znajdą i wypełnią szczęściem.

Marzenie. Nawet jeśli uda im się ta wieczność, to nie będzie raj, tylko targany wojną świat, w którym wielu rzeczy trzeba się będzie nauczyć i odczytać. Będzie praca do wykonania, ofiary z bólu do złożenia i... i... ciastko, pomyślała krnąbrnie Karou. Gdzieś tam przecież będzie życie. Akiva każdego dnia, i praca, i ból, tak, ale i miłość.

Ciastko jako sposób na życie.

Odwróciła twarz i przycisnęła usta do jego dłoni. Poczowała jego dreszcz i wiedziała, że są bliżej, niżby wskazywała odległość fizyczna równa długości jego ręki. Jak łatwo było się zatracić w tym małym i tymczasowym rajku...

– Pamiętasz? – spytał. Miał zachrypnięty głos. – To jest początek. – Zjechał z jej policzka na szyję. Ogień i magia, rozpalające każdy atom, jaki miała w sobie. Zatrzymał się na obojczyku, a jego dłoń spoczęła niżej, lekka jak szal z kolibro-ciem na jej sercu.

– Oczywiście – odparła takim samym głosem.

– Daj mi rękę. – Sięgnął, więc mu podała. Pociągnął ją do siebie, a Karou patrzyła na trójkątny zbieg jego obojczyków i na tors, a w wyobraźni wsuwała już dłoń pod materiał, żeby położyć ją na jego sercu...

Zaraz.

Jak przez mgłę dotarło do niej zagrożenie i zacisnęła pięść.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy.

– Zaufaj mi. – Jego niezdecydowanie zniknęło, gdy dotknęła ustami jego dłoni i została już tylko zapalczliwość i przyciąganie, tak jakby na tym etapie włączyły się już ich magnesy i mogły zostać powstrzymane tylko najwyższym wysiłkiem woli. Ale wola Karou nie działała. Chciała dotykać Akivy tak samo, jak chciała oddychać. Pozwoliła mu poprowadzić swoją dłoń, a kiedy musnęła kłykciami kołnierza koszuli, przyłączyła się do odnawiania wspomnienia. „Jesteśmy początkiem”. Rozluźniła zacisnięte palce i wsunęła je pod materiał, a potem zjechała na pierś. Pierś Akivy. Skóra Akivy. Żywa pod opuszkami jej palców. Za nimi chciały iść usta. Pożądanie roztopiło jej myśli i dlatego tak długo jej zajęło, aż chwilę w tym całym zapamiętaniu, zorientowanie się, że jej dłoń dotyka jego skóry. Dopiero wtedy zrozumiała.

Jej dotyk go nie niszczył.

Spytała ze zdumieniem:

– Akivo... Ale jak?!

Przykrył dłonią jej dłoń i przytrzymał przy sobie. Czuła w hamsach ciepło, jak zawsze w obecności anioła, jakby lekkie mrowienie, ale Akiva nie kulił się ani nie drżał. Uśmiechnął się. Odległość między nimi zmniejszyła się teraz do długości jej ręki, a on skracał ją jeszcze bardziej. Nachylił się, lekko przekręcił głowę i szepnął:

– Magia. – A potem pokazał, co zrobił.

Na karku miał znak, którego tam wcześniej nie było, Karou była przekonana. Nisko, już pod kołnierzykiem, widniało oko. *Zamknięte*. Jego magia przeciwko czarom Brimstone'a. W kolorze indygo, jak hamsy, ale nie tatuaż, tylko blizna.

– Kiedy to zrobiłeś?

– Dzisiaj wieczorem.

Przesunęła palcem po prostych liniach.

– Już się zagoiła.

Skinął głową, a potem się podniósł. I chociaż Karou zaczęła już dostrzegać, do czego był zdolny, wciąż ją to szokowało. Już sam fakt, że rana się zagoiła i zablizniła w ciągu kilku godzin, był niesamowity, ale to nic w porównaniu z mocą tej blizny. Skutecznie unieszkodliwił najpotężniejszą broń chimer – nie licząc wskrzeszenia – jeśli można to było traktować jako broń. Może powinno ją to przerazić, ale w tej chwili się nie bała.

– Mogę cię dotykać. – Nie wierzyła i nie mogła – a w każdym razie nie próbowała – powstrzymać się od sprawdzania, czy na pewno. Przesuwała dłonią po jego gładkiej i rozgrzanej skórze, aż poczuła, że w jej dłoni bije jego serce.

– Ile tylko chcesz. – Drżał, ale nie z bólu.

Skóra i wieczność były potężną mieszanką, więc powód, dla którego Akiva podjął się tej magii, mógł równie dobrze przestać istnieć, tak jak wszystko inne poza biciem ich serc. Wtedy jednak pojawił się u ich drzwi.

Trudno było sobie wyobrazić bardziej nieoczekiwany widok: idący ramię w ramię, ociekający wodą, w milczeniu maszerujący przez główną jaskinię, w której wciąż wszyscy siedzieli, z części chimer do części serafinów... Thiago i Liraz, ciągnący za sobą zwłoki Ten.

Wszyscy zamilkli. Mik, który już jakiś czas temu odłożył skrzypce i leżał z głową na kolanach Zuzany, podniósł się, dopiero gdy poderwał go

jej niemy okrzyk.

Issa wyprężyła się i bardziej niż kiedykolwiek przypominała boginię z pradawnej świątyni. Chimery się podnosiły albo przynajmniej unosiły, zaalarmowane i gotowe do walki, jeśli tylko zostaną wezwane. Ale nie zostały. Para przeszła obok nich, z równie ponurymi minami wpatrując się w przestrzeń, i zniknęła, minawszy serafińskich strażników bez zatrzymania i choćby słowa wyjaśnienia.

Drzwi jaskini Akivy były nadal zamknięte, ale tym razem Liraz prychnęła kpiąco i weszła bez pukania, a potem zagapiła się na to, co tam zastała. Akiva i Karou, z oczami zamglonymi pożądaniem, siedzący twarzą w twarz na kamiennym blacie, z dłońmi na sercach.

Ktoś mógłby rzec, że Ellai, bogini skrytobójców i sekretnych kochanków, krążyła tu dzisiaj, przemykała po korytarzach, zajęta płatanie figli i niesieniem ratunku w ostatniej chwili. Kilka minut wcześniej lub później i Liraz mogła nie żyć, a Karou i Akiva zostaliby przyłapani w znacznie intymniejszej sytuacji niż mglista przygrywka do pożądania z dłońmi złożonymi na sercach. Jeszcze chwila i zaczęliby się całować.

Ale Ellai była kapryśną patronką i raz już ich zawiodła. I to spektakularnie. Karou nie wierzyła w bóstwa, więc kiedy drzwi nagle się otworzyły, mogła za to winić tylko Liraz i Wilka.

– No proszę – stwierdziła Liraz sucho, choć całej reszcie jej osoby było do suchości daleko – przynajmniej jeszcze jesteście ubrani.

Całe szczęście, pomyślała Karou i wyciągnęła rękę zza koszuli Akivy. Od razu poczuła chłód jaskini. Jej ciało tak szybko przyzwyczało się do jego ciepła, że wszystko inne wydawało się lodowate. Musiała kilka razy zamrużyć, żeby wyostrzyć wzrok i zauważyć mokre ubrania przyklejone do skóry i odgłosy opadających kropli, nie mówiąc już o zapachu siarki.

Ziri zaprosił Liraz na kąpiel w gorących źródłach? No cóż, to... dziwne. I to w ubraniu? No dobrze, to jednak mniej dziwne, niż gdyby byli bez ubrań, ale poziom dziwności i tak został przekroczony. A później Wilk rzucił coś na podłogę i wszyscy skupili się na tym.

Ciało.

– Złamała przymierze – powiedział Wilk.

Ten. Haxaya.

Co?

Karou się wyprostowała i zeskoczyła ze stołu, żeby kucnąć przy zwłokach. Natychmiast zauważyła dłoń wypaloną na piersi wilczycy i spojrzała na Liraz, która powitała ją spojrzeniem jeszcze bardziej bezlitosnym niż zwykle.

Akiva podszedł, a po kilku sekundach wokół nich zaroilo się od serafinów i chimer, które przekroczyły zakazane granice, żeby zobaczyć, co się dzieje. To było prawie śmieszne, że akt przemocy był powodem swobodnego przemieszania się ze sobą żołnierzy obu batalionów. Prawie śmieszne, ale jednocześnie bardzo niezabawne.

Kolejna beczka z prochem i rzucona na nią zapalona zapałka. Następne chwile to mieszanina pytań i odpowiedzi. Wilk ogłosił, co się stało, pomijając oczywiście kwestię mistyfikacji. Ten zawiniła. I Ten zginęła. Karou usiłowała zrozumieć, co to mogło oznaczać dla Haxayi. Znała ją dobrze. Jako Madrigal walczyła u jej boku i ufała jej. Owszem, była dzika, ale nie nieprzewidywalna. I nie głupia. Karou zawierzyła jej życie ich wszystkich, czyniąc ją członkinią spisku.

– Dlaczego to zrobiła? – spytała, choć nie oczekiwała odpowiedzi. Pytała w przestrzeń, ale odpowiedziała Liraz:

– To sprawa osobista.

A potem odwróciła się do Akivy i jej spojrzenie nie było już tak zabójcze. Zmiana nastąpiła błyskawicznie, jak w przypadku Ziriego, który wpływał sobą na zmiany twarzy Wilka, choć oczywiście powód musiał być inny. Jej oczami nie patrzył ktoś inny. Ale z jej twarzy zsunęła się maska i odsłoniła łagodniejsze, niemal dziewczęce oblicze, które było prawdziwą *niq*. Powiedziała tylko:

– Savvath.

Akiva ciężko westchnął i ze zrozumieniem pokiwał głową.

Karou znała tę nazwę. W sensie słownikowym, „Savvath, bitwa pod”. Savvath to wioska na zachodnim wybrzeżu Zatoki Potworów. A w każdym razie tak było. Jeszcze przed jej epoką.

Liraz odwróciła się do Thiaga, a oczy miała spuszczone.

– To wasza sprawa, co zrobicie z jej duszą, ale wiedz, że jej nie winię. Zasługiwałam na zemstę.

Thiago coś odpowiedział, ale Karou nie słuchała uważnie. Coś jej chodziło po głowie. Patrzyła to na ciało Ten, to na Liraz, od wypalonego śladu dłoni na piersi wilczycy do rejestru na rękach anielicy, prawie

całkiem zakrytego przez rękawy.

„Nasze dłonie są wrogami, nawet jeśli my nie jesteśmy”, przypomniała sobie.

„A anioły grzecznie wróciły do domu i nikt nie zginął. Koniec”.

Serce zaczęło jej bić mocniej. Kształtował się pomysł. Nic nie mówiła, dała mu się rozwinąć i prześledziła go w poszukiwaniu słabych punktów. Zaczęła też przewidywać, jakie argumenty padną przeciw. „Czy to może być takie proste?” Głosy wokół niej ucichły i pod warstewką jej myśli zmiękły. „Może i powinno być proste”. Cóż, że pomysł był skomplikowany, to mało powiedziane. Był szalony. Rozejrzała się wśród zebranych. Akiva, Liraz i Wilk byli z nią w jaskini. Elyon i Issa stali w progu, a za nimi gromadzili się inni, których widziała tylko w postaci płomiennych piór i włóchatych garbów, czarnej zbroi i czerwonej chityny, gładkich i szorstkich ciał, stojących ramię w ramię.

Gotowi do bitwy, do zesłania na ludzkość apokalipsy z koszmarów i snów.

A może nie.

Nie Akiva i nie Wilk pierwsi zauważyli zmianę w jej zachowaniu. To, jak się wyprostowała i rozpromieniła w euforii. Zauważyła to Liraz.

– A tobie co? – spytała z niechętną ciekawością.

Co za szczęśliwy traf, że właśnie ona spytała.

„Na pewno dasz nam znać, jeśli coś wymyślisz”, rzuciła na koniec rady wojennej, szyderczo i lekceważąco. A teraz Karou zwabiła ją siłą swojego przekonania. Jej desperacja zmieniła się w pewność i była niewzruszona jak stal.

– Mam lepszy pomysł – oznajmiła. – Jak najszybciej zwołajcie radę.

*Dawno, dawno temu  
pewna dziewczyna  
obejrzała wystawę potworów.*



*Wszystkie były martwe.*



# Przybycie + 36 godzin

## Jak inwazję obcych

**P**owinni ich traktować jak inwazję obcych.

Eliza siedziała w samolocie i wciąż jej się przypominały słowa Morgana. Za oknem widziała tajemniczy nocny krajobraz: smugę chmur, a pomiędzy nimi... ciemność. Lecieli nad Atlantykiem? Szaleństwo, nie wiedzieć choćby tyle. Jak często się zdarza ludziom, że nawet nie wiedzą, w jakiej części świata się znajdują?

Zadrżała i oderwała czoło od zimnej szyby. Nic nie było widać, tylko kłęby chmur i noc. Gdyby to była książka albo film, pomyślała, potrafiłaby odczytywać położenie z gwiazd. Ludzie w książkach zawsze mają jakieś niby przypadkowe umiejętności, które niespodziewanie rozwiązują wszystkie problemy. Powiedziałyby na przykład: „Dzięki Bogu za tamto lato spędzone na szmuglerskim statku wujka i za przystojnego marynarza, który nauczył mnie astronawigacji”. Ha.

Eliza nie miała żadnych przypadkowych umiejętności. No, poza tym, że umiała wrzeszczeć jak w horrorze. Przydatne, prawda? No i jeszcze zręcznie manipulowała skalpelem. Kiedy prowadziła zajęcia z anatomii, jeden student zażartował, że pewnie zna najlepsze miejsca, żeby kogoś dźgnąć. No i pewnie znała, ale do tej umiejętności miała nadzieję nigdy nie sięgać.

W każdym razie jej przypadkowe zdolności sprowadzały się do precyzyjnego dźgania przy jednoczesnym wrzasku jak z horroru. W zasadzie była wręcz superbohaterką!

Boże. To wszystko zmęczenie. Nie spała już chyba trzydziestą szóstą godzinę, nie licząc drzemki w laboratorium, i nie czuła się najlepiej. Spokojne pochrapywanie doktora Chaudhary'ego dobiegające z drugiej strony korytarza było istną torturą. O ile wszystko stałoby się prostsze, gdyby nie bała się spać!

Kim by była bez tego koszmarnego snu? W ogóle: kim była? Elizą Jones, którą stworzyła od podstaw, czy, mimo wszystko, tamtą drugą sobą, ulepioną przez innych i przez nich zmiażdżoną?

„Ludzie rządzeni przeznaczeniem nie powinni robić planów”.

O tym myślała, gdy do niej dotarło, że samolot zaczyna zniżać lot. Znow przywarła czołem do zimnej szyby i dostrzegła, że ciemność nie jest już całkowita. Na obrzeżach świata zaczynał się świt i... Eliza zmarszczyła czoło. Nachyliła się jeszcze bardziej i usiłowała się ustawić pod jak najlepszym kątem. Nigdy nie była we Włoszech, ale to na pewno nie były Włochy.

Bo przecież we Włoszech... nie ma pustyni, tak? Zerknęła na agentów, którzy siedzieli kilka rzędów za nią, ale z ich twarzy nic się nie dało wyczytać.

Doktora Chaudhary'ego wreszcie obudziła turbulencja i odwrócił się do niej.

– Jesteśmy już? – spytał i się przeciągnął.

– Gdzie jesteśmy – odparła, więc nachylił się do swojego okna.

Patrzył długo, uniósł brwi, a potem z powrotem oparł się o fotel.

– Hm – powiedział tylko, co w jego języku oznaczało mniej więcej: „Bardzo dziwne, w istocie”.

Eliza poczuła, jakby jej żebra zacisnęły się wokół serca.

Gdzie nas zabierają?

Gdy koła samolotu dotykały opustoszałego pustynnego pasa startowego, słońce oświetlało już pasmo górskie i ziemię w kolorze kurzu. Niewielki budynek służący jako terminal przechylał się ku ziemi i wyglądał jak zbudowany z piasku.

Środkowy Wschód? Tattooine? Namalowany ręcznie znak składał się z nieczytelnych liter pełnych zawijasów. Chyba arabskich. To raczej wykluczało Tattooine.

Czekał na nich urzędnik w wojskowym mundurze. Jeden z agentów coś do niego powiedział i podał mu jakieś papiery. W cieniu brudnego budynku stał SUV, o którego opierało się dwóch mężczyzn. Jeden był agentem w nieodzownym czarnym garniturze, drugi miał ciemną skórę, szatę i zwój lśniącej niebieskiej tkaniny oplątany na głowie.

– Tuaregowie – podpowiedział doktor Chaudhary. – Niebieski lud Sahary.

Sahary? Eliza rozejrzała się jakby po raz pierwszy. Afryka.

Agenci bez słowa zaprowadzili ich do samochodu.

Podróż była długa i dziwna: połączenie płaskiego krajobrazu, znaczone co jakiś czas zjawiskowymi ruinami miast. Tylko sznur do suszenia bielizny albo smuga dymu sugerowały, że są wciąż zamieszkane. Mijali dzieci na wielbłądach i grupki kobiet w zwojach i obdartych długich sukniach o wyblakłych od słońca kolorach. W miejscu niczym się niewyróżniającym samochód zjechał z drogi i zaczął się piąć pod górę, co jakiś czas zarzucając tyłem na żwirze. Eliza tak mocno ścisnęła uchwyt nad drzwiami, że kostki palców miała zupełnie białe, a myśli o aniołach zostawiła w samolocie.

Chodziło o coś zupełnie innego; w jednej chwili po prostu to wiedziała, w sposób przesywający i całkowicie nienaukowy. Myślała, że już dawno się tego wyzbyła. Dopadło ją mroczne przecucie, uwolnione z zamkniętej szafy wspomnień z dzieciństwa, kiedy wierzyła z naiwnością dziecka w to, czego ją nauczono: że zło jest prawdziwe i patrzy, a diabeł kryje się w cieniu cisowego żywopłotu i tylko czeka, żeby przechwycić jej duszę.

„Nie ma diabła”, powiedziała ze złością. Ale wszystko, co sobie wmawiała, odkąd odeszła z domu, w świetle aktualnych wydarzeń nie było już tak przekonujące.

„Potwory... Idą po was”.

– Spójrz – wskazał doktor Chaudhary.

Na wzgórzu pojawiła się forteca z czerwonej ziemi, wyraźnie widoczna na tle cienia rzucanego przez odległe góry. Kiedy się zbliżyli, zauważyła pod murami więcej pojazdów, w tym jeepy i ciężkie wojskowe transportowce. Kawałek dalej stał śmigłowiec. Wokół chodzili żołnierze ubrani w maskujące mundury w pustynnych kolorach i... Aż ją zatkało, kiedy to zobaczyła. Odwróciła się do doktora Chaudhary'ego. On też ich widział.

Z fortecy wychodzili ludzie w białych kombinezonach i maskach.

Schematy postępowania na wypadek inwazji obcych, pomyślała Eliza. O rany.

Jeden z agentów do kogoś zadzwonił i kiedy zaparkowali samochód, już do nich szedł mężczyzna z imponującym czarnym wąsem. Ubrany był po cywilnemu, mówił z akcentem i nutką wyższości.

– Witam w Królestwie Marokańskim, doktorze. Jestem doktor Youssef Amhali.

Uścisnęli sobie ręce. Eliza zasłużyła tylko na skinienie głowy.

– Panie doktorze... – zaczął Chaudhary.

– Proszę, bez tych formalności.

– Zatem, Youssefie, czy mógłby nam pan powiedzieć, skąd się tu wzięliśmy?

– Oczywiście. Jesteście tu, bo was wezwałem. Mamy tu sytuację, która... wykracza poza zakres moich kompetencji.

– A zajmuje się pan?... – spytał Chaudhary.

– Jestem antropologiem sądowym.

– Co to za sytuacja? – zapytała Eliza. Za szybko i za głośno.

Doktor Amhali – Youssef – uniósł brwi i przyjrzał się jej w milczeniu. Powinna być milczącą asystentką, posłuszną kobietą? A może usłyszał w jej głosie strach? Albo to było po prostu głupie pytanie, skoro znała jego specjalizację? Eliza dobrze wiedziała, czym się zajmują antropolodzy sądowi i co go tu musiało sprowadzić.

A kiedy lekko zadarł głowę i wciągnął powietrze, z obrzydzeniem marszcząc nos, Eliza też to poczuła: smród wypełniający powietrze. Rozkład.

– Taka oto sytuacja, droga pani, która w upalne dni śmierdzi jeszcze gorzej – odparł.

Ciała.

– Sytuacja – mówił dalej – która mogłaby rozpętać wojnę.

Eliza zrozumiała, a w każdym razie tak jej się wydawało. To masowy grób. Nie rozumiała jednak, co oni tu robią. To pytanie zwerbalizował doktor Chaudhary.

– Pan tu jest odpowiednim specjalistą. W czym mogę pomóc?

– Tutaj nie ma odpowiednich specjalistów – uciął doktor Amhali i zamarł.

Uśmiechał się trochę chorobliwie, ale z rozbawieniem, jednak Eliza czuła w nim strach, który jeszcze bardziej podsycił jej lęk. Co się tu

dzieje?

– Zapraszam. – Wskazał, żeby szli przed nim. – Najprościej będzie, jeśli wam pokażę. Dół jest tam.

## Sprawy znane i pogrzebane

Co najmniej dwadzieścia minut spędzili na wypełnianiu dokumentów i podpisywaniu licznych zobowiązań do najwyższej poufności, a z każdą stroną Eliza niepokoiła się coraz bardziej. Kolejny kwadrans zszedł na ubieraniu się w kombinezon i maskę, co dodatkowo ją zestresowało. W końcu dołączyli do parady ubranych na biało ludzi, przypominających owady.

Doktor Amhali zatrzymał się na szczycie wzgórza. Jego przefiltrowany przez maskę tlenową głos wydawał się cienki.

– Zanim pójdziemy dalej, chciałbym przypomnieć, że to, co zobaczycie, jest sprawą najwyższej wagi i jesteście zobowiązani do dyskrecji. Świat nie jest gotowy, żeby to ujrzeć, a my nie jesteśmy gotowi, żeby mu to pokazać. Czy się rozumiemy?

Eliza pokiwała głową. Straciła możliwość patrzenia kątem oka i musiała się odwrócić, żeby dostrzec, że doktor Chaudhary też kiwnął. Zgromadziło się za nim kilka białych postaci, a ona zdała sobie sprawę, że nie mieli żadnych charakterystycznych cech. Jeśli teraz mrugnie, nie będzie wiedziała, kto jest kim. Wydawało jej się, że wkroczyła do czegoś w rodzaju czyśćca.

Odczucie totalnego surrealizmu pogłębił jeszcze widok wydzielonego terenu. Niżej na zboczu wzgórza, pod kasbą, taśmy odgradzały stadko wściekle zielonych specjalistycznych namiotów. Szumiały wielkie generatory, a kable wślizgiwały się do namiotów jak pępowiny. Wokół kłębił się personel, z daleka wyglądający w białych kombinezonach jak czerwie.

Kawałek dalej widziała patrolę żołnierzy. Po niebie krążyły helikoptery. Słońce prażyło bezlitośnie, a Eliza odnosiła wrażenie, że tlen jest dostarczany do jej maski przez rurkę do napojów. Kombinezon krępował jej ruchy, więc niezdarnie i sztywno ruszyła naprzód. Strach sunął przed nią.

Co jest w tym dole? Co jest w namiotach?

Doktor Amhali zaprowadził ich do najbliższego i znów się zatrzymał.

– „Potwory... Idą po was” – zacytował. – To powiedział anioł.

Eliza poczuła, że w ciągu kilku sekund stała się biciem serca zamkniętym w plastiku.

Potwory. Boże, tutaj?

– Wygląda na to, że już są wśród nas.

Wśród nas, wśród nas.

Z rozmachem prestidigitatora odsunął klapę do namiotu i...

...potwory.

Eliza zdawała sobie sprawę, że słowo „potwór” mogło oznaczać wiele. Zwierzęta, bestie, diabły, a nawet nieopisywalne postacie ze snów, tak straszliwe, że potrafią zatrzymać serce małej dziewczynki. Te tutaj nie były do nich podobne.

To nie jej potwory i kiedy jej serce jako tako wróciło do normy, skarciła się. Co sobie myślała? Chyba w ogóle nie myślała. Jej potwory zamieszkiwały rozległe płaszczyzny snu w zupełnie innym ogromie przestrzeni.

To pan nazywa potworami, Youssefie?, mogłaby spytać i roześmiać się z ulgą.

Ale się nie roześmiała.

– Sfinksy – szepnęła tylko.

– Słucham? – spytał Amhali.

– Wyglądają jak sfinksy – sprecyzowała. Podniosła głos, ale oczu nie. Strach zniknął. Przegoniła go fascynacja. – Mitologiczne.

Kobiety koty. Dwie, identyczne. Pantery z ludzkimi głowami. Eliza weszła do namiotu i natychmiast odczuła lekki chłodek, upał zelżał. W środku działała klimatyzacja, a sfinksy leżały na metalowych stołach ustawionych na zbiornikach suchego lodu. Kosmate kocie ciała były miękkie i czarne, a skrzydła – skrzydła! – ciemne i pierzaste.

Miały poderżnięte gardła, a piersi pociemniałe od wyschniętej krwi.

Doktor Chaudhary minął Elizę i zdjął hełm z maską.

– Doktorze – zaprotestował natychmiast Amhali – nie mogę się zgodzić.  
– Ale ten chyba go nie słyszał. Podszedł do najbliższego sfinksa. Jego głowa nad ciałem zamkniętym w kombinezonie wydawała się nieproporcjonalnie mała, a na twarzy malowała się nuta sceptycyzmu.

Eliza też zdjęła hełm i chociaż jej nozdrza zaatakował smród – trochę słabszy niż na zewnątrz – widziała znacznie wyraźniej. Dołączyła do doktora Chaudhary’ego przy ciele sfinksa. Ich obstawa się zaniepokoiła i pouczała ich w kwestii ryzyka i przepisów, ale w świetle tego, co leżało przed nimi, uciszili ich bez trudu.

– Co pan o tym wie? – zaczął profesjonalnie doktor Chaudhary. Kiedy Amhali skończył, okazało się, że niewiele. Ciała znaleziono w niezasypanym dole. Było ich około dwudziestu. I tyle.

– Miałem nadzieję, że to jakaś kaczka dziennikarska i szybko się z tym rozprawię – dodał marokański naukowiec – ale okazało się, że nie.

Doktor Chaudhary w odpowiedzi tylko uniósł brwi.

– Wszystkie wyglądają tak samo? – dociekała Eliza.

– Nie całkiem. – Amhali wskazał głową na białe prześcieradło, wybrzusające się na znacznie większym ciele.

Co tam jest?, zastanawiała się. Ale doktor Chaudhary tylko pokiwał głową i wrócił do sfinksów. Dołączyła do niego i przesunęła palcem w rękawiczce po nodze kota, a potem rozłożyła ciemne skrzydło. Uniosła końcem palca pióro i przyjrzała mu się.

– Sowa – stwierdziła zaskoczona. – Widzi pan to? – Wskazała na przednią krawędź. – Te ząbki są charakterystyczne dla sowych piór. Sprawiają, że ptak leci bezszelestnie.

– Wątpię, żeby to była sowa – odparł doktor Amhali.

Na pewno?, pomyślała Eliza. Bo ja słyszałam, że sowy w Afryce mają kobiece głowy. Czuła się... uskrzydłona. Przerazenie zeszło z nią po zboczu wzgórza. Na dźwięk słowa „potwór” owinęło się wokół niej i ścisnęło – bo sen, koszmar, pościg i pożeranie – ale teraz go nie było. Zostawiło po sobie wyczerpanie i grozę. Groza była na samej górze. Ostatnia kulka w rożku z lodami. Lodami z okazji koszmaru, pomyślała, ubawiona.

Poliz.

– Ma pan rację. To nie są sowy – zgodził się doktor Chaudhary i pewnie tylko ktoś tak dobrze znający jego sposób mówienia, jak Eliza, był w stanie wychwycić sarkastyczną oschłość. – W każdym razie nie całkiem.

Później nastąpiło pobieżne badanie od stóp do głów, mające na celu wykluczenie oszustwa.

– Proszę szukać szwów – poinstruował Elizę Chaudhary, więc tak zrobiła.

Starannie obejrzała miejsca, w których łączyły się niepasujące do siebie części stworzenia: przede wszystkim szyję i skrzydła. Nie podzielała jednak nadziei doktora Amhaliego, nie chciała znaleźć szwów. Gdyby znalazła, należałoby odpowiedzieć na pytanie, skąd – albo od kogo? – pochodzą głowy. To zakrawałoby raczej na horror niż wiekopomne odkrycie naukowe. Zresztą, to i tak tylko teoretyzowanie. Ona wiedziała, że te istoty są prawdziwe. Tak jak anioły.

Była pewna.

Nie, nie jesteś pewna, mówiła sobie, to tak nie działa. Zastanawiasz się, zbierasz dane, analizujesz, w końcu stawiasz tezę i ją sprawdzasz. Może wtedy zaczynasz coś wiedzieć.

Ale co z tego, skoro wiedziała. Udawanie, że jest inaczej, było jak krzyczenie w huraganowym wietrze.

Inne rzeczy też wiem.

A wtedy te inne rzeczy... same się objawiły. Tak jakby tarocista odwrócił kartę i odsłonił prawdę ukrywaną przez całe życie. Dłużej. Znacznie dłużej. Ogromna porcja wiedzy do połknięcia jednym haustem. Eliza głęboko wciągnęła powietrze, co nie było najlepszym pomysłem, zważywszy, że stała obok zwłok. Cofnęła się i zaczęła oddychać krótko i szybko, żeby oczyścić płuca z odoru śmierci.

– W porządku? – spytał doktor Chaudhary.

– Tak – zapewniła i spróbowała zamaskować emocje.

Nie chciała, żeby pomyślał, że jest za wrażliwa i nie da rady, albo pożałował, że nie wziął Morgana Totha. Nie mogła teraz wrócić do pracy, ostentacyjnie ignorując kartę, która leżała w jej głowie rysunkiem do góry.

Jest inny wszechświat.

Oto, co wiedziała. W szkole Eliza z dużym zaangażowaniem przedkładała biologię nad fizykę, więc знаła tylko zarys teorii strun, ale wiedziała o koncepcji równoległych wszechświatów. Był inny wszechświat. Nie musiała tego udowadniać.

Cholera. Dowód leżał tu, przed nią, martwy. Drugi, tym razem żywy, przebywał w Rzymie. I...



Nagle ją to uderzyło. „Powinni ich traktować jak inwazję obcych”, powiedział Morgan i miał świętą rację, mały dupek. To była inwazja obcych. Tak wyszło, że obcy wyglądali jak anioły i potwory, ale nie przylecieli z kosmosu, tylko z równoległego wszechświata. Z rosnącym ubawieniem wyobraziła sobie, że sprzedaje tę teorię stojącym obok niej doktorom. „Hej, a wiecie, co ja myślę?”. I dopiero wtedy dotarło do niej, że to nie wesołość, tylko panika.

Nie chodziło o potwory, smród, upał ani o zmęczenie. Nawet nie o koncepcję równoległego wszechświata. Chodziło o to, że wiedziała. Czuła w środku prawdę i całą jej głębię, zakopaną w swoim wnętrzu jak te potwory w dole. Tylko że one były martwe i nie mogły nikogo skrzywdzić. A ją wiedza mogła rozerwać na strzępy.

A w każdym razie nadszarpnąć jej poczatalność.

To się zdarzało w jej rodzinie.

– Masz dar – powiedziała matka, gdy Eliza była bardzo mała i leżała w łóżku szpitalnym, podłączona do mnóstwa rurek i otoczona pikającymi maszynami.

Wtedy po raz pierwszy jej serce zwariowało i przemieniło się w rozmigotany mięsień, który o mało jej nie zabił. Matka jej nie przytuliła, nawet wtedy. Klęczała tylko z rękami złożonymi jak do modlitwy, a w jej oczach jarzyła się żarliwość. I zazdrość. Potem zawsze widziała zazdrość.

– Jesteś oczami nas wszystkich. Poprowadzisz nas.

Ale Eliza nikogo nigdzie nie prowadziła. „Dar” był przekleństwem. Już wtedy o tym wiedziała. Historia jej rodziny wypakowana była szaleństwem, a ona nie zamierzała zostać ostatnim ogniwem w łańcuszku „proroków” zamkniętych w zakładach dla obłąkanych, perorujących o apokalipsie i liżących ściany. Bardzo ciężko pracowała nad stłumieniem „daru” i zostaniem tym, kim chciała. Udawało jej się. Nastolatka, która uciekła z domu, jest dziś członkiem Narodowej Fundacji Naukowej i wkrótce ma zostać doktorem. Radziła sobie całkiem nieźle! Pod każdym względem z wyjątkiem snów. Sen przychodził, kiedy chciał, zbyt potężny, żeby go pogrzebać, potężniejszy niż ona. Niż wszystko.

Ale teraz obudziły się w niej inne wizje, inne prawdy, które nie należały do niej i które ją przerażały. Zatoczyła się. Porządnie zakręciło jej się w głowie i zaczęła podejrzewać, że strach przed zaśnięciem ją osłabił. Wdech, wydech, umysł można kontrolować tak samo jak mięśnie, wmawiała sobie.

– Jesteś pewna, że dobrze się czujesz, Elizo? Jeśli potrzebujesz świeżego powietrza, nie krępuj się...

– Nie, nie, wszystko dobrze. – Zmusiła się do uśmiechu i nachyliła z powrotem nad sfinksem.

Nie znaleźli nic, co uszczęśliwiłoby doktora Amhaliego. Żadnych szwów ani metek z napisem „Made by Frankenstein”. Ale coś jednak było.

Eliza przez dłuższą chwilę trzymała martwą dłoń jednego ze sfinksów i dopiero potem się odezwała:

– Widział pan to?

Sądząc po milczeniu Amhaliego, widział. Może czekał, aż sami na to trafią. Doktor Chaudhary kilka razy zamrugał i doszedł do tego samego wniosku, co ona.

– Dziewczyna z mostu.

Dziewczyna z mostu, niebieskowłosa piękność, która na moście w Pradze walczyła z aniołami i wyciągała przed siebie dłonie z wymalowanymi na nich oczami w kolorze indygo. Znalazły się na okładce „Time’a” i stały się symbolem diabła. Dzieci rysowały je sobie długopisami. To było nowe 666.

– Rozumiecie, co to oznacza? – zapytał z napięciem w głosie doktor Amhali. – Jak to zinterpretuje świat? Anioły przyleciały do Rzymu, chrześcijanom w to graj, tak? Anioły w Rzymie, ostrzegające przed potworami i wojnami, a tymczasem tutaj, w kraju muzułmańskim, odkopujemy demony. Jak to się skończy?

Eliza rozumiała, do czego zmierza, i podzielała jego obawy. Światu nie trzeba więcej krwawo-demonicznych prowokacji, żeby zwariował. A jednak te istoty sprawiły, że zaiskrzyła w niej wiara w cud i nie mogła w sobie wzbudzić nadziei, że nie są prawdziwe.

Tak czy inaczej, to problem rządów i dyplomatów, policji i wojska, a nie naukowców. Ich sprawą były leżące przed nimi zwłoki, ich fizyczna zawartość i nic więcej. Tyle mogli: pobrać i przechować tkanki, pomierzyć ciała i zrobić zdjęcia; każdemu założyć kartotekę. Ale najpierw przegląd tego, co ich czeka.

– Czy wszystkie mają te znaki? – spytał doktor Chaudhary Amhaliego.

– Wszystkie z wyjątkiem jednego.

Eliza się zadumała, ale następna istota – to wielkie ciało pod białym przykryciem – miało znaki. Ciała w następnym namiocie też, i w następnym, więc w końcu o tym zapomniała. Dość miała zachodu z

przetworzeniem tego, co widziała – i czuła – przy każdym z ciał po kolei. Mdlilo ją i była tym wszystkim przytłoczona, uczucie paniki nie odpuszczało – przecucie spraw znanych i pogrzebanych – a do tego padła ofiarą jakiegoś niezrozumiałego smutku. Chodząc tak z namiotu do namiotu, oglądając paradę nieziemskich istot, czuła się jak w jarmarcznym gabinecie osobliwości, w którym wszyscy byli martwi.

Istoty były najdzikszyimi mieszkankami części ciał ziemskich zwierząt i znajdowały się już w dość zaawansowanym stadium rozkładu. Im głębiej leżały w dole, tym dłużej były martwe, co sugerowało, że zabijano je stopniowo, nie naraz. Cokolwiek się tu stało, nie doszło do masakry.

W końcu dotarli do ostatniego namiotu, samotnego na odległym skraju dołu.

– Ten był pochowany oddzielnie – wyjaśnił doktor Amhali i uniósł klapę. – W osobnym grobie.

Eliza weszła, a na widok ostatniego eksponatu w tej martwej menażerii smutek zaśpiewał w niej żywiej niż wcześniej. To ten bez znaków. Pochowano go z pozorami dbałości, osobno, nie został wrzucony do cuchnącego dołu, tylko zasypano go piaskiem i żwirem. Szary kurz, który przylgnął do jego skóry, sprawiał, że wyglądał jak rzeźba.

Może dlatego od razu pomyślała, że jest piękny. Nierzeczywisty. Wyglądał jak dzieło sztuki. Była skłonna nad nim zapłakać, co przecież nie miało żadnego sensu. Jeśli inni byli w różnym stopniu potworni, on był najbardziej demoniczny czy też diabelski, ale i najbardziej ludzki, nie licząc długich czarnych rogów i kopyt oraz skrzydeł nietoperza, rozciągniętych na ziemi. Miały około trzech metrów i podwijały się tam, gdzie napotkały na ściany namiotu.

Ale nie wydawał jej się demoniczny. Tak jak anioły nie były dla niej anielskie.

Co się tu stało?, zastanawiała się w milczeniu. Dociekanie nie należało do jej kompetencji, ale nie mogła się powstrzymać. Pytania zebrały się wokół niej jak wystraszone ptaki. Kto zabił te stworzenia i dlaczego? Co robiły na tym marokańskim pustkowiu? I... jak miały na imię?

Część jej umysłu podpowiadała, że to nie jest właściwa reakcja na widok martwych potworów, że nie czas na zastanawianie się nad ich imionami, ale zwłaszcza to ostatnie ciało o pięknych kształtach sprawiło, że chciała je znać. Koniec jednego rogu miał odłamany; taki szczegół, ale ciekawa była, jak do tego doszło, a stąd tylko krok do dociekania całej

reszty. Jak wyglądało jego życie i czemu zginął?

Mężczyźni rozmawiali i usłyszała, jak Amhali mówi doktorowi Chaudhary'emu, że te stworzenia mieszkały w kasbie przez jakiś czas i opuściły ją trzy dni temu.

– Nomadowie widzieli ich odlot – uściślił.

– Chwileczkę – włączyła się Eliza. – Jakież przeżyły? Ile?

– Nie wiemy. Świadkowie byli w hysterii. Mówili o dziesiątkach.

Dziesiątki... Eliza chciała je zobaczyć. Chciała wiedzieć, że żyją i oddychają.

– Dokąd poleciały? Znaleźliście je?

Doktor Amhali odpowiedział oschle:

– Poleciały tam. – Wskazał... w górę. – I nie, nie znaleźliśmy ich.

Świadkowie twierdzili, że poleciały w stronę Gór Atlas, ale nie było na to żadnego dowodu. Gdyby nie gnijące zwłoki potworów, całe zdarzenie zostałoby uznane za osobliwy żart. Ale helikoptery przeczesywały góry, a agenci w jeepach i na wielbłądach szukali Berberów i pasterzy, którzy mogli coś widzieć.

Eliza wyszła z doktorami z namiotu. Nie znajdując ich, pomyślała i spojrzała na góry, których zasypane śniegiem wierzchołki wydawały się tak niedorzeczne w panującym upale. Jest inny wszechświat i oni tam polecieci.

## Upadły po trzykroć

**Złaż ze mnie.**

Jak tylko drzwi się za nim zamknęły, Jael, imperator serafinów, wierzgnął i wykręcił ramiona, żeby pozbyć się niewidzialnej istoty jadącej na jego plecach.

Gdyby Razgut chciał zostać, taki ruch z pewnością by mu nie przeszkodził. Miał silny uścisk i takąż wolę oraz – po długim życiu

pełnym niewyobrażalnych tortur – również ogromną odporność na ból. „To mnie zmusz”, mógł rzucić i szyderczo zachichotać, podczas gdy imperator robiłby, co w jego mocy, by się go pozbyć.

Zazwyczaj uważał, że dręczenie innych jest warte bólu, ale głupota Jaela była lepsza niż męczenie go, więc bez oporów posłuchał. Puścił i runął z łomotem i jękiem na marmurową posadzkę, po czym natychmiast stał się widzialny. Wyprostował się i przerzucił bezwładne nogi na jedną stronę ciała.

– Nie ma za co – odparł, parodiując uniżoność.

– Mam ci dziękować? – Jael zdjął hełm i rzucił strażnikowi. Tylko w takich sytuacjach odsłaniał zmasakrowaną twarz. Paskudne cięcie biegło od linii włosów przez policzek, pozbawiło go nosa, a z ust zrobiło kaleki organ, sepleniący i siorbiący. – Niby za co? – dopytywał, rozsiewając kropelki śliny.

Na równie obrzydliwym obliczu Razguta pojawił się grymas. Jego twarz przypominała nadęty, purpurowy worek z napiętej skóry. Odpowiedział arogancko i po łacinie, bo tego języka imperator, ma się rozumieć, nie znał:

– Za to, że nie skrzyłem ci karku, kiedy miałem okazję. Poszłoby bez trudu.

– Dość mam twoich ludzkich języków – warknął Jael władczo i niecierpliwie. – Co mówisz?!

Znajdowali się w eleganckim apartamencie w Pałacu Apostolskim, niedaleko Bazyliki św. Piotra, i dopiero co wrócili ze spotkania ze światowymi przywódcami, na którym Jael przedstawił swoje żądania. Przedstawił je, powtarzając każdą sylabę, jaką wyszeptał mu do ucha Razgut.

– Powinieneś podziękować za słowa – odparł tym razem po serafińsku i głosem pełnym słodyczy. – Co by ci zostało bez moich słów, panie? Tylko śliczna buźka! – Zarżał ze śmiechu, za który dostał kopniaka.

To nie był jakiś wymyślny kopniak. Jael się nie popisywał, celem była brutalna skuteczność. Szybki, mocny ruch i wzmacniane stalą czubki jego pantofli trafiły w bok Razguta, głęboko w zniekształcone, wzdęte ciało. Razgut krzyknął. Ból był ostry, przenikliwy, precyzyjny. Aż się zwinął.

Ze śmiechu.

W łupinie jego umysłu było pęknięcie. Niegdyś był to bardzo zacny umysł, a pęknięcie jawiło się jak skaza w brylancie, zanieczyszczenie w

kryształe. Rozrastało się niczym pajęczyna. Wiło jak wąż. Zmieniało zwyczajne uczucia w ich zmutowanych kuzynów; dawało się je rozpoznać, ale wszystko było z nimi nie tak. Bardzo nie tak. Patrzył na Jaela, a w jego oczach nienawiść mieszała się z radością.

To oczy dowodziły, kim był. Gdyby porównać go do innych aniołów, wydawałoby się niemożliwe, że są tej samej rasy. Serafini byli symetryczni i pełni gracji, potężni i imponujący, nawet Jael, oczywiście jeśli mu zasłonić środek twarzy. A Razgut był żalosną, wzdętą, czołgającą się istotą o zniszczonym ciele, czyniącym z niego raczej gnoma niż anioła. Kiedyś był piękny, ale teraz mogły świadczyć o tym tylko oczy. Nawet w tej opuchniętej, sieniej twarzy były wyraziste.

Drugim świadectwem jego pochodzenia, znacznie dramatyczniejszym, były resztki ułamanych kości sterczące z łopatek. Ślad po skrzydłach. Nawet ich nie odcięto, tylko wydarto. Ból miał już tysiąc lat, ale nigdy nie da o sobie zapomnieć.

– Kiedy zobaczę broń w dłoniach moich żołnierzy – wycedził Jael i się nad nim pochylił – kiedy ludzkość przede mną uklęknie, może wtedy docenię twoje słowa.

Ale Razgut wiedział swoje. Jak tylko Jael dostanie broń, z niego zostanie krwawa miazga, co będzie o tyle ciekawe, że dzięki niemu ta broń została zdobyta.

Skoro jednak miał zostać krwawą miazgą bez względu na to, czy sprosta zadaniu, czy polegnie, pozostawało pytanie: czy woli być rozedrganą i posłuszną miazgą, czy samowolną i irytującą, która doprowadzi do upadku wszystkich ambicji imperatora?

Wybór nie był trudny. Mógłby bez trudu upokorzyć i zniszczyć Jaela. Wybornie się bawił na spotkaniach tak wielkiej wagi jak to, z którego wrócili, wymyślając absurdalne odzywki, które mógłby podsunąć Jelowi. Ten głupiec był tak pewny płożącej się służalczości Razguta, że powtórzyłby wszystko. Pokusa była duża i Razgut parę razy zachichotał, gdy to sobie wyobraził.

„Nie ma żadnego Boga, głupole, mógłby na przykład powiedzieć. Są tylko potwory, a ja jestem najgorszy”.

Przyjemnie było rozdawać karty. Bo Razgut nie miał wątpliwości, że gdyby Jael przyleciał tutaj bez niego i przemówił do Ziemian w ojczystym języku, gospodarze – biorąc pod uwagę niebywałą pomysłowość ludzi – opracowaliby program deszyfrujący, dzięki któremu świetnie by go

zrozumieli i może nawet zdołali mu odpowiedzieć głosem wygenerowanym przez komputer.

Rzecz jasna, Jelowi o tym nie wspominał. Lepiej czuwać nad każdą sylabą, kontrolować każde zdanie. Rosyjskiemu ambasadorowi mógł powiedzieć: „Masz może gumę? Strasznie mi wali z japy”.

Albo na przykład do amerykańskiej sekretarz stanu: „Przypieczętuźmy naszą umowę buziakiem. Pójdź w me ramiona, kochana, i zerwij mi hełm”.

No, naprawdę, czy nie byłoby fajnie?

Ale powstrzymywał się, bo decyzja, czy zrujnować Jaela, czy mu pomóc, miała o wiele dalej idące konsekwencje, niż imperator mógł sobie wyobrazić

Tak. O wiele dalej.

– Dostaniesz swoją broń – zapewnił go Razgut. – Ale musimy być ostrożni, mój panie. To wolny świat i nie twoja armia wydaje tu rozkazy. Musimy sprawić, żeby chcieli nam dać to, czego potrzebujemy.

– Niech mi dadzą, czego ja potrzebuję.

– Ty, oczywiście, ty – poprawił się Razgut. – Wszystko dla ciebie, mój panie. Twoja broń, twoja wojna i nietykalni Stelianie, płaszczący się przed tobą. – Stelianie. Mieli być pierwszym celem Jaela, i to nie na żarty. Razgut nie wiedział, co wywołało tak wyjątkową nienawiść imperatora do nich, ale powód nie miał znaczenia, tylko efekt. – Cóż to będzie za słodki dzień – łasił się i mizdrzył.

Zaśmiał się po swojemu i zrobiło mu się przyjemnie, bo wiedział pewne rzeczy. Tak, tak, dobrze było być tym, który wiedział. Jedynym, który wiedział.

Razgut zdradził swoje tajemnice raz i tylko raz. Temu, którego głód wiedzy uczynił mułem upadłego anioła. Izłowi. Nie do wiary, jak bardzo Razgut tęsknił za tym starym osłem. Był mądry i dobry, a Razgut go zniszczył. Rany, no bo czego oczekuje ludzkość – że dostanie coś bez żadnych kosztów? Był uczonym, został szaleńcem, był doktorem, został hieną cmentarną, ale przecież miał to, czego chciał. Wiedzę większą nawet od tej, którą mógł się z nim podzielić Brimstone, bo tego nie wiedział nawet stary diabeł. Razgut pamiętało to, czego nie pamiętało nikt inny.

Kataklizm.

Straszliwe, straszliwe i straszliwe, na zawsze.

Nie było szansy, żeby o tym zapomniał. Innym zmieniono umysły.

Opróżniono. Wyciągnęły się ręce i wyrwały ten fragment przeszłości. Ale nie z Razguta.

Izîl, stary głupiec, próbował to powiedzieć aniołowi z ogniem w oczach, który przyleciał do nich w Maroku. Miał na imię Akiva i płynęła w nim steliańska krew, ale nie steliańska wiedza, to było jasne. Nie słuchał. „Mogę ci powiedzieć co innego”, łkał Izîl. „Zdradzę ci sekrety! O twojej rasie. Dzięki Razgutowi wiem...”

Ale Akiva mu przerwał. Nie chciał słuchać słów Upadłego. Gdyby chociaż wiedział, co to oznaczało. „Upadły”. Wypowiadał to jak przekleństwo, nie miał o niczym pojęcia. „Historia obrasta mitami tak samo, jak książki pokrywają się pleśnią”, podpowiadał Izîl. „Może powinienesz zapytać kogoś, kto tam był, setki lat temu. Może zapytasz Razguta?”

Ale nie zapytał. Nikt nigdy nie zapytał Razguta: „Co ci się stało? Dlaczego ci to zrobili?”

„Kim jesteś, tak naprawdę?”

Ach, ach i ach. Powinni byli spytać.

Teraz uspokajał Jaela:

– Poradzimy sobie z ludźmi, nie ma strachu. Zawsze tak jest, dyskutują i dyskutują. To dla nich jak powietrze. Zresztą, tak naprawdę ci wielce ważni mężowie stanu nas nie obchodzą. To wszystko działanie pod publiczność. Ale podczas gdy oni się przekrzykują, bladzi jak ściany, ludzie działają w twoim imieniu. Wspomnisz moje słowa. Zwyczajni ludzie zaczną wznosić arsenały dla ciebie jednego. Będziesz musiał tylko zdecydować, który wybrać.

– To gdzie są te arsenały? – Znów ślina w powietrzu. – Gdzie są, pytam?!

– Cierpliwości, cierpliwości...

– Mówiłeś, że będą mnie czcić jak boga!

– No tak, ale jesteś naprawdę brzydkim bogiem – odszczeknął Razgut, który wcale nie był wzorem cierpliwości, do której tak namawiał. – Denerwują się w twojej obecności. Plujesz, jak mówisz, chowasz się za maską i łypiesz, jakbyś chciał ich wszystkich wymordować we śnie. Nie mógłbyś dla odmiany pobyć choć trochę czarujący? Znacznie by mi to ułatwiło pracę.

Kolejny kopniak. Celniejszy, tak że Razgut aż zakaszłał krwią na marmurową podłogę. Potem zanurzył w krwi palec i nabazgrał



obsceniczny rysunek.

Jael z obrzydzeniem pokręcił głową i podszedł do marmurowego stolika, na którym stały napoje. Nalał kieliszek wina i zaczął krążyć.

– To trwa za długo – powiedział wściekle. – Nie przyleciałem tu po nabożeństwa i śpiewy. Przyleciałem po broń.

Razgut zasymulował westchnienie i powoli, z wysiłkiem, zaczął się czołgać do drzwi.

– Dobrze. Sam z nimi porozmawiam. Może faktycznie będzie szybciej. Twoja łacina jest tragiczna.

Jael dał znak parze żołnierzy strzegących drzwi. Razgut się śmiał, gdy go złapali pod pachy, zawlekli z powrotem i rzucili u stóp Jaela. Zaśmiewał się ze swojego żartu.

– Wyobraź sobie ich miny! – krzyczał i ocierał łzę płynącą z ładnego, ciemnego oka. – Wyobraź sobie, że papież tu teraz wchodzi i widzi naszą parę w pełnej krasie! „To mają być anioły?”, zawołałby i złapał się za serce. „Więc jak, w imię boże, wyglądają potwory?!” – Zgiął się wpół, aż kwicząc ze śmiechu.

Jael nie podzielał jego rozbawienia.

– Nie jesteśmy parą – wycedził głosem spokojnym i dystygowanym. – I zapamiętaj sobie jedno, śmieciu. Jeśli jeszcze raz mnie obrazisz...

Razgut nie dał mu dokończyć.

– To co? Co mi zrobisz, drogi imperatorze? – Spojrzał na Jaela i wytrzymał jego spojrzenie. – Patrz i zobacz. Wejrzyj we mnie i zrozum. Jestem Razgut Upadły po Trzykroć, Najnędnniejszy z Aniołów. Nie możesz mi nic odebrać, bo wszystko już straciłem, nie możesz mi zrobić nic, czego już mi nie zrobiono.

– Jeszcze nigdy cię nie zabito – nieustępliwie przypomniał Jael.

Na to Razgut tylko się roześmiał. Miał piękne zęby, niepasujące do obrzydliwej twarzy, a pęknięcie w umyśle nadało jego oczom szaleńczy wyraz. Złożył ręce i zaczął prowokacyjnie i nieszczerze błagać:

– Tylko nie to, mój panie! Och, krzywdź mnie, torturuj, ale cokolwiek zrobisz, błagam cię, błagam po stokroć, nie zwracaj mi spokoju!

Spazm furii przemknął po przeciętej na pół twarzy Jaela, a szczęki zacisnęły tak mocno, że blizna pobieleła na tle purpurowej z wściekłości twarzy. Czyli chyba zrozumiał. Tak pomyślał Razgut, wciąż się zaśmiewając, kiedy Jael zaatakował go stalowymi noskami pantofli i dał początek bólowi za bólem, całej rodzinie bólu, dynastii cierpienia. To

chyba właśnie wtedy do Jaela dotarło, że nie on sprawuje kontrolę. Nie mógł zabić Razguta, bo go potrzebował. Żeby mu tłumaczył ludzkie języki, ale co jeszcze ważniejsze, żeby opowiadał o ludziach, ich historii, polityce oraz opracowywał strategię dotarcia do nich i układał przemowy.

Mógł go sobie kopać, Razgut będzie ten ból kołysał do snu jak całe naręcze bobasków, a rano policzy sińce, ponumeruje nieszczęścia i uśmiechnięty pójdzie dalej, pamiętając wszystko to, czego nikt inny nie pamięta, a co nie powinno zostać zapomniane, bo było powodem – na gwiazdne bóstwa, najlepszym i najpotworniejszym – dla którego Jael powinien zostawić w spokoju Stelian.

– Jestem Razgut Upadły po Trzykroć, Najnędnniejszy z Aniołów – śpiewał w różnych ludzkich językach, od łaciny przez arabski po hebrajski, tam i z powrotem, stękając przy tym między kolejnymi kopniakami. – I wiem, czym jest strach! I wiem, co to potwory! Ty myślisz, że wiesz, ale nie wiesz, ale się dowiesz, dowiesz, dowiesz! Załatwię ci broń, i to szybko. I będę się śmiał, jak mnie zabijesz, tak jak się śmieję, kiedy mnie kopiesz. Na końcu wszystkiego usłyszysz echo tego śmiechu i będziesz wiedział, że mogłem cię powstrzymać. Mogłem ci powiedzieć.

„Nie rób tego, o nie, tego nie, mógłby powiedzieć. Albo wszyscy zginą”.

– I powiedziałbym – dośpiewał po serafińsku – gdybyś był miłszy dla biednego, połamanego stworzenia.

## **Na tej planecie wszyscy poza nim są idiotami**

**D**zień dobry, królu Morganie – powiedział Gabriel, zaglądając do laboratorium. – Jak się ma jedyny nieidiota na tej planecie?

– Chrzań się – odparł Morgan, nawet się nie odwracając od komputera.  
– To świetnie – mówił dalej Gabriel. – Też mam cudowny poranek. – Wszedł do laboratorium i się rozejrzył. – Widziałeś gdzieś Elizę? Nie wróciła do domu.

Morgan hfknął. To najbliższy fonetyczny zapis dźwięku, który wydał przez nos: hfffk.

– Tak, widziałem ją. Widok Elizy Jones śpiącej z otwartymi ustami spaprał mi cały dzień.

– Ach – zareagował Gabriel, wciąż w szampańskim nastroju. – Nie, to chyba nie to. Myślę, że był spapwany, już kiedy obudziłeś się ze snu, w którym miałeś przyjaciół i byłeś lubiany, a okazało się, że wciąż jesteś sobą.

Morgan w końcu się ruszył, żeby rzucić mu piorunujące kwasem spojrzenie.

– Czego chcesz, Edinger?

– Chyba ci powiedziałem? Szukam Elizy.

– Której tu nie ma, chyba widzisz. – Morgan odwrócił się z powrotem do monitora.

Już miał odwarknąć, z porcją drwiny, którą dysponował w dużych ilościach, że pewnie nie ma jej nawet w kraju, a zakończyć czarującym przypuszczeniem, że to jej nieobecność jest powodem niespotykanej przejrzystości powietrza, ale wtedy Gabriel znowu się odezwał:

– Mam jej komórkę. Nie przyszła do domu, a w tym czasie dostała chyba z milion wiadomości. Naprawdę nie sądziłem, że można tak długo przetrwać bez telefonu. Jesteś pewien, że nic jej nie jest?

Wtedy wyraz twarzy Morgana się zmienił. Wciąż siedział tyłem, ale gdyby Gabriel się przyjrzał, mógłby to wychwycić w odbiciu. Ale on nigdy nie zwracał uwagi na Morgana Totha.

– Poszła gdzieś z doktorem Chaudharym – odparł Morgan tonem kwaśnym jak zwykle, ale w jego twarzy pojawiła się chytrość i jakaś lodowata, złowroga zapalczliwość. – Zaraz wrócę, jak chcesz, to zostaw ten telefon.

Gabriel się wahał. Ważył komórkę w dłoni i rozglądał się po laboratorium. Przy jednym ze stanowisk zobaczył przewieszony przez oparcie sweter Elizy.

– No dobra – zgodził się w końcu. Podeszedł kilka kroków i położył komórkę na tym miejscu. – Powiedz jej, żeby mi wysłała SMS, jak ją

dostanie.

– Pewnie – powiedział Morgan i Gabriel przez chwilę zawahał się w drzwiach, bo wydało mu się podejrzane, że ten bufon tak gładko zgadza się na współpracę. Ale wtedy Morgan dodał: – Wiesz co? Może w ogóle przestań oddychać, aż dostaniesz tę wiadomość.

Wtedy Gabriel wywrócił oczami i wyszedł.

Morgan Toth był nieopisanie wręcz wstrzemięźliwy. Odczekał pięć minut, pięć długich minut, trzysta mikroskopijnych drgnień chudej wskazówki zegarka, zanim zablokował drzwi i wziął telefon do ręki.

## Smarkający szczęściem

Na pewno dasz radę? – spytał Akiva siostrę i aż zmarszczył czoło z niepokoju. Stali w pierwszej jaskini, gdzie poprzedniego dnia obie armie niemal się wzajemnie wykończyły. Teraz działo się coś... innego.

– Spędzić kilka dni w towarzystwie twojej ukochanej? – odparła Liraz i podniosła wzrok znad pasa, który zapinała. – Nie będzie łatwo. Zwłaszcza jeśli każe mi nosić ludzkie ubrania. Wtedy nie ręczę za siebie.

Uśmiech Akivy nie był wesoły. Niczego bardziej nie pragnął, niż spędzić kilka dni z Karou, nawet takich, na jakie te się zapowiadały. Trzeba będzie przekonać ich okrutnego, podżegającego do wojny wuja, żeby wrócił do domu, choć wcale nie miał tego w planach.

– Jesteś odpowiedzialna nie tylko za swoje zachowanie – powiedział tonem, jak sądził, lekkim.

Ale nie zabrzmiało to tak swobodnie, jak chciał. W jej oczach błysnął gniew.

– A co, boisz się mi powierzyć swoją bezcenną pannę? Może powinieneś wyznaczyć batalion do eskorty?

„Albo polecieć sam”, chciał dodać. Obiecał Karou, że nie spuści jej z oka, ale okazało się, że jeszcze ten jeden raz musi. Wszyscy się zgodzili

na jej plan, równie śmiały jak przebiegły, a on miał odegrać ważną rolę, ale w tym celu musiał zostać w Eretz, podczas gdy Liraz z Karou miały wrócić do świata ludzi.

– Wiesz, że ci ufam – stwierdził i prawie to czuł. Wierzył, że będzie pilnować Karou. Ale kiedy pytał, czy da radę, na myśli miał coś innego. – Ale kiedy przyjdzie co do czego, powstrzymasz się przed zabiciem Jaela?

– Przecież powiedziałam, że tak.

– Niezbyt przekonująco.

Na wznowionej naradzie Liraz zareagowała na pomysł Karou pełnym niedowierzaniem wybuchem śmiechu, a potem wpatrywała się w zgromadzonych z rosnącym zdumieniem, że w ogóle biorą taką opcję pod uwagę.

Chodziło o niezabijanie Jaela.

Jeszcze.

Kiedy po wielu dyskusjach wszyscy się zgodzili, Liraz się nie odezwała, co wzbudziło w Akivie podejrzenia. Jej milczenie zinterpretował tak, że bez względu na wszelkie umowy, kiedy stanie twarzą w twarz z okrutnym wujem, zrobi, co będzie chciała.

– Mówiłam już, że tego nie zrobię – powtórzyła tonem zamykającym dalszą dyskusję, chociaż jej wzrok rzucał mu wyzwanie, żeby dociekał dalej.

„Powiedzmy to sobie wprost, Lir, wyobrażał sobie, jak to mówi, chyba nie zamierzasz wszystkiego zepsuć, prawda?”

Ale odpuścił.

– Pomścimy Hazaela – zapowiedział. Było to pocieszenie albo półprawda. Chciał tego tak samo jak ona.

Parsknęła krótkim, cynicznym śmiechem.

– Tak, a w każdym razie ci z nas, którzy nie są zajęci smarkaniem szczęściem.

Ukłuło. „Smarkanie szczęściem”. W jej ustach zabrzmiało jak coś płytkiego, a nawet gorzej. Słyszał niechęć. Czy zakochując się, zdradzał pamięć Hazaela? Pamiętał, co wcześniej powiedziała Karou: że w imię zmarłych robimy czasem straszne rzeczy, nie zastanawiając się, czy naprawdę by tego chcieli. Tu nie miał wątpliwości: Hazael nie miałby do niego żalu o szczęście. Ale Liraz najwyraźniej była innego zdania.

Nie zareagował na jej przytyk. Bo co miał powiedzieć? Wystarczyło się rozejrzeć, żeby zobaczyć dowód tej miłości. Dokonująca się w tej jaskini

integracja serafinów i chimer była cudem, i to był ich cud, jego i Karou. Nie powiedziała by tego na głos, ale w głębi serca wiedział, że tak właśnie jest.

Oczywiście Liraz odegrała w tym pewną rolę. Ona i Thiago. Ich dwoje, stojąc ramię w ramię, dawali przykład swoim armiom. To oni negocjowali warunki przemieszania batalionów i sami przypieczętowali umowę. Akiva naznaczył dwieście dziewięćdziesięcioro sześćcioro braci i sióstr swoim magicznym znakiem odpierającym moc hams i w tej chwili, na ich oczach, żołnierze testowali ich skuteczność.

Kilkoro po obydwu stronach trzymało się z boku, ale większość zaangażowała się w pełną obaw wersję gry w bycie kolegami, oczywiście znacznie mniej okrutną niż ta, której ofiarą padła Liraz.

Akiva patrzył, jak jego brat Xathanael zachęca Sabkę o głowie szakała do pokazania mu dłoni. Nie chciała, zerknęła na Wilka. Kiedy skinął głową, zrobiła to. Uniosła rękę, kierując na niego wytatuowane oczy, i... nic się nie stało.

Stali na ciemnej plamie krwi Uthema, w miejscu, gdzie zaledwie wczoraj przyszłość ich przymierza wisiała na włosku, i nic się nie działo. Xathanael był spięty, ale potem się rozluźnił i ze śmiechem trzepnął Sabkę w ramię, na tyle mocno, że mogła to uznać za zaczepkę. Ale śmiech wygrał, nie miała żalu.

Akiva widział też, jak Issa odpowiada na zaproszenie Elyona do dotknięcia go. Z wdziękiem wyciągnęła dłoń i położyła ją na jego pokrytej bliznami i tatuażami rękę.

W tym widowisku była taka moc, że Akiva najchętniej by ją odsączył i zmienił w eliksir dla całego Eretz. Jest tylu, może będzie więcej, pomyślał, jakby to była modlitwa.

A potem rozejrzał się za niebieskim błyskiem, na który był nastrojony, i wypatrywał Karou, a ona znalazła wzrokiem jego. Błysk, wybuch. Jedno spojrzenie i czuł się jak pijany światłem. Nie była blisko. O gwiazdne bóstwa, czemu nie bliżej? Akiva czuł się przytłoczony ilością powietrza, które ich od siebie dzieliło. A wkrótce będą ich dzieliły całe nieba...

– Przepraszam – odezwała się cicho Liraz. – To nie było miłe.

Przeszło go ciepło, duma i czułość pomieszana z opiekuńczością. Jego zjeżonej siostrze przeprosiny nie przychodziły łatwo.

– Nie było – zgodził się, a potem dodał, znów siląc się na swobodny ton: – A skoro już mówimy o byciu miłym: mogłaś dzisiaj poczekać

jeszcze chwilę, zanim się wpakowałaś do mojej jaskini. Byliśmy dosłownie o kilka sekund od pocałunku.

Liraz parsknęła, bo tego się nie spodziewała, i napięcie między nimi zelżało.

– Bardzo cię przepraszam, że moje „kilka sekund od śmierci” wygrało z twoim „kilka sekund od pocałunku”.

– No cóż, wybaczam ci – orzekł Akiva. Trudno się żartowało na temat tak straszliwej rzeczy, której cudem uniknęli, ale był pewien, że tak by zrobił Hazael, a to rozwiewało wszystkie wątpliwości: to, co robił Hazael, zawsze wychodziło na dobre. – Ale żeby mi to był ostatni raz! – dodał. – Następnym razem wybierz na swoje „prawie umieranie” lepszy moment. Albo nie, lepiej już się w ogóle nie pakuj w takie sytuacje. – „Spróbuj prawie całowania, chciał dodać, albo całkiem całowania”, ale nic nie powiedział, bo nie mógł sobie tego wyobrazić. Poza tym wiedział, że taka odzywka ją wkurzy. Ale życzył jej, żeby pewnego razu i ona zaczęła smarkać szczęściem.

– Pójdę się umyć przed wylotem – oznajmił i odepchnął się od ściany, o którą się opierał.

Kilka godzin nieprzerwanej magii i ciało mu ciążyło, jakby było z ołowiu. Poruszał ramionami i kręcił szyją.

– Idź do gorących źródeł – poradziła Liraz. – Są... naprawdę cudowne.

Zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na nią zmrużonymi oczami.

– „Naprawdę cudowne”? – powtórzył.

Chyba nigdy nie słyszał, żeby Liraz użyła słowa „cudowne” i... Czy to coś na jej policzkach to rumieniec? Ciekawe.

– Chodzi mi o uzdrawiającą wodę – sprecyzowała, a jej niewzruszone, bezpośrednie spojrzenie było zbyt niewzruszone i zbyt bezpośrednie.

Coś ukrywała i przesadzała z tym wymuszonym chłodem. No i ten rumieniec...

Bardzo, bardzo ciekawe.

– Nie mam teraz czasu. – W jednej z jaskiń w korytarzu była woda. – Zaraz wrócę – zapowiedział.

Wolałby pójść do tych źródeł z Karou, ale to był jeszcze jeden punkt na smętnej liście rzeczy, które robi, kiedy odzyska życie na własność.

Wykapie się z Karou.

Razem z myślą napłynęła fala ciepła, która o dziwo nie napotkała na przeszkodę w postaci poczucia winy i odruchu odmówienia sobie

przyjemności. Był tak przyzwyczajony do natykania się na nie, że ich brak wydawał się wręcz abstrakcyjny. Czuł się, jakby wyszedł z za rogu, który mijał tysiąc razy i za każdym razem natrafiał tam na ścianę, a teraz w jej miejscu zobaczył przestworza.

Wolność.

I nawet jeśli jeszcze nie byli wolni, to przynajmniej mógł swobodnie marzyć, i to było wielkim osiągnięciem.

Karou mu przebaczyła.

Kochała go.

Ale teraz znów się rozstawali, A on jej nie pocałował, i to nie było w porządku. Jednak nawet gdyby nie musieli ukrywać uczuć przed obydwoma armiami i gdyby udało im się ukraść chwilę dla siebie, Akivę powstrzymałby żołnierski przesąd o pożegnaniach. Nie wolno się żegnać. To przynosiło pecha, a pocałunek na do widzenia też był pożegnaniem. Pocałunek na dobry początek nie powinien być jednocześnie pożegnaniem. Będą musieli poczekać.

Korytarz skręcał w płytkie zagłębienie, w którym z nierównej ściany wypływał strumień lodowatej wody, wypełniał sięgający pasa zbiornik i po kilku metrach znów znikał w skale. Tak jak wiele innych cudów, ten tutaj wyglądał na dzieło natury, ale prawdopodobnie nim nie był. Akiva rozpiął pas i powiesił na wystającym kamieniu, a potem zdjął koszulę.

Nabrał w dłonie lodowatej wody i zanurzył twarz. Raz za razem obmywał szyję, pierś i ramiona. Zanurzył głowę, a potem się wyprostował. Czuł, jak woda paruje na jego rozgrzanej skórze i strumyki spływają między skrzydłami.

Plan Karou był rozsądny. Mądry i znacznie mniej ryzykowny niż poprzedni. Dlatego się na niego zgodził. Jeśli się powiedzie, świat ludzi będzie znacznie bezpieczniejszy, huragan osłabnie i przejdzie w silny wiatr. Wciąż będą co prawda mieli na głowie Eretz, ale to żadna nowość, a przynajmniej uniemożliwią wrogowi zdobycie – jak to ujęła Karou – broni masowego rażenia.

Liraz wyśmiała ją na pierwszej naradzie, sugerując, że powinni poprosić Jaela, żeby odleciał, ale właśnie na tym polegał plan: przekonać go, żeby był tak miły i pozbierał swoją armię, a następnie wrócił do domu bez tego, po co przybył. Potem grzecznie podziękować i pójść spać.

Kluczowy dla tego planu był argument. Prosty i genialny; nie polegał oczywiście na zwykłym „prosimy” i Akiva nie wątpił, że Karou i jego



siostra dadzą radę. Były silne, ale były też dwiema istotami, na których zależało mu najbardziej na świecie – światach – i chciał, żeby obydwie bezpiecznie trafiły do przyszłości, jaką sobie wymarzył. Takiej, w której nikt nie będzie ryzykował życia, a najtrudniejszą decyzją będzie, co zjeść na śniadanie albo gdzie się kochać.

Liraz miała rację, pomyślał. Naprawdę aż smarkał szczęściem. Nie liczył na sam na sam z Karou, więc kiedy usłyszał coś za plecami – brzmiało to jak cichy wdech – natychmiast się odwrócił, pewien, że ją zobaczy.

Ale nie zobaczył nikogo.

Uśmiechnął się. Czuł, że ktoś przed nim stoi, i nie wątpił, że słyszał oddech. Znów przyszła pod osłoną czar, co oznaczało, że nikt jej nie widział. Cokolwiek sobie kilka minut wcześniej wmawiał, że pierwszy pocałunek nie może być jednocześnie pożegnalnym, nijak się miało do przyływu nadziei, którą poczuł. Potrzebował tego. Porozumienie między nimi wydawało się niedokończone, te dłonie na sercach... Nie będzie pewien swojego szczęścia ani nie odetchnie pełną piersią, aż... – o dziwo, znów nie napotkał poczucia winy, widział tylko nieskończone niebiosa możliwości – ją pocałuje. Olać przesady.

– Karou? – spytał z uśmiechem. – Jesteś tu?

Czekał, aż się pokaże, gotów ją złapać w ramiona. Teraz mógł to zrobić. Jeśli nikogo nie było w pobliżu, ma się rozumieć.

Ale ona się nie pokazała.

Niespodziewanie ta obecność – bo ktoś tu był – dała się odczuć jako obca i wręcz wroga. I jakaś jeszcze. Dopadło go dziwne uczucie, wręcz w niego weszło i Akiva doświadczył nieznanego wcześniej przekonania, że jego życie jest odrębnym bytem. Pojedyncza, lśniąca jednostka spętana przez stada innych, krucha i bezbronna. Przeszył go dreszcz.

– Karou, to ty? – zapytał jeszcze raz, chociaż wiedział, że to nie ona.

W tym momencie usłyszał na korytarzu kroki i Karou weszła do tej otwartej jaskini. Nie okrywał jej czar, była widzialna i promieniejąca. Stała jak wryta i zarumieniła się, gdy zobaczyła, że jest rozebrany do pasa. Widział w jej uśmiechu, że przyszła z tą samą nadzieją, która rozkwitła w nim chwilę wcześniej.

– Cześć – powiedziała miękko. Patrzyła szeroko otwartymi oczami. Jej nadzieja sięgała do jego nadziei, ale czuł, że sięga po nią coś jeszcze. Po jego życie. To było groźne i złe.

I znajdowało się tutaj z nimi.

## Szczęśliwy przypadek pośród gwiazdowego pyłu

Eliza obudziła się nagle. Nie krzyczała ani nawet nie zbliżała się do krzyku. Tak naprawdę w ogóle się nie bała, i to była bardzo miła niespodzianka. W końcu poddała się senności, bo wiedziała, że musi, przecież deprywacja snu może człowieka zabić. Miała tylko nadzieję, że: a) sen jakimś cudem da jej spokój, b) ściany są tak grube, że jakby co, stłumią jej wrzaski.

Wyglądało na to, że zrealizowała się wersja a), co powitała z wielką ulgą, jako że wersja b) z pewnością by zawiodła. Słyszała szczekanie psów z zewnątrz, wyglądało więc na to, że ściany, chociaż grube, niczego nie wyciszały.

Ale co w takim razie ją obudziło, skoro nie sen? Może te psy? Nie, to coś...

Nie ten sen, inny sen, tanecznym krokiem znikający za krawędzią podświadomości, jak cienie umykające przed światłem latarki. Leżała i przez chwilę miała wrażenie, że gdyby spróbowała, mogłaby go złapać. Jej umysł wciąż stąpał na paluszkach wzdłuż granicy świadomości, w stanie półprzebudzenia, rozpinając sieci między jawą a snem i przez moment wydawało jej się, że jest dziewczyną, która schodzi po schodkach werandy, żeby małym światełkiem zaatakować wielką ciemność.

Co było bardzo, bardzo głupie, więc usiadła i pokręciła głową. Strząsnęła to wszystko. Sio, sny! I nie wracać mi tu! Na parapecie okna można zamontować kolce, żeby gołębie nie siadały. Jej przydałyby się kolce na umysł, żeby przegonić sny. Kolce na umysł parapsychiczny. Super.

Ale ponieważ takich kolców nie było, po prostu nie położyła się z powrotem. Zresztą wątpiła, czy by w ogóle zasnęła. Cztery godziny powinny na jakiś czas zażegnać ryzyko śmierci z powodu braku snu. Zsunęła nogi z łóżka i usiadła. Laptop leżał obok. Wcześniej zgrała pierwszą porcję zdjęć i zakodowała przed wysłaniem na bezpieczny muzealny e-mail, a potem usunęła z aparatu.

Po południu razem z doktorem Chaudharym zaczęli zbierać próbki tkanek, a rano mieli wrócić i pracować dalej. Obstawiała, że zajmie im to parę dni. Ze względu na dziwaczną budowę badanych ciał musieli próbkować każdą część: ciało, futro, pióra, łuski, pazury... Dalszy ciąg prac czeka ich w laboratorium i ten krótki wyjazd będzie się wydawał snem. Błyskawicznym i dziwnym.

Co im powiedzą wyniki badań? Nie potrafiła nawet postawić hipotezy. Czy od jednej chimery uzyskają zbiór różnych DNA? Tu pantera, tam sowa, a pomiędzy człowiek? A może jej DNA będzie jednolite, tylko w różnej formie manifestowane? Tak jak z kodem genetycznym człowieka: to samo DNA zawierają i gałki oczne, i paznokcie u nóg, i wszelkie inne składniki ciała.

A może... znajdą coś dziwniejszego? Zupełnie osobliwego, innego niż cokolwiek na świecie? Aż zadrżała. To było coś tak wielkiego, że nie wiedziała, w którym miejscu głowy to umieścić. Gdyby wolno jej było o tym mówić, gdyby zadzwoniła do Taja albo do Catherine – i gdyby w ogóle miała telefon – co by im powiedziała?

Wstała i podeszła do okna. Wychodziło na wewnętrzny dziedziniec, ale że nic nie było widać, włożyła dżinsy, buty i wyślizgnęła się na korytarz.

Takie czajenie się oczywiście nie było konieczne. Gdyby była w wielkim, megawypasionym hotelu, spowita w rozkoszną mgiełkę anonimowości, beztrudno by chodziła, gdzie jej się podoba. Ale to nie był wielki, megawypasiony hotel. To była kasba. Nie tamta, tylko kasba zmieniona w hotel, nie tak daleko od ich miejsca pracy. No dobrze, dzieliło je kilka godzin jazdy, ale w obliczu tego krajobrazu to naprawdę niewiele. Jadąc dalej prosto, dotarłoby się do Sahary. A Sahara była wielkości całych Stanów Zjednoczonych. W tej sytuacji kilka godzin jazdy to naprawdę nic.

Ta kasba nazywała się Tamnougalt i chociaż przy bramie powitały ich ponure dzieci, wykonujące zaostrzonymi kijkami gesty dżgania, Eliza była zachwycona. Znajdowała się w błotnym mieście, w sercu palmowej

oazy. Najwyższym jej budynkiem była kasba z odremontowaną środkową częścią, a i tak wielkich luksusów brakowało. Wciąż wyglądała jak budowla z błota – ładna budowla z błota – ale pokoje okazały się całkiem wygodne, z wysoko zawieszonymi sufitami i wełnianymi dywanikami, a na dachu mieścił się taras z widokiem na falujące palmy. Wczorajszego wieczoru, w czasie kolacji z doktorem Chaudharym, widziała więcej gwiazd niż kiedykolwiek w życiu.

Widziałam więcej gwiazd niż jakakolwiek żywa istota.

Eliza się zatrzymała, zamknęła oczy i przycisnęła do nich koniuszki palców, jakby mogła w ten sposób zatrzymać wzbierający w niej wir. Wyobrazić sobie kolce na umyśle i nadzieć na nie kilka z tych cholernych sennych gołębi.

Zabiłam więcej gwiazd niż ktokolwiek kiedykolwiek zobaczy.

Pokręciła głową. Do jej świadomości wnikały znajome ścieżki przerażenia i poczucia winy. Kojarzyły się z bladymi, zdesperowanymi korzeniami, które przedzierają się przez dziurki w dnie doniczki. Myślała o rzeczach, których nie można pojąć, ale starała się tym nie przejmować. Zignoruj to, mówiła sobie. Niczego nie zabiłaś. Wiesz o tym.

Ale nie dała rady. Nagle się okazało, że wie różne rzeczy i doświadcza kompletnie nienaukowego przekonania w kwestii wielkich zagadnień kosmologicznych, jak na przykład istnienia innego wszechświata. Oczywiście co do swojej niewinności żadnego przekonania nie miała. W każdym razie nie w dogłębnym, istotnym sensie. Głos rozsądku stawał się coraz bardziej bełkotliwy i nieprzekonujący, co chyba nie było najlepszym znakiem.

Schodek za schodkiem, Eliza ciężko wchodziła na taras i wmawiała sobie, że to tylko stres, a nie szaleństwo. Jeszcze nie zwariowała i już nie zwariuję. Za bardzo o to walczyła. Wyszła na nocne powietrze i zaskoczył ją chłód. Wyraźniej usłyszała psy szczekające niżej, na jałowej ziemi.

Potem zobaczyła doktora Chaudhary'ego, który wciąż siedział tam, gdzie go zostawiła kilka godzin wcześniej. Pomachał do niej.

– Siedział pan tu cały czas? – Podeszła.

Roześmiał się.

– Nie. Usiłowałem zasnąć, ale nie mogłem. Mój umysł wciąż pracuje. Myślę o ewentualnościach.

– Ja też.

– Proszę, siadaj – zaproponował, więc usiadła. Przez chwilę milczeli, otoczeni nocą, a potem znów się odezwał: – Skąd oni się wzięli? – Eliza myślała, że pyta retorycznie, ale nastąpiła cisza na tyle długa, że gdyby się ośmieliła, zaryzykowałaby odpowiedź.

Morgan Toth by się ośmielił.

– Z innego wszechświata. Niech mi pan wierzy. Ja to wiem. Przewracało mi się to po głowie już od dawna.

Doktor Chaudhary uniósł brwi.

– Tak szybko? Myślałem, Elizo, że wierzysz w Boga?

– Tak? Nie. Dlaczego pan tak myślał?

– To nie zarzut. Ja wierzę.

– Naprawdę? – To ją zaskoczyło. Wiedziała, że wielu naukowców wierzy w Boga, ale on nie wydawał jej się religijny. Poza tym jego specjalizacja – odtwarzanie historii ewolucji za pomocą DNA – wyjątkowo nie przystawała do kreacjonizmu. – Nie ma pan problemów z pogodzeniem tego?

Wzruszył ramionami.

– Moja żona lubi mawiać, że umysł jest pałacem z pokojami dla wielu gości. Być może kamerdyner umieszcza delegatów Nauki w innym skrzydle niż emisariuszy Wiary, żeby się nie mogli kłócić na korytarzach.

Zadziwiająca filuterność jak na niego. Eliza aż nie mogła uwierzyć.

– A jeśli – zaryzykowała – wpadliby na siebie w tej chwili, kto by wygrał?

– Masz na myśli, skąd moim zdaniem wzięli się Przybysze?

Pokiwała głową.

– Jestem zmuszony przyznać, że z dużym prawdopodobieństwem wzięli się z laboratorium. Sądzę, że na podstawie dzisiejszych badań możemy wykluczyć chirurgię, ale nie to, że ktoś zdołał ich wyhodować.

– Ma pan na myśli laboratorium szaleńca we wnętrzu wulkanu?

Roześmiał się.

– W rzeczy samej! Gdyby chodziło tylko o te ciała, o potwory, jak możemy je nazwać, teoria miałaby być może jakieś szanse potwierdzenia, ale co z aniołami? One są bardziej złożone.

Tak. Ogień, latanie.

– Słyszał pan – spytała – że baza twarzy nie znalazła nikogo podobnego do nich?

Pokiwał głową.

– Słyszałem. A jeśli założylibyśmy dla dobra dyskusji, że nasi goście pochodzą z... z innego miejsca, co mamy do wyboru?

– Inny wszechświat albo... Niebo i Piekło – odpowiedziała.

– Tak. Ale kiedy tak się wpatruję w gwiazdy... Patrzenie jest zbyt słabym określeniem, gdy się ma do dyspozycji takie gwiazdy jak te, nie sądzisz?

Bardzo filuterny, stwierdziła Eliza, jednocześnie kiwając głową.

– Może to goście mieszkają się w pałacu – kontynuował, poklepując się po głowie, żeby nie było wątpliwości, jaki pałac ma na myśli – ale myślę sobie: co to w ogóle znaczy? Może to dwa sposoby na powiedzenie tego samego? Może „niebo” i „piekło” są po prostu innymi wszechświatami?

– „Po prostu innymi wszechświatami” – powtórzyła z uśmiechem Eliza.

– A Wielki Wybuch był po prostu eksplozją.

Doktor Chaudhary zachichotał.

– Czy inny wszechświat jest ideą mniejszą, czy większą niż idea Boga? Czy to ma znaczenie? Jeśli istnieje przestrzeń, w której przebywają anioły, to tylko kwestia semantyczna, czy nazwiemy ją Niebem.

– Nie – zaoponowała Eliza głośniejsz i bardziej stanowczo, niż zamierzała. – To nie jest kwestia semantyczna, tylko kwestia motywacji.

– Słucham? – Spojrzał pytająco.

Ton Elizy stał się ostrzejszy.

– Czego oni chcą? – spytała. – Myślę, że to ważniejsze pytanie. Skądś się wzięli. Z innego wszechświata. A jeśli to „gdzieś” nie ma nic wspólnego z Bogiem – a nie ma – to znaczy, że działają samodzielnie. I to jest straszne.

Doktor Chaudhary nic nie powiedział, tylko spojrzał znów w gwiazdy. Milczał tak długo, że zaczęła się zastanawiać, czy nie stłamsiła jego niespodziewanej gadatliwości, ale wtedy przemówił:

– Mogę ci powiedzieć coś osobliwego, Elizo? Ciekaw jestem, co ty na to.

Horyzont zaczynał jaśnieć. Wkrótce wszędzie słońce. Obserwowanie takiego wschodu słońca i takiego nieba dobitnie uświadamiało, że tylko grawitacja przykleja ich do gigantycznej, pozostającej w ruchu skały, a z miejsca, w którym akurat się znajdowali, bez problemu można było sobie wyobrazić potęgę wszechświata, który był dla umysłu zbyt ogromny, żeby go objąć. A przecież to tylko jeden wszechświat.

Może zbyt ogromny dla ludzkiego umysłu.

– Oczywiście znasz Człowieka z Piltdown? – zaczął doktor Chaudhary.

– Tak. – Była to chyba najszlachetniejsza naukowa mistyfikacja w historii. Chodziło o rzekome odkrycie w Anglii ludzkiej czaszki z początków naszego gatunku.

– Tak – kontynuował Chaudhary. – Fałszerstwo udowodniono w 1953 roku, to ważne. Czaszka została natychmiast i ze wstydem usunięta z Muzeum Brytyjskiego, gdzie przez czterdzieści lat służyła jako dowód na błąd w teorii ewolucji człowieka. Zaledwie kilka lat później, w 1956 roku, dokonano kolejnego odkrycia, tym razem w Andach Patagońskich. Niemiecki paleontolog amator odnalazł skupisko... – Zamilkł na moment, żeby zrobić większe wrażenie. – ...szkieletów należących do potworów.

Na jakimś etapie w głowie Elizy wszystko się popsuło. Senne obłączenie i nieudane kolce na umysł. Doktor Chaudhary miał jej powiedzieć coś osobliwego i chociaż czuła, że jest w odmiennym stanie świadomości, miała na tyle jasny umysł, żeby wiedzieć co jest w tej historii faktem niezwykłym: szkielety, nie miejsce. A jednak to tam się znalazła.

Jak tylko o tym wspomniał, zobaczyła je: wysokie, postrzępione szczyty, ostre jak kły. Jeziora, absurdalne w błękitnej krystaliczności. Lód i lodowe doliny, lasy gęste od mgły. Dzikość, która mogła zabić i zabiła, ale nie ją, bo ją nie tak łatwo było zabić, a przeżyła już coś gorszego.

Wydawało jej się, że znalazła się w środku siebie, była jak sukienka przewrócona na lewą stronę. Siedziała wciąż z doktorem Chaudharym i słyszała, co mówi o szkieletach potworów: że w tak nieodległym czasie po człowieku z Piltdown nie mogły być uznane za cokolwiek innego niż żart, choć tak czy siak ten żart domagał się zbadania, ale jego słowa były jak woda prześlizgująca się w korycie strumienia złożonego z tysiąca wypolerowanych kamieni, z tysiąca tysięcy, które lśniły pod powierzchnią wody, były nią i czymś więcej niż ona. Ona też była czymś więcej niż ona i choć nie wiedziała, co to znaczy, czuła to.

Była więcej niż tylko sobą i widziała miejsce, o którym opowiadał. Nie wykopane szkielety, tylko tamtą ziemię, a przede wszystkim tamto niebo. Odchyliła się, spojrzała w górę i zobaczyła niebo, które wisiało nad nią teraz, i to, które miała nad sobą wtedy. Co znaczy wtedy? Kiedy? Załamała ją świadomość, że zostało jej to odebrane.

Niebo ją odrzuciło, wtedy, teraz i na zawsze.

Łzy na policzkach poczuła w tej samej chwili, kiedy doktor je zauważył. Cały czas jeszcze mówił:

– Muzeum Paleontologii w Berkeley ma te szczątki. Trochę z ciekawości, trochę z naukowej przyzwoitości, ale mam przeczucie, że to zmieni... Elizo, co się stało?

Otarła łzy, ale wciąż płynęły, a ona nie mogła mówić.

Przez chwilę wpatrywała się w gwiazdy, aż zakręciło się jej w głowie. Nie patrzyła, tylko się wpatrywała i czuła wokół siebie wszechświat, rozległy i pełen tajemnic. Wyczuwała też, że pod spodem jest jeszcze większy i potężniejszy, pod drugim spodem jeszcze bardziej, a potem jeszcze głębiej. Jakimś cudem niepoznawalne głębiny w jej wnętrzu reagowały na niepoznawalne przestrzenie wokół i... To nie chodziło o drugi wszechświat.

Było ich wiele.

Wiele, a pod nimi jeszcze więcej, niepoznawalnych.

Widziałam je, myślała Eliza. Łzy spływały jej po twarzy strumieniami, a ona wreszcie zrozumiała naturę snu i okazała się ona jeszcze gorsza, niż się obawiała. To nie było prorocstwo. Wszyscy przez cały czas się mylili. Ona nie widziała końca świata.

W każdym razie nie tego świata.

Sen nie dotyczył przyszłości, tylko przeszłości. Był wspomnieniem, ale kwestia tego, jakim cudem Eliza mogła mieć takie wspomnienia, została przyćmiona znaczeniem tego faktu. Tego się nie da powstrzymać. Bo to się już stało.

Widziałam inne wszechświaty. Byłam w nich.

I je zniszczyłam.

## Potomek

*Sirithar* wzywał zapachem piżma, a kamienne korytarze same ją prowadziły przez twierdzę martwych ludzi. I wreszcie Scarab, królowa Stelian, odnalazła mędrca, którego zamierzała uśmiercić.



Ściagała go przez pół świata i oto był, sam w zamkniętym i ustronnym miejscu. Stał tyłem do niej, obnażony do pasa, i nabierał wody ze strumienia wypływającego ze ściany. Wylewał ją sobie na twarz, szyję i pierś. Woda był zimna, a jego ciało gorące, więc para unosiła się nad nim jak mgła. Zanurzył głowę i przeczesał włosy. Palce miał wytatuowane, a włosy gęste, czarne i bardzo krótkie. Kiedy się wyprostował, woda spłynęła mu po karku i wtedy Scarab wypatrzyła bliznę.

Miała kształt zamkniętego oka i chociaż czuła od niej moc, tego symbolu nie znała. Nie pochodził z jej symbolikonu. Podejrzewała, że to jego wytwór, tak jak przeogromny wichur i tamta rozpacz, ale do jego wykonania nie użył kradzionego *siritharu*, bo odczułaby dreszcz. Mimo to elektryzujący *sirithar* był blisko niego. Jak ozon, ale bogatszy. Uderzający do głowy.

Stał tu ten nieznaną jej mędrzec, który uderzył w struny świata, i wiedziała, że jeśli ona go nie powstrzyma, zniszczy wszystko. Spodziewała się, że jego widok wyzwoli w niej agresję i jej dusza będzie dążyć do zabicia go, tak jak piorun szuka najwyższego położonego punktu, by w niego uderzyć, ale wszystko wyglądało inaczej, niż sobie wyobrażała. I pomieszane wojska serafinów i chimer, i on.

– Zrobisz to, pani, czy ja mam to uczynić?

Głos Carnassiala pojawił się w jej głowie jak intymny szept. Stał kilka kroków za nią, niewidzialny jak i ona, ale jego umysł dotykał jej umysłu jak oddech owiewający ucho. Łaskotanie, ciepło, a nawet ślad zapachu. Dogłębnie rzeczywisty.

I bezczelny.

Natychmiast odpowiedziała i poczuła, że się wzdrygnął:

– A jak myślisz?! – To były jej jedyne słowa, ale nie na nich kończyła się odpowiedź.

Telestezja była sztuką przekazu na odległość bliższą snowi niż rozmowie. Nadawca wykorzystywał nici zmysłów, żeby sformułować wiadomość, słowną albo niewerbalną, która pojawiała się w umyśle odbiorcy w najróżniejszych postaciach: jako dźwięk, obraz, smak, dotyk, zapach albo wspomnienie. A jeśli przekazujący sobie informacje byli wyjątkowo skuteczni, także emocje. Wiadomość odebrana od mistrza telestezji była doświadczeniem pełniejszym niż rzeczywiste, przypominała sen na jawie, wzbudzony myślą. Scarab nie była mistrzynią, bynajmniej, ale potrafiła wplatać do przekazów kilka zmysłowych nici i

zrobiła to teraz. Zgięte kocie pazury i ukłucie pokrzyw... nauczyła ją tego Eidolon. Dla Carnassiala oznaczało to, że ma się wycofać i nie narzucać.

Czyżby myślał, że skoro podarowała mu swoje ciało w pierwszej porze wyśnienia, mógł nieproszony dotykać jej umysłu?

Mężczyźni!

Jedna pora wyśnienia to jedna pora wyśnienia. Gdyby wybrała go znowu w przyszłym roku, to mogłoby już coś znaczyć, ale nie podejrzewała, żeby tak się miało stać. Nie dlatego, że jej nie zadowolił, ale skąd miała znać jego faktyczną wartość, skoro nie porównywała go z nikim innym?

– Wybacz, moja królowo.

Ten przekaz dotarł do niej z pełnego szacunku oddalenia, odpowiedniego do fizycznego dystansu, i pozbawiony był zapachu i ruchu, co jej pasowało. Czuła też nutę skruchy, co było przyjemnym dodatkiem. Carnassial też nie był mistrzem telestezji. Mogło zresztą minąć jeszcze wiele czasu, zanim któreś osiągnie w niej maestrię, bo byli bardzo młodzi, ale on już miał zadatki. Nie bez powodu Scarab wybrała go na swojego strażnika honorowego. Do wyboru przyczyniły się też jego palce, którymi wiosną gorliwie uczył się na niej grać jak na lutni, głęboki, dudniący śmiech i głód taki sam, jak jej, rozumiejący go w pełni i odpowiadający mu na każdym poziomie, prawie jak w przekazach.

Zapowiadał się na zacnego mędrca, tak jak reszta jej straży, ale żaden z nich – ani jeden – nie pulsował tak żywą mocą jak serafin stojący teraz przed nią. Przesunęła wzrokiem po jego nagich plecach. Zaskoczyły ją. To były plecy wojownika, umięśnione i pokryte bliznami, a dwa miecze w spiętych pasami pochwach zawiesił na wystającym ze skały kamieniu. Był żołnierzem. Tyle się dowiedziała w Astrae, gdzie prosty lud mówił o nim z przerażeniem, ale do tej pory w to nie wierzyła. Nie pasowało jej to. Mędracy nie używają ostrzy, nie muszą. Kiedy zabija mędrzec, nie płynie krew. Kiedy ona go zabije, a po to tu przyleciała, on po prostu... przestanie żyć.

Życie jest tylko nicią łączącą duszę z ciałem. Kiedy się ją odnajdzie, zrywa się łatwo jak kwiat.

No to zrób to, powiedziała sobie i sięgnęła do jego nici, świadoma obecności Carnassiala i jego oczekiwania. Zrobisz to czy ja mam zrobić?, spytał i to ją ubodło. Wątpił, czy da radę, bo jeszcze nigdy tego nie robiła. W czasie treningu dotykała nici życia i pozwalała im śpiewać między

palcami – między palcami animy, swego bezcielesnego jestestwa. Można to było porównać do przykładania ostrza do gardła przeciwnika. Ja wygrywam, ty giniesz, życzę powodzenia w przyszłości. Nigdy za żadną nić nie szarpnęła, ale gdyby to zrobiła, miałyby się to tak do ostrza i gardła jak podejrzenie go jednym ruchem.

Czyli różnica była spora.

Ale mogła to zrobić. Udowodnić Carnassialowi, że ma predyspozycje do dokonania *ez vash*, czyli zadania czystego, śmiertelnego cięcia. Jeden ruch i po wszystkim. Nie poczuje nawet tej obcej nici, nie zatrzyma się, żeby cokolwiek z niej wyczytać, tylko zetnie ją za pomocą *animy* i on padnie martwy, a ona nawet nie zobaczy jego twarzy ani nie dotknie jego życia.

Potem pomyślała o *yoraya* i poczuła, że ma ochotę na więcej.

To była tylko legenda. Podobno. W Pierwszym Wieku istnienia jej ludzi, który trwał znacznie, znacznie dłużej niż Drugi Wiek i zakończył się wielką masakrą, Stelianie byli zupełnie inni niż teraz. Otaczali ich potężni wrogowie, więc żyli w stanie wiecznej wojny i większość ich magii skupiała się na sztukach wojennych. Opowiadano wówczas o *yorayach*, harfach, w których zamiast strun grały nici życia zaszlachtowanych wrogów. To była broń *animy* i nie istniała w rzeczywistym świecie. Nie dało się jej traktować jako trofeum ani przekazywać w spadku. Każdy mędrzec pracował na własną *yorayę* i z nią umierał. Uważano ją za krynicę największej mocy, ale i najmroczniejszej. Zdobywało się ją, zabijając, a to równie dobrze mogło doprowadzić starającego się o tę wielką siłę do szaleństwa.

Kiedy była małą dziewczynką, Scarab szokowała niańki, planując swoją *yorayę*.

– Będiesz moją pierwszą struną – powiedziała kiedyś ze złością do jednej z *aya*, która ośmieliła się wykąpać ją wbrew jej woli.

Te same słowa przysły jej do głowy teraz. Będiesz moją pierwszą struną, pomyślała o noszącym ślady blizn, umięśnionym nieznanym mędrцу, który stał plecami do niej. Jej *anima* wykonała ruch w celu dokonania egzekucji i zaraz śmiertelnie się przeraziła, bo przez chwilę naprawdę chciała to zrobić.

– Ostrożnie wybieraj pragnienia, które ukształtują twoje życie i będą nim rządzić, księżniczko – powiedziała jej wtedy towarzysząca w kąpieli *aya*. – Nawet, jeśli *yoraya* to prawda, mógłby ją zdobyć ktoś, kto ma

bardzo wielu wrogów, a my już tacy nie jesteśmy. Mamy ważniejsze zadania niż walka.

Zadania, tak. Praca nadawała ich życiu kierunek. I ich z tego życia okradała.

– I tak nikt nam nie dziękuje – odparła Scarab. Była jeszcze małym dzieckiem i bardziej ją interesowały opowieści o wojnie niż o świętych obowiązkach Stelian.

– Bo nikt nie wie. Nie robimy tego, żeby nam dziękowano ani dla reszty Eretz, chociaż z tego korzystają. Robimy to, żeby przetrwać, i dlatego, że nikt inny nie może.

Wtedy pokazała swojej *ayi* język, ale gdy dorosła, wzięła sobie jej słowa do serca. Ostatnio odrzuciła nawet kuszące zaproszenie tego głupca, imperatora Jorama. Mogła mieć z niego strunę do harfy, ale wysłała mu tylko kosz z owocami, a teraz i tak już było po nim. Zginął z ręki tego mędrca, jeśli wierzyć zasłyszonym historiom, więc wszystko się skończyło tak, jak powinno.

Nie chciała mieć wrogów. Nie chciała ani *yoraya*, ani wojny. W każdym razie sobie to wmawiała, chociaż tak naprawdę – co trzymała w sekrecie – jakiś głos w głębi niej wzywał do innych rzeczy.

Napawało ją to przerażeniem, ale i emocjonowało, a to mroczne podniecenie było najstraszniejsze ze wszystkiego.

Nie dokonała *ez vash*. W chwili, kiedy zdała sobie sprawę, że chciała się popisać przed Carnassialem, natychmiast się zbuntowała. To on powinien udowodniać swoją wartość, a nie ona. A poza tym chciała zobaczyć twarz mędrca i dotknąć jego życia, dowiedzieć się, kim jest, zanim go zabije. To nie byle co wywołać *sirithar*. To nie była dobra rzecz, ale na pewno wielka i chciała się dowiedzieć, jak to zrobił, skoro wiedza o magii w tak zwanym Imperium Serafinów była już dawno stracona.

Zamiast więc przerwać nić jego życia, *anima* Scarab do niej sięgnęła i dotknęła jej.

A potem wciągnęła powietrze.

Niezbyt gwałtownie, ale wystarczająco głośno, żeby się odwrócił.

– Scarab! – Przekaz Carnassiala brzmiał nagłaco. – Zrób to!

Ale nie zrobiła. Dotknęła i wiedziała, kim jest, zanim jeszcze zobaczyła jego twarz. A potem zobaczył ją i Carnassial, a chociaż nawet nie westchnął, czuła, że fale jego zdumienia spotykają się z jej falami.

Mędrzec o przydomku Pomór Dzikich, który umiał sprowadzić na

siebie *sirithar* i w związku z tym nie miał prawa zostać przy życiu, był bękartem, wojownikiem i ojcobójcą, a jakimś cudem był także Stelianem. Oczy pełne ognia wpatrywały się w pustą przestrzeń, gdzie stała, i to jej wystarczyło, żeby mieć pewność. Ale dowiedziała się czegoś jeszcze, co nieudolnie przekazała Carnassialowi w najprostszym z przekazów, bez używania zmysłów ani uczuć, po prostu słowami.

Wysłała tę wiadomość także do innych, którzy znajdowali się w korytarzach i jaskiniach i usiłowali zrozumieć, co się tutaj dzieje. Przekaz poszedł do Spectral i Reave, ale w ostatniej chwili powstrzymała się przed poinformowaniem Nightingale, dla której znaczyłoby to... bardzo wiele.

Czekała, wstrzymując oddech, aż on skończy przeczesać wzrokiem powietrze. I chociaż wiedziała, że nie może jej zobaczyć, odczytała w jego spojrzeniu, że był świadomy jej obecności, co także ją zaskoczyło.

Miał pewność, że stoi przed nim niewidzialna istota, a mimo to nie zareagował gwałtownie. Jego twarz się nie napięła, rysy stały się wręcz łagodniejsze. A potem – czym całkowicie zdumiał Scarab – się uśmiechnął. Z tak czystą przyjemnością i radością, że aż zapierało dech. Scarab, królowa młoda i piękna, do której uśmiechało się wielu mężczyzn, aż się zarumieniła.

Choć dobrze wiedziała, że to nie dla niej ten uśmiech.

Odezwał się potem głosem niskim, słodkim i napęczniałym miłością:

– Karou, jesteś tutaj?

Scarab zarumieniła się jeszcze bardziej i podziękowała w myślach za czar niewidzialności oraz za to, że chwilę wcześniej wypchnęła Carnassiala ze swojego umysłu i nie mógł teraz poczuć gorącej iskry, którą w niej wywołał uśmiech nieznajomego.

Był piękny, na jego widok człowiek nieruchomiał i zachwyty zapierał mu dech. Urody dodawała mu moc oraz pierwotny i dziki, piżmowy aromat *siritharu*, zakazany i przeklęty. Wdychanie go sprawiało rozkosz, ale najmocniej przeszywało jego szczęście, tak potężne, że Scarab doznawała go nie tylko oczami, ale i czuła w sercu.

O gwiazdne bóstwa! Nigdy takiego szczęścia nie zaznała i była pewna, że w nikim go nie wywoła. Pierwszej nocy z Carnassialem, tej wiosny, gdy rytuały i tańce się zakończyły, i wreszcie zostawiono ich samych, poczuła jego głód i zachwyty, zanim jej jeszcze dotknął. Wtedy wydawało jej się, że to coś wielkiego, ale w tej chwili zupełnie niespodziewanie wszystko zbladło i straciło urok.

Jego widok wyrażał znacznie więcej, a gdy spytała sama siebie, dla kogo to wszystko, to, co czuła, zmieniło się w ból.

Odebrała impulsy zwrotne od Reave, Spectral i od Carnassiala także – od Nightingale nie, bo jej nadal nie powiedziała – i nagle poczuła się przytłoczona. Reave i Spectral byli starszymi, bardziej doświadczonymi mędrkami i telestetami niż ona i Carnassial, a jedna wiadomość – wszystkie przyszły jednocześnie, splecione z sobą, więc nie była pewna, kto ją przekazał – zawierała tak wielkie zdumienie, że Scarab aż się zachwiała i zmrużyła oczy.

On znów się odezwał, ale tym razem niepewnie zmarszczył czoło, a jego uśmiech zbladł.

– Karou? To ty?

– Ktoś idzie.

Najpierw poczuła słowa Carnassiala, a potem usłyszała odgłos kroków. Dobiegały z korytarza, więc szybko ukryła się w rogu kamiennej wnęki, tuż obok niego. Poczuła, jak pod wpływem dotyku zeszywniał i natychmiast się odsunął. Bał się, że ją rozwścieczy nieproszonym kontaktem, tak w każdym razie podejrzewała, ale żal jej było tracić jego kojącą męskość w obliczu tej dogłębnej i wszechogarniającej obcości.

Potem ktoś wszedł.

Dziewczyna w wieku Scarab. Ani serafinka, ani jedna z chimer, z którymi serafini się bratali.

Była... obca. Nie z tego świata. Scarab nigdy nie widziała człowieka, ale chociaż sądziła, że wie, czym są ludzie, z wielkim zainteresowaniem wpatrywała się w pierwszego, którego zobaczyła na własne oczy. Dziewczyna nie miała ani skrzydeł, ani atrybutów potworów, ale wcale nie wyglądała na jakoś tym zubożoną. Przeciwnie, prostota jej sylwetki kojarzyła się z najczystszą elegancją. Była smukła i poruszała się z gracją sarny wyłaniającej się z letniego zmierzchu. Jej uroda smakowała tak niezwykle, że Scarab nie była w stanie stwierdzić, czy bardziej ją zachwyca, czy zdumiewa. Skórę miała w kolorze śmietanki, oczy czarne jak u ptaka, a włosy lśniące niebieskością. Niebieskością. Twarz, tak jak i jej kochanka, była rumiana ze szczęścia i naznaczona tą samą słodką i rozedrganą nieśmiałością, jakby działo się między nimi coś niezwykłego.

– Cześć – powiedziała, a słowo zabrzmiało jak smuga, jak miękkie muśnięcie motyli skrzydeł.

Reakcja była inna.

– Byłaś tu przed chwilą? – spytał, patrząc przez nią i rozglądając się wokół. – Okryta czarem?

Wtedy Scarab zrozumiała. Czuł czyjąś obecność i myślał, że to ta dziewczyna, niewidzialna, co oznaczało, że ludzie też znają magię.

– Nie – odparła. Wyglądała teraz na zaniepokojoną. – Dlaczego?

Poruszył się błyskawicznie. Złapał ją za rękę, pociągnął za siebie i przeszył wzrokiem pusty kąt jaskini, który oczywiście wcale nie był pusty.

– Ktoś tu jest? – spytał po serafińsku, a kiedy jego wzrok natrafił na Scarab, zobaczyła w nim to, co spodziewała się ujrzeć wcześniej: podejrzliwość i powoli narastającą wściekłość. A także opiekuńczość wobec ślicznej niebieskowłosej obcej, którą osłaniał ciałem.

Ciałem, jak z zaciekawieniem zauważyła Scarab, ale nie umysłem. Nie bronił jej przed *animą*, tylko stał, silny i dziki, jakby to miało jakikolwiek sens. Tak jakby życie jego i jego kochanki nie było równie kruche jak lśniąca w eterze pajęczyna, tak łatwe do zerwania jak ich jedwabne nici.

– Zabijemy go? – zapytał Carnassial stanowczo i rzeczowo, bez żadnej wskazówki, co myśli na ten temat.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała mu w myślach i poczuła, że jest na niego, nie wiadomo czemu, wściekła, jakby zrobił coś złego. – Chyba że masz ochotę tłumaczyć Nightingale, że znaleźliśmy potomka Festival i przerwaliśmy jego nic.

Ale ona to prawie zrobiła. Zadrzała. Żeby udowodnić, że umie zabijać, o mało nie odebrała mu życia.

Potomek Festival. Te słowa wysłała Carnassialowi, Reave i Spectral, ale do Nightingale jeszcze nie. Była ona Pierwszą Mędrczynią babki Scarab, poprzedniej królowej; dwukrotnie przeszła żałobę, *veyana*, i przeżyła. Nikt inny w Drugim Wieku nie przeżył dwukrotnej *veyany*, a za pierwszym razem Nightingale opłakiwała właśnie Festival.

Swoją córkę.

Scarab może i była królową, ale miała osiemnaście lat, nie miała doświadczenia i nie wiedziała, co robić. Przyleciała tutaj upolować niepokornego mędrca, liczyła, że będzie miała na koncie pierwszą śmierć, ale to, co zastała, ją przerosło. Zanim podejmie jakąkolwiek decyzję, będzie musiała się poradzić wszystkich mędrców, a przede wszystkim Nightingale.

– Więc lepiej uciekajmy – odpowiedział Carnassial, nie komentując ani słowem jej ostatniej, złośliwej wiadomości – zanim on nas zabije.

Miał rację. Nie mieli pojęcia, do czego jest zdolny. Scarab po raz ostatni odetchnęła elektryzującym, pizmowym zapachem mocy nieznanego i wyszła.

## Spodziewać się najgorszego

Stelianie byli pochłonięci obserwowaniem tego, co w ciągu następnych kilku godzin działo się w jaskiniach. Wielu rzeczy się dowiedzieli, inne wciąż pozostawały poza ich zasięgiem.

Mędrzec miał na imię Akiva. Nightingale nie chciała go tak nazywać, bo nadało mu je Imperium; to było imię bękarta. Mówiła o nim „dziecko Festival” i wysyłała nietypowo jak na nią oszczędne przekazy. Była jedną z najwybitniejszych telestetek na całych Dalekich Wyspach, artystką, a w jej komponowanych bez wysiłku wiadomościach mieściło się piękno, treść, szczegół i poczucie humoru. Teraz tego zabrakło, co sugerowało Scarab, że Nightingale jest bardzo przejęta, a uczucia chce zachować dla siebie. Nie mogła mieć o to pretensji, a ponieważ jej nie widziała – cała piątka była oczywiście niewidzialna – nie wiedziała też, jak starsza już anielica radzi sobie z niespodziewanym pojawieniem się wnuka.

Oraz z tym, co jego istnienie mówiło o losie Festival, który przez tyle lat pozostawał tajemnicą.

Scarab jako królowa miała prawo dotykać umysłów swoich poddanych, ale w coś takiego nie chciała się wtrącać. Wysłała jej tylko prosty przekaz – dwie trzymające się dłonie – i skupiła się na tym, co się działo wokół.

Przygotowania do wojny? Co to miało być? Bunt?

Dziwnie się czuła wśród żołnierzy, którzy byli archetypicznymi bohaterami opowieści, na jakich się wychowała. Krewniacy z dalekiej części świata stali się ostrzeżeniem. Ich losy, od wieków pogrążonych w wojnie i pozbawionych magii, świetnie się nadawały na opowieść ku przestrodze. „My nie jesteśmy tacy”, brzmiała myśl przewodnia edukacji



Scarab. Kuzynów o jasnej skórze stawiano im za przykład – oczywiście na odległość – wszystkiego, czego należy się wystrzegać. Stelianie trzymali się od nich z daleka, zerwali wszelkie kontakty z Imperium, nie chcieli dać się wciągnąć w ich zawieruchę i machali ręką na tę niezdrową głupotę, która angażowała ich w wojny prowadzone na drugim końcu świata.

To co, że chimery płonęły i krwawiły od Hintermost po góry Adelphas. To co, że cały kontynent zmienił się w masową mogiłę. Co z tego, że synowie i córki z drugiej połowy świata, łącznie z serafinami, nie znali innego życia niż wojna i nie mieli nadziei, że to się kiedykolwiek zmieni.

„To nie ma z nami nic wspólnego”.

Stelianie wypełniali swój święty obowiązek i na tyle było ich stać. Jedynie rozdzierające się nad całym światem niebo i przyciąganie *siritharu* zdołały wyprowadzić Scarab tak daleko od jej wysp, bo takie zjawiska mogły mieć wpływ na ich życie, i to w najpotworniejszy sposób, jaki można sobie wyobrazić.

Znaleźć mędrca, zabić go, przywrócić równowagę i wrócić do domu. Taką miała misję.

Ale teraz? Nie mogli go zabić, więc go obserwowali, a że był częścią czegoś bardzo dziwnego, przyglądali się i temu.

Kiedy dwie zbuntowane armie, niechętnie godzące się na połączenie, ale pogrupowane w przemieszane bataliony, opuściły jaskinie, pięcioro niewidzialnych Stelian ruszyło za nimi. Lecieli na południe, a potem ostro skręcili na zachód i po trzech godzinach lotu dotarli do czegoś w rodzaju krateru, osłoniętego szczytem w kształcie rekiniej płetwy.

Czekały tam trzy chimery, zwiadowcy, jak się wkrótce zorientowała Scarab. Bezgłośnie okrążyła zebranych, żeby ustawić się w cieniu wilczego generała Thiaga.

– Gdzie pozostali? – spytał zwiadowców, którzy posepnie pokręcili głowami.

– Nie przylecieli – odparł jeden z nich.

U boku generała – i to było ciekawe – nie stał żaden z poruczników jego rasy, tylko groźna serafinka o niespotykanej urodzie i to do niej zwrócił się ze słowami:

– Dopóki nie wiemy nic więcej, musimy podejrzewać najgorsze.

Czyli co? – zastanawiała się Scarab, właściwie odruchowo, bo to wszystko było dla niej zupełnie abstrakcyjne. Była łowczynią, mędrzynią, królową i Strażniczką Katakliizmu, to ona zwołała

burzołowców. Może w dzieciństwie marzyła o przerywaniu wrogich nici życia, żeby zbudować *yorayę*, ale nigdy nie walczyła na wojnie. Kiedyś jej ludzie byli wojownikami, ale teraz panował inny Wiek i chociaż Scarab w zaciszu swojego wygodnego domu na Dalekich Wyspach tylko wzruszała ramionami, obserwując losy milionów, i gardziła głupotą wzniecających wojny, nigdy jeszcze nie widziała śmierci na polu bitwy.

Ale to miało się zmienić.

– Czemu to Liraz z nami leci? Czemu nie Akiva? – spytała Zuzana. Po raz kolejny.

– Wiesz dlaczego – odparła Karou. Także kolejny raz.

– Tak, ale mnie nie obchodzą te powody. Obchodzi mnie, że będę musiała z nią spędzić czas. Ona na mnie patrzy, jakby mi chciała wyssać duszę przez ucho.

– Nie mogłaby ci wyssać duszy, niemoto – zapewniła Karou, żeby uspokoić przyjaciółkę. – Może mózg, ale duszy nie.

– Aha, czyli spoko.

Przez chwilę Karou się zastanawiała, czyby im nie wyznać, że Liraz ogrzewała ich skrzydłami, kiedy spali, ale zaraz stwierdziła, że jeśli jakimś cudem anielica by się domyśliła, że o tym wiedzą, mogłoby faktycznie dojść do wysysania mózgow. Powiedziała więc tylko:

– Myślicie, że ja nie wolałabym być z Akivą? – Tym razem w jej głosie zabrzmiał żal.

– Dobrze, że przynajmniej to przyznałaś – ucieszyła się Zuzana. – Ale mały makiaweliczny myk by nie zaszkodził.

– Słucham?! Makiaweliczne myki już mi uszami wychodzą! – oburzyła się Karou. – Przecież na tym się opiera cały ten bunt!

– Racja – zgodziła się Zuzana. – Jesteś przebiegłą i przechytrą cwaniarą. Padam na kolana w zachwycie.

– Przecież siedzisz.

– No to siedzę na kolanach w zachwycie.

Znaleźli się z powrotem w miejscu, gdzie spędzili pierwszą, zimną noc. Dopiero co przylecieli i wkrótce będą znów w drodze: polecą nad Zatoką Potworów do portalu. A w każdym razie niektórzy, bo przecież Akiva nie. Karou usiłowała podchodzić do tego spokojnie, ale nie było łatwo. Kiedy krystalizował się jej plan – wtedy, w jaskini Akivy, z ciałem Ten u stóp i

umysłem analizującym wszystkie za i przeciw – wyobrażała sobie u swojego boku Akivę, nie Liraz.

Potem zaprezentowała swoją wizję przed radą i dotarło do niej, że jest ona tylko elementem większego strategicznego dzieła, a jeśli mają zamiar je zrealizować, Akiva jako Pomór Dzikich będzie potrzebny tutaj.

Niech to szlag.

I tym sposobem będzie jej towarzyszyć Liraz, a nie on. Może i dobrze. Chimery miałyby do Thiaga pretensję, że puścił Karou z Akivą, a przecież musieli wciąż mieć na uwadze jego prawdziwą, ukrywaną tożsamość. Za dużo było do stracenia, gdyby prawda wyszła na jaw.

Tyle dobrego, myślała Karou, że kiedy znajdzie się po drugiej stronie bez niego, nie będzie się już musiała przejmować gromadą chimer śledzących każdy ich ruch.

Chociaż, oczywiście, pod nieobecność Akivy nie będzie miała wiele do ukrycia.

– Wszyscy mamy do odegrania swoje role – oznajmiła Zuzanie i Mikowi, a przy okazji i sobie. – Wykurzenie Jaela ze świata ludzi to dopiero początek. Pójdzie szybko, sprawnie i bez śladu apokalipsy. Miejmy nadzieję. Ale kiedy wróci do Eretz, i tak trzeba będzie go pokonać. Mimo jego liczebnej przewagi.

Mówiąc eufemistycznie.

– Myślisz, że dadzą radę zwyciężyć? – spytał Mik.

Patrzył na zlatujących się do dolinki żołnierzy, chimery i serafinów ramię w ramię. Na niebie wyglądali niesamowicie: skrzydła nietoperzy obok płomiennych skrzydeł aniołów, jedno i drugie poruszające się gładko, w równym tempie.

– My – poprawiła go Karou. – Tak, myślę, że możemy. – Musimy. – Damy radę.

Pokonamy Jaela. Ale nawet wygrana będzie dopiero początkiem. Ile jeszcze tych początków, zanim zabiorą się do realizowania snu?

Rozpoczęcie innego życia? Zaprowadzenie pokoju między mieszkańcami Eretz?

Życie w harmonii?

– Córko mego serca – powiedziała Issa przy pożegnaniu. Chimery, które nie umiały latać – z kilkoma wyjątkami, jak Thiago – zostały w jaskiniach, a Issa przypomniała jej ostatnią wiadomość od Brimstone'a: – Podwójna córko, moja radości. Twoje marzenie jest moim marzeniem, a

twoje imię jest prawdziwe. Jesteś naszą jedyną nadzieją.

Twoje marzenie jest moim marzeniem.

No, powiedzmy. Karou obstawiała, że wizja pokoju między mieszkańcami Eretz w wykonaniu Brimstone'a zawierała mniej całowania niż jej wyobrażenie.

Przestań rozmyślać o całowaniu. Są światy do uratowania! Ciastko będzie później. Później, rozumiesz?

To się powinno było stać, kiedy poszła za Akivą do skalnego źródła. O gwiazdne bóstwa, widok jego nagiej piersi i pleców przywołał bardzo... ciepłe wspomnienie. Ale nic się nie stało, bo on się zdenerwował. Twierdził, że są tu jacyś niewidzialni. I zaczął ich szukać z mieczem w ręce.

Karou mu wierzyła, ale nie wyczuwała niczyjej obecności i nawet nie wiedziała, kto to mógł być. Żywiołak? Duchy zmarłych Kirinów? Nadaşana bogini Ellai? Cokolwiek to było, ich krótka chwila sam na sam się skończyła i nie zdołali się porządnie pożegnać. Myślała, że tak będzie trudniej się rozstać. Ale potem przypomniały jej się ich pożegnania w mrocznym gaju, przed świtem, lata temu, i to, jak trudno było za każdym razem odlatywać od niego. Musiała przyznać, że pocałunek na pożegnanie nic nie zmienia, nie sprawia, że cokolwiek staje się prostsze.

Skoncentrowała się więc na zadaniu i starała się nie wypatrywać Akivy, który znajdował się po przeciwnej stronie grupy.

Plan wyglądał następująco: zamiast przedostawać się przez przejście i atakować Jaela na obcym terytorium, Thiago i Elyon poprowadzą swoje połączone armie na północ do drugiego portalu i jako komitet powitalny będą czekać na Jaela, którego Karou i Liraz odeślą do domu.

A teraz najlepsze: nie wiedzieli, gdzie przebywa Jael wraz z zastępami i nie byli w stanie przewidzieć, co zastaną przy drugim przejściu, w okolicy Veskal Range na północ od Astrae. Będą musieli się dostosować do okoliczności, ale spodziewali się dużego oporu. Jeśli im się poszczęści, skończy się na przewadze dziesięciu do jednego. Ale może być gorzej.

Na wszelki wypadek Karou dała im sekretną broń. Nawet dwie.

I oto były, siedziały spokojnie, w samotności, powyżej całego zbiorowiska i patrzyły w dół. Akurat gdy Karou spojrzała w ich stronę, Tangris z wdziękiem podniosła łapę pantery i ją polizała. Byłby to absolutnie koci gest, gdyby nie fakt, że jej twarz – i język – należały do człowieka. Sfinksy ożyły.

Karou ofiarowała buntownikom Żywe Cienie. Miała mieszane uczucia. Wskrzesiła sfinksy, Tangris i Bashees oraz Amzallaga, którego dusza była w tej samej kadzielnicy, i nie zamierzała słuchać głosów protestu, zawsze jednak przerażała ją ich zdolność do niepostrzeżonego i bezdźwięcznego przemieszczania się, a następnie do wyrzynania wroga we śnie.

Nie wiadomo, czy to wyjątkowy dar, czy czary, ale ich sposób zabijania wykraczał poza umiejętność cichego i podstępnego skradania się. Zupełnie jakby emanowały środkiem nasennym, który uniemożliwiał wrogowi nagłe przebudzenie, bez względu na to, co robili. Nie budzili się nawet, żeby umrzeć.

Może naiwnością była nadzieja, że na tym etapie uda się uniknąć rozlewu krwi, ale Karou była łatwowierna i nie chciała brać odpowiedzialności za żadną rzeź.

– Dominium jest niereformowalne – powiedział jej Elyon. – Zabicie ich we śnie to i tak zbytek łaski, nie zasłużyli na to.

Nie wyciągają wniosków, pomyślała wtedy Karou. Niczego się nie nauczą.

– Przecież każdy w Imperium mógłby powiedzieć to samo o Bastardach. Musimy być ponad to. Nie możemy zabić wszystkich.

– No to darujmy im życie – odezwała się Liraz i Karou nastawiła się na kolejną porcję lodowatego sarkazmu, który – ku jej zdziwieniu – nie nastąpił. – Trzy palce – mówiła dalej Liraz, patrząc na swoją dłoń i wykręcając ją w różne strony. – Utnijmy walczącemu mieczem albo łucznikowi trzy środkowe palce i stanie się bezużyteczny w boju. Chyba że nauczy się walczyć drugą ręką, ale to już inna sprawa. – Spojrzała Karou w oczy i uniosła brwi, jakby pytała: „I jak, może być?”

Pewnie...! Wszyscy się na to zgodzili, a Karou przez cały lot zastanawiała się, jakie to dziwne, że z propozycją litości dla żołnierzy Dominium wyszła akurat Liraz. I to zaraz po zdumiewającej reakcji na atak Ten. „Zasługiwałam na zemstę”, oznajmiła bez śladu gniewu. Karou nie chciała wiedzieć, co takiego zrobiła, żeby zasłużyć, wystarczająco zdumiewał ją nagły koniec samosądów. Rzadko się zdarzało w tej niekończącej się wojnie nienawiści, żeby ktoś powiedział: „Dość, należało mi się. Skończmy z tym”. A właśnie coś takiego powiedziała Liraz. I jeszcze dodała, że „to wasza sprawa, co zrobicie z jej duszą”. Zezwoliła Karou zebrać duszę Haxayi z ciała wilczycy, która, od tego trzeba było

zacząć, nigdy nie powinna była się w nim znaleźć.

Karou nie wiedziała, co z nią zrobi, ale miała ją, a teraz Liraz zaproponowała nie tylko darowanie żołnierzom Dominium życia, ale i pozostawienie im wystarczającej liczby palców, żeby mogli używać dłoni. Może nie będą już naciągać cięciw ani wymachiwać mieczami, ale i tak poradzą sobie lepiej, niż gdyby mieli dłonie obcięte w nadgarstkach. To coś więcej niż litość. To wielkoduszność. Dziwne.

Wszystko zostało ustalone. Żywe Cienie, jeśli dadzą radę, unieszkodliwią żołnierzy strzegących przejścia Jaela albo tylu innych, ilu będzie trzeba.

Akiva poleci do Cape Armasin, największego garnizonu Imperium na byłych wolnych ziemiach. Jego zadaniem będzie wzniecenie buntu wśród żołnierzy Drugiego Legionu i zwrócenie przeciwko Jelowi przynajmniej części sił Imperium. Wiele zależało od powodzenia tej misji. Członkowie Dominium byli elitą, arystokracją i podjęliby walkę, by utrzymać przywileje, z którymi się urodzili. Żołnierze Drugiego Legionu pochodzili w dużej mierze z poboru i można było przypuszczać, że ich serca nie palą się do następnej wojny, zwłaszcza ze Stelianami, którzy nie byli potworami, tylko dalekimi krewniakami. Elyon przewidywał, że autorytet Akivy jako Pomoru Dzikich korzystnie wpłynie na żołnierzy, zwłaszcza że zdołał już przekonać braci i siostry.

Karou będzie musiała nakłonić Jaela do powrotu, wykorzystując szczególny rodzaj perswazji, w którym Liraz była równie dobra jak Akiva. Zadania zostały rozdzielone.

– Pójdę się dowiedzieć, co mówią zwiadowcy – poinformowała Mika i Zuzanę, z głośnym łupnięciem zrzuciła z pleców sprzęt i przez moment rozprostowywała ramiona i szyję. Zauważyła, że czekało na nich tylko troje zwiadowców: Lilivett, Helget i Vazra. Ziri wyznaczył cztery pary. Jeden żołnierz z każdej miał przylatywać tu na zbiórkę i donosić o obecności serafińskich oddziałów w okolicach Zatoki.

Powinno więc ich być czworo.

Pewnie się po prostu spóźnili, pomyślała Karou, ale usłyszała, jak Wilk mówi do Liraz:

– Musimy podejrzewać najgorsze.

Więc ona też zaczęła.

I słusznie.

## Niewiadome

Było tyle niewiadomych. Buntownicy przycupnięci w górach Adelphas nie wiedzieli nic. Mieli do towarzystwa lodowe kryształy i żywiołaki powietrza, ale poza szczytami gór istniał świat pełen wrogich oddziałów, niewolników spętanych łańcuchami, płytkich grobów i podmuchów popiołu ze spalonych miast. Oni nie mieli do tego świata dostępu.

Nie wiedzieli, czy Jael wysłał oddziały, które miały ich wytropić.

A wysłał.

Nie wiedzieli, czy po tym, jak przedostali się na stronę Eretz, znalazł i obstawił przejście nad górami Atlas.

Nie znalazł, w każdym razie jeszcze nie, ale nawet w tej chwili jego patrole przemierzały niebo nad Zatoką Potworów.

Nie wiedzieli, czy wrócił do Eretz, zwycięski czy pokonany, i nie mieli skąd się dowiedzieć, że Bast i Sarsagon, nieobecni członkowie zwiadowczych par, zostali schwytani półtora dnia wcześniej w ciągu zaledwie kilku godzin od opuszczenia tej górskiej dolinki.

Schwytani i poddani torturom.

Nie wiedzieli też i nawet nie potrafili sobie wyobrazić, że daleko po drugiej stronie świata niebo przybrało barwy wieczoru. Dziwny i bezwzględny odcień ciemności nie miał nic wspólnego z zachmurzeniem. Słońce jak rozpalone oko świeciło na tle atramentowego indygo. Światło padało na morze i na rozsypane po nim zielone wyspy, a ich barwa nadal była jaskrawa i nasycona jak w tropikach, ale niebo pozostawało mdłe i posiniałe. Burzołowcy wciąż po nim krążyli, wydawali ochryple i przerażające wrzaski, a więźniowie zamknięci w pomieszczeniu w niczym nieprzypominającym więziennej celi wyglądali wprawdzie przez okno, ale nie mieli komu zadać pytań, bo ich porywacze przestali do nich zaglądać.

Nie przychodziła ani Eidolon z roztańczonymi oczami, ani nikt inny. Nie przynoszono im jedzenia i picia. Został tylko koszyk z krwawymi owocami, ale nikt nie był na tyle głodny, żeby je jeść. Najwyraźniej zapomniano o Melliel, Drugiej Tego Imienia, oraz o jej braciach i siostrach. Wyglądali przez zakratowane okno i wyobrażali sobie, że tak wygląda koniec świata.

Scarab i czwórka jej mędrców mieli świadomość, jaki jest stan nieba nad ich domem. Przekazy docierały nawet tutaj, a ich słabnące *animy* przeczuwały katastrofę, tak jakby na ich dusze padł cień zagłady.

Ale nawet jeśli wiedzieli, co się tutaj stanie w najbliższym czasie, nie zrobili nic, żeby ostrzec tych, między których niepostrzeżenie się wmieszali. Bezczyńność wynikała pewnie z wieków odosobnienia. Poza tym wpojono im, że ci tutaj są głupi i zasługują na wojnę. Co więcej, na Dalekich Wyspach panowało przekonanie, że z wojen wynika coś pozytywnego: Imperium zajęte zabijaniem i umieraniem nie ma czasu niepokoić Stelian swoją idiotyczną wrogością.

Stelianie byli pyszni i uważali, że nikt nie powinien im zakłócać życia. Wierzyli, że zasłużyli sobie na wyższość.

Im nie wolno zawracać głowy.

Za wszelką cenę muszą mieć spokój. Chociaż Scarab znalazła się po drugiej stronie świata, wiedziała coś, o czym nie miała pojęcia Melliel i reszta więźniów, porzuconych w nienaturalnie zaciemnionej celi. Eidolon z roztańczonymi oczami była jedną z tych, którzy wzmacniali słabnące niebo i walczyli, żeby szwy ich świata się nie rozeszły. W tej chwili nie miała czasu na myślenie o więźniach ani o niczym innym.

Oczywiście bardzo możliwe, że piątka płomiennookich intruzów po prostu nie odczuła niebezpieczeństwa czającego się tuż poza zasięgiem wzroku, ale wydawało się niemożliwe, żeby nadzwyczajna wrażliwość mędrców nie wychwyciła szumu wdechów i wydechów, wydobywających się z tysiąca wrogich płuc. Tak czy inaczej, nie ostrzegli buntowników.

Tylko patrzyli.

Scarab przekazała prostą informację, bez żadnych zmysłowych dodatków czy choćby śladu uczucia. „To nie ma nic wspólnego z nami”.

Do tej pory taka postawa się sprawdzała. Nie przewidziała jednak, że tym razem może się mylić, i nie wiedziała też, przeciwko czemu protestuje ta dziwna, pozszywana jakby z kawałków armia. Ani co będzie, jeśli im się nie uda.



Było po prostu za dużo niewiadomych.

# Przybycie + 48 godzin

## Najgorsze

Na początku czuje się to w kręgosłupie. Karou coś poczuła i spojrzała na Akivę, stojącego po drugiej stronie grupy żołnierzy. W tej samej chwili on spojrzał na nią. Zmarszczył brwi.

Coś...

I wtedy to się stało, tak po prostu, jakby zdradziło ich niebo. Nisko zawieszona i jasna, jak przejrzysta, podświetlona mgła. Jak wówczas, gdy przeszli przez portal. Ale tym razem to nie burzołowcy napadli na nich z góry.

To armia.

Liczna.

Anioły są ogniem, cały ich legion skrzydło w skrzydło, więc niebo staje w ogniu, jasnym i żywym. Dzień jest od nich jaśniejszy, ale jest ich tylu, że dają radę go przyćmić, więc gęstwina mroku spada na zebranych niżej.

Cienie ścigane ogniem.

Bardzo szybkie. Bardzo, bardzo szybkie.

Zaczyna się.

Dolinka jest jak misa pełna umęczonych istot, a Dominionum nakrywa ich płonącym wiekiem. Tylu ich, tylu, skrzydło przy skrzydle, miecz przy

mieczu, opadają w mgnieniu oka i uniemożliwiają ucieczkę i kontratak.

A przecież ci na dole się nie wahają. To, co o mały włos dokonało się w Jaskiniach Kirinów, odbywa się teraz, bez przeszkód i z prędkością błyskawicy. Miecze wyskakują z pochew, dłonie wznoszą się w górę. Hamsy działają natychmiast. Agresorzy gną się wpół jak trawa targana wiatrem i ten moment ulgi daje buntownikom nadzieję; z rykiem przystępują do walki. Nie czekają, aż atak zamknie ich między skałą a ogniem, tylko ruszają, wznoszą się i w powietrzu słysząc odgłos nacierających na siebie pięści.

Wiele pięści kontra znacznie mniej. Ale te, których jest mniej, wyposażone są w magię.

Przy pierwszym smgnięciu cienia Akiva sięga po *sirithar*...

...ale pada na kolana, jakby zmiotło go uderzenie pioruna. Grzmot dudni mu w głowie. Zatacza się, słania, ale ktoś go podtrzymuje. To ten chłopiec z Dashnagów, który nie jest już chłopcem. Rath. Akiva czuje na ramieniu jego wielką dłoń. W miejscu zranionym niegdyś przez chimery. Teraz to chimera pomaga mu się utrzymać w pionie, ale nie ma *siritharu*, tylko brzęk oręża. Rath wraca do walki, Akiva wstaje, sięga po miecze, ale nie widzi Karou...

...a Karou nie widzi jego, ale nie może się zatrzymać, żeby popatrzeć uważniej. Na Zuzanę i Mika naciera anioł, a ona nie zdąży na czas. Otwiera usta, by krzyknąć, ale wtedy zauważa Virka. On skacze.

Rozdziera anioła na strzępy. Karou ma w dłoniach ostrza w kształcie sierpów księżyca. Zaczynają taniec, gdy przedziera się przez zastępy wroga, żeby dotrzeć do przyjaciół.

Akiva znów próbuje przywołać *sirithar*, ale ponownie czuje w głowie tylko huk i pada na ziemię.

Przez mgnienie wydaje mu się, że ktoś przyciska mu do czoła chłodną, kojącą rękę, a potem znika. Wokół niego błysk ostrzy, brzęk, warkot, rany, zęby, ryk i chwiejne kroki. Magia go opuściła. Może tylko stanąć i walczyć.

Zuzana zamknęła oczy. Odruchowa reakcja na rzeź. Można przeżyć całe życie, nie wiedząc, jakby się zareagowało na widok odrywanych od ciała kończyn, ale Zuzana już wie, zna porażającą groźbę tej całej akcji z wojną, a potem stwierdza, że nie widzieć, co się dzieje, jest jeszcze gorsze niż widzieć, więc otwiera oczy. Mik stoi obok niej i jest piękny. Virko kuca przed nią, przyczajony i potworny, ale równie wspaniały. Rozłożył

szeroko kolce na szyi. Nie wiedziała, że tak można. Są długie i cienkie jak kolce jeżozwierz, ale większe i ostrzejsze. I z ząbkami na krawędziach. Rozłożył je jak wachlarz, zjeżył się i wygląda na dwa razy większego niż naprawdę. Ma lwią grzywę zrobioną z noży.

Dociera Karou ze skrwawionymi ostrzami i Virko składa wachlarz, a Zuzana widzi, jak kolce się przeplatają i ich symetryczna perfekcja niemal ją przytłacza. To zapamięta najlepiej. Nie latające w powietrzu kończyny, jej umysł już zaczyna to wypierać, tylko symetrię. Kolce nie są już wyłożone cuchnącym kocem i nie ma uprzęży, której mogłaby się chwycić, kiedy Mik ją podsadza, ale Zuzana się nie boi. Cieszy się, że w obliczu tego bardzo złego snu ma przyjaciela z lwią grzywą złożoną z noży. Mik siada za nią, a mięśnie Virka pracują. Odrywa się od ziemi wprawnie, choć ciężko, wznosi się w powietrze i... znika.

Ziri widzi, jak Virko się dematerializuje i jak Karou się rozgląda. Ziri wie, że nie jego szuka, ale teraz się tym nie przejmuje. Powiew niewidzialnych skrzydeł Virka rozwiewa jej włosy jak wojenny sztandar, gładki, niebieski i falujący. W sercu bitwy wokół niej roztacza się zdumiewający spokój.

To dlatego, że jest osłaniana przez chimery i Bastardów. Chronią ją, bo jest wskrzesicielką i czeka ją znacznie ważniejsze zadanie. Ta świadomość pcha Ziriego naprzód. Cokolwiek się dzieje tutaj, plan Karou musi zostać zrealizowany. Trzeba powstrzymać Jaela.

Ziri rozgląda się w poszukiwaniu Liraz i widzi ją razem z Akivą. Walczą plecy w plecy, na śmierć i życie. On ma dwa identyczne miecze, ona miecz i topór, a jej uśmiech jest niemalże trzecią bronią. To ten sam wyraz twarzy, co na naradzie wojennej, kiedy z wyższością oceniała szanse w walce. „Trzech z Dominium na jednego Bastarda?”, pytała lekko. Ziri widzi to przed sobą. Trzech na jednego, ale i więcej. Więcej i więcej, ale coś się dzieje. Nisk i Lisseth. Nie do wiary, ale wspierają Akivę i Liraz. Każde z nich ma w ręce broń, ale pokazują też znaki. Osłabieni ich siłą żołnierze Dominium nie dają rady parze Bastardów.

Ziri czuje przypływ nadziei. Gardzi nią, bo to brzydka i ponura nadzieja: że ten, który zabije, będzie żył dłużej.

Zabić albo zginąć, innego wyjścia nie ma.

Ciała wyściełają dno dolinki, spada ich coraz więcej. Ziriemu przemyka przez głowę myśl, że niecka wypełnia się zmarłymi, tak jakby góry wystawiły złączone dłonie, żeby ofiarować poległych Nitid, bogini życia i

łez, gwiazdnym bóstwom i nicości.

To ciała chimery, Bastardów i...

...spada druga fala ciemności.

Sponad ich głów zwała się drugie niebo płomieni, skrzydło w skrzydło, i tego nie wytrzyma nawet ta brzydka, ponura nadzieja. Druga fala Dominium, równie wielka jak pierwsza. Dzisiaj Nitid jest boginią wyłącznie łez.

– Karou! – woła Ziri i już go nie zaskakuje tenor Wilka, który wydostaje się z jego ust. Ten głos jest w stanie przedrzeć się przez zamęt bitwy, dodać wiary umęczonym żołnierzom, dalej, naprzód!, tak jakby życie było nagrodą za rozlew krwi. Zabijajcie, zabijajcie, zabijajcie, żeby żyć. Ilu jeszcze i jak długo? Wszystko sprowadza się do liczb i chociaż prawdziwy Thiago dokonywał na polu walki niezwykłych rzeczy, żadna z bitew nie była w takim stopniu skazana na przegraną.

A poza tym on przecież nie jest Thiagiem.

Wykrzykuje rozkazy, których słuchają chimery i Bastardzi. Wreszcie dociera do Karou i wokół niej, Akivy i Liraz zamyka się pierścień walczących.

– Wy dwie musicie lecieć – mówi. Jego głos słyhać ponad całym tym chaosem, a w oczach ma gotowość do walki, ale nie są zimne ani nie szalone. Ten Biały Wilk nie będzie dzisiaj rozdzierał zębami gardel. – Odlećcie. Użyjcie czaru. Macie zadanie do wykonania.

Karou protestuje pierwsza.

– Nie możemy was teraz zostawić...

– Musicie. Dla Eretz. – Dla Eretz. Jasne, że chciał przez to powiedzieć: „Jeśli nie dla nas”.

Bo my zginiemy.

– Polecę, jeśli wyznaczysz kogoś, kto będzie czekał w bezpiecznym miejscu – mówi Karou stłumionym głosem. – Kogokolwiek.

Kto doczeka do końca i zbierze dusze. Choć to nie ma sensu. Teraz, kiedy serafini wiedzą o wskrzeszaniu, nie dopuszczą do niego. Spalą zmarłych i będą strzegli prochów, aż dusze rozmyją się w niebycie. Ale Ziri kiwa głową.

Czas się rozstać. Sieć niechęci, która ich wszystkich oplata, jest złożona. Rozciągana na palcach plecionka miłości, tęsknot i... pierwszych, niezdarłych błysków możliwości, które są jeszcze tak odległe, że zasługują co najwyżej na śmiech. Ziri zerka na Liraz, ona patrzy na niego,

a potem oboje odwracają szybko wzrok. Ziri spogląda na Karou, a Liraz na Akivę. To ta jedyna sekunda – wieczność – kiedy pozwalają sobie na pożegnanie. Wypowiadają bezsensowne życzenia, pozwalają, żeby wszystkie „a jeśli” opadły na ziemię wśród ciał.

Legendy mówią, że chimery powstały z łez, a serafini z krwi, ale w tej chwili wszyscy są dziećmi żalu.

Karou i Akiva odwracają się do siebie, żeby popatrzeć po raz ostatni, a ich twarze są puste od niewypowiedzianej rozpacz – „nie, błagam, nie teraz, proszę, nie”. Wtedy odzywa się Wilk:

– Akivo – mówi – odprowadź je do portalu. Dopilnuj ich.

Akiva szybko mruga. Nie chce się postawić, ale musi. Powinien być tu, walczyć...

– Przejście może być strzeżone – dodaje szybko Wilk, bo spodziewa się odmowy. – Mogą potrzebować pomocy. – Walka wokół nich osiąga punkt szczytowy. – Leć!

Akiva się zgadza i rusza.

Kiedy znikają, Ziri patrzy w oczy Liraz. Niewidzialność nie ma stadiów, to gwałtowny przeskok między „jest” i „nie ma”, ale w ostatnich sekundach swojego „jest” Liraz nie uśmiecha się ostro i morderczo, nie jest zimna, kpiąca ani żądna zemsty. Rysy ma łagodne od smutku, a jej piękno odbiera Ziriemu oddech.

A potem znika. W zamkniętym pierścieniu żołnierzy Biały Wilk zostaje sam. Ziri Szczęściarz, myśli i czuje się, jakby go ktoś wypatroszył. Nie dzisiaj i nie jutro.

Patrzy w górę. Ruch obu armii rozwiął mgłę i wyraźnie widzi oddziały Dominium.

Śmieje się. Umacnia się w kradzionym ciele, obnaża kły i rusza.

Wspina się po aniołach. Jest ich tylu, że nie ma z tym problemu. Musi wejść wyżej, żeby złapać anioła w powietrzu, a chwytając go, zabić. Ciało spada, a on sięga do kolejnego. I do kolejnego, i kolejnego, aż ziemia jest daleko w dole, a oni zaczynają przed nim uciekać. Ale nadlatują wciąż nowi, więc nie narzeka na brak ofiar. Ani brak krwi, którą mógłby rozlać, a jego śmiech brzmi tak, jakby się krztusił.

Jest Białym Wilkiem.

A Liraz leci, mknie do przejścia. Słyszy za sobą odgłosy bitwy, które zanikają wśród świstu powietrza szczypiącego w oczy. Nie ma nic więcej, tylko szczypanie powietrza i pęd.

„My się chyba nie znamy. Nie do końca”. To powiedział w gorących źródłach, zanim wręczył jej swój sekret jak nóż. „Mogłabyś mnie tym zabić. Ale wierzę, że tego nie zrobisz”.

Wiara. Wierzył, bo ją uratował, czy dlatego, że zdradził jej swoją tajemnicę? Czy z obydwu powodów naraz? W walce był skuteczny i imponujący, brutalny i elegancki, ale to było nic w porównaniu z gracją, jaką widziała w Hintermost, gdy nosił swe prawdziwe ciało i tańczył z ostrzami w kształcie sierpów księżyca.

Wyglądały jak przedłużenie jego ciała. Miecze już takie nie były. Ani to ciało. Odkąd jej powiedział, kim jest, ciało Białego Wilka traktowała jak kostium, którego nie można zdjąć, żeby uwolnić wysokiego, smukłego, śniadego chłopca z rogami i skrzydłami. W jej pamięci zapisał się jako sylwetka. Widziała go tylko z dużej odległości i nawet nie wiedziała, jak wygląda jego prawdziwa twarz.

A chciałyby wiedzieć.

Zaraz potem to marzenie wydało jej się głupie i małosłowne. Co za różnica, jak wcześniej wyglądała jego twarz? Przecież mógł w tej chwili umierać, znów i na zawsze. Co to znaczy „prawdziwy”, jeśli chodzi o twarz? Tylko dusze są prawdziwe, a kiedy wypuści się je z ciała, rozplývają się w powietrzu, jak dusza Haza i wielu innych, niezliczonych, a strata... Strata. Liraz przycisnęła dłoń do brzucha. Płomienie gasną i świat pogrąża się w mroku.

Jak to możliwe, że tyle lat zajęło jej zrozumienie, jak cenne jest życie?

Lecą i mija wiele minut pędu, zanim opuszczą góry i wzlecą nad ciemne wody Zatoki. Z góry wygląda jak morze, bo mgła skrywa horyzont i ląd, który ją otacza. Karou w końcu zauważa Mika i Zuzanę, lecą przed nimi na Virku. Starają się utrzymać niewidzialność, ale nieskutecznie, czar się co chwila rozmywa i patrol Dominium ich zauważa. Zbliża się.

Virko zatacza krąg i nurkuje. Udaje mu się. Przecina przestrzeń i znika w przejściu, a zaraz za nim do łopoczących, rozluźnionych trenów nieba dopadają Karou, Akiva i Liraz, ale zamiast od razu przedrzeć się na drugą stronę, Karou odwraca się od Akivy. Zrzucili czar i teraz, kiedy go widzi, pożegnanie znów wydaje jej się niewykonalne i jeszcze trudniejsze niż wcześniej, o wiele gorsze, bo w obliczu niebezpieczeństwa. Jak może go tak zostawić?

– Leć! – wrzeszczy do niej Liraz. – Już!

Karou łapie Akivę za rękę. Bezradnie stara się jakoś wykorzystać tę

ostatnią chwilę z nim. Jeśli nie słowa, to chociaż spojrzenie. Coś, co można zapamiętać. Jego dłoń jest taka ciepła, a oczy jasne, ale przerażone. Serce mu pęka, jest zdruzgotany, wściekły i gotów do przeklinania gwiazdnych bóstw. Ściska ją za rękę.

– Damy radę – mówi, chociaż pobrzmiwa w tym desperacja. Chce w to wierzyć, ale do końca nie może, a skoro on nie wierzy, Karou też nie.

O boże, boże. Chce go przeciągnąć za sobą i nigdy już nie puścić.

Liraz wciąż do niej krzyczy i te krzyki wypełniają Karou paniką – i wściekłością – a Akiva dotyka jej łokcia, żeby ją skierować do przejścia. I już. Muśnięcie nieba na twarzy i już nie jest w Eretz. Krzyki Liraz rozbrzmiewają jej w głowie i przyćmiewają panikę. Jest czerwona z wściekłości i gotowa ją znienawidzić, choćby na chwilę, zaraz jej powie, żeby się zamknęła. Odwraca się przodem do przejścia, żeby na nią czekać...

...a w tej samej chwili po drugiej stronie Akiva odwraca się tyłem. Jest pusty. Patrzył, jak Karou znika, a teraz się odwraca, żeby po raz ostatni spojrzeć siostrze w oczy, zanim i ona zniknie. „Pilnuj jej”, chciałby jej powiedzieć, ale nie powie. „I siebie też. Proszę cię, Lir”. Ich oczy na moment się spotykają.

– Urna jest już pełna – mówi ona.

Urna? Akiva tylko mruga, ale potem sobie przypomina. Tak mu powiedział Hazael. Akiva jest siódmym noszącym to imię. To znaczy, że sześcioro poprzednich Akivów nie żyło i urna z prochami była pełna. „Musisz żyć”, dodał Hazael, prostolinijnie, ale stanowczo.

Hazael, który umarł, podczas gdy Akiva żył.

Kolejny przeskok myślowy. Żołnierze Dominium dopadną ich za kilka sekund. Widzi za Liraz ich zbliżające się sylwetki. Okrzyki siostry – „Leć! Leć! Leć!” – budują w nim szaleńcze echo, ale wciąż jeszcze myśli o czymś innym: że nigdy wcześniej nie widział w niej tyle życia. Jest w niej determinacja, energia i plan. Jest skupiona, płonie.

A potem jej stopa uderza go w pierś.

Z siłą miażdżącą serce, łamiącą żebra, odbierającą oddech. Wyciska mu myśli z głowy i powietrze z płuc. Akiva wiruje, nie ma się czego chwycić. Nie może oddychać i nic nie widzi.

A kiedy wreszcie odzyskuje równowagę, jest za przejściem.

Portal płonie, a Liraz jest z drugiej strony. Pieczętuje przejście ogniem. Akivie wydaje się, że słyszy dźwięk stali uderzającej w stal – starcie



mieczy – ale sekundę później łączność między światami zostaje odcięta.

Cięcie w niebie goi się jak rana. Liraz jest w Eretz, a on tutaj, na jej miejscu. Z Karou.

*ciąg dalszy nastąpi...*

W lipcu 2015 roku

**Laini Taylor**

**Sny bogów i potworów**

**Część 2**

# Table of Contents

[Tytułowa](#)

[Redakcyjna](#)

[Lody z okazji koszmaru](#)

[Przybycie](#)

[Przybycie + 3 godziny](#)

[Instynkt przetrwania](#)

[Początek](#)

[Gra w bycie kolegami](#)

[Odwrót potworów](#)

[Podarunek od dzikości](#)

[Posiniaczone niebo](#)

[Przybycie + 6 godzin](#)

[Lądowanie](#)

[Wybuch paniki](#)

[Przybycie + 12 godzin](#)

[Cisza i jej rasy](#)

[Pomysł na ciepło](#)

[Razem](#)

[Najdłuższe pięć minut świata](#)

[Przybycie + 18 godzin](#)

[Znajome przerażenie](#)

[Ile są warte obietnice](#)

[Nadzieja umiera świadomie](#)

[Płomień świecy ugaszony przez krzyk](#)

[Łowy](#)

[Skaza](#)

[Rękami Nitid](#)

[Szaleńcze spojrzenie otchłani](#)

[O co w tym wszystkim chodzi](#)

[Sygnał do apokalipsy](#)

[Przybycie + 24 godziny](#)

[Ty, w liczbie mnogiej](#)

[Krew i kwiaty](#)

[Istoty zamieszkujące ten sam świat](#)

Kochanica anioła, kochanek potwora

Spełnienie snów

Blżej to dotyk

Przeciwieństwo przetrwania

Ciastko będzie później

Przybycie + 36 godzin

Jak inwazję obcych

Sprawy znane i pogrzebane

Upadły po trzykroć

Na tej planecie wszyscy poza nim są idiotami

Smarkający szczęściem

Szczęśliwy przypadek pośród gwiazdowego pyłu

Potomek

Spodziewać się najgorszego

Niewiadome

Przybycie + 48 godzin

Najgorsze